3 1761 07802681 2

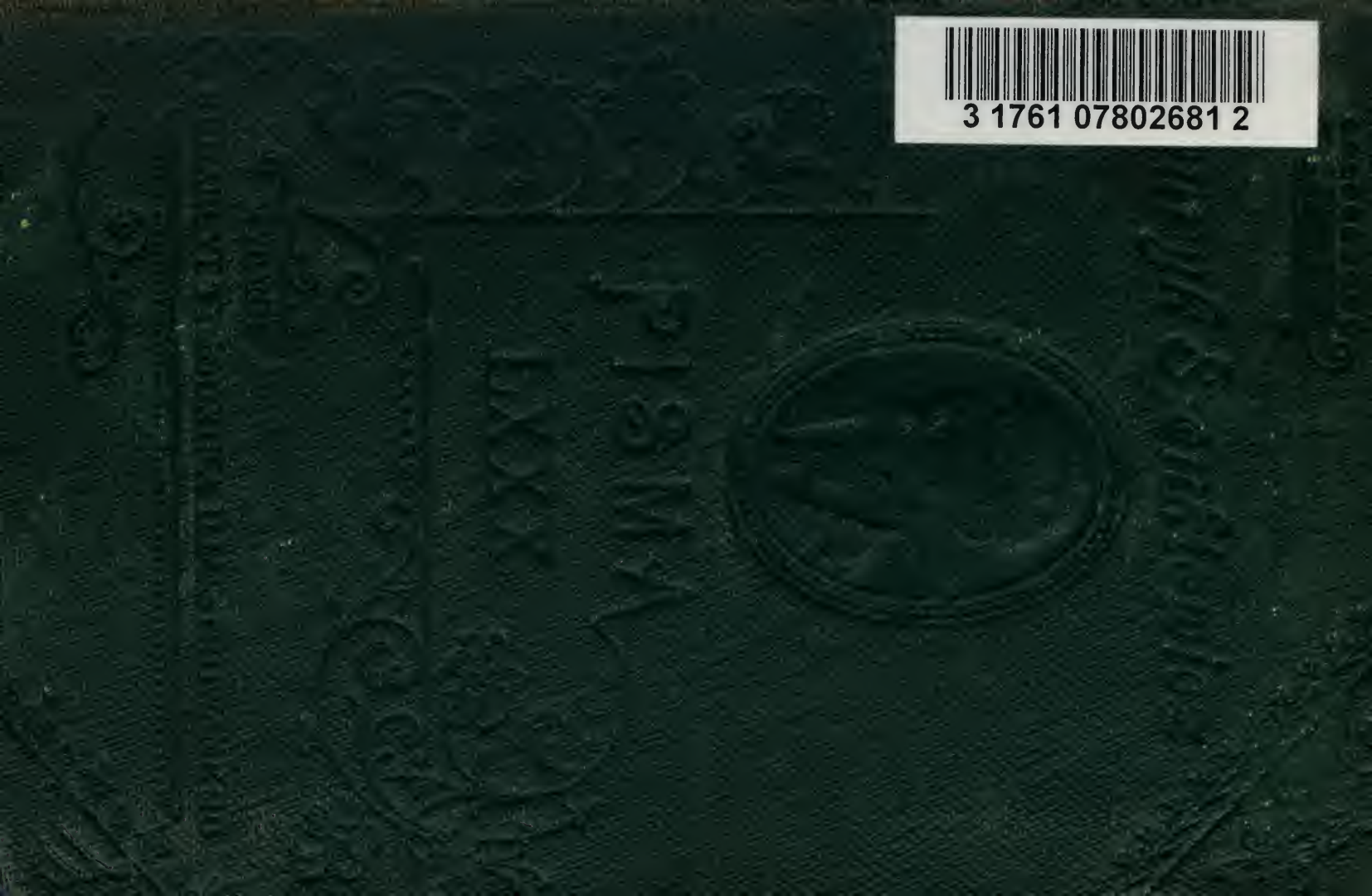

Digitized by the Internet Archive
in 2011 with funding from
University of Toronto

http://www.archive.org/details/pismahenrykasien80sien

PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM LXXX.

PRINTED IN POLAND

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy Świat 41.

LF
5724
Sienkiewicz, Henryk

PISMA

HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM LXXX

PISMA ULOTNE

523261
1. 6. 51

WARSZAWA
NAKŁAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
(DODATEK BEZPŁATNY).
1906

Osady polskie w Stanach Zjednoczonych.

Ogólna cyfra ludności polskiej. Cyfry, podawane przez gazety. Ludność wiejska i miejska. Główne ogniska. Towarzystwa, szkoły i kościoły. Znaczniejsze osady. „Parafie“. Nowo-wznoszone kolonie. Waren Hoino i Nowy Poznań. Barzyńscy i Dyniewicz. Charakter ogólny emigracyi. Przewaga duchowieństwa. Dobre i złe strony wpływu. Połączenie ogólne niemożliwe. Gazety. Wydawnictwa. Księgarnie.

Niedokładne i pobieżne wiadomości, jakie zdołałem zebrać o Polakach, zamieszkałych w Ameryce, powinny zająć polskich czytelników. Mała tylko liczba Polaków tutejszych składa się z byłych poddanych państwa rosyjskiego, daleko zaś znaczniejszą część stanowią wychodźcy z Wielkiego Księstwa Poznańskiego, ze Śląska, Prus Wschodnich i Galicyi. Dokładny spis wszystkich osad, rozproszonych w Ameryce, oraz ludności tak miejskiej, jak wiejskiej, byłby rzeczą nader potrzebną i pożądaną. Podobną pracę rozpoczęło już nawet pismo „Orzeł“, wychodzące swego czasu w Missouri,

ale z powodu obojętności i opieszałości Polaków z nadsyłaniem materyałów, skończyło się na paru numerach. Później też „Orzeł" przestał wychodzić. Niedokończoną pracę podjął Kalendarz Polski, ukazujący się corocznie w Chicago, Illinois, z którego głównie korzystam. Ogólną liczbę Polaków podają gazety polskie, wychodzące w Chicago, na 200—300 tysięcy, a nawet jedna z nich utrzymuje, że jest ich do pół miliona. Cyfry te jednak są nieprawdziwe i powiększane umyślnie. Pismom polskim, z których wyjątki, tłómaczone na angielski, pomieszczane są dosyć często w dziennikach amerykańskich (o co starają się sami Polacy redaktorowie), pismom tym, powtarzam, chodzi o to, aby przedstawiać się, jako organa wielkich partyi i poczytne. Z jednej strony ściąga im to płatne ogłoszenia kupców, stanowiące główny zysk dzienników tutejszych, z drugiej—nadaje pewne znaczenie polityczne w czasie wyborów. Istotnie, w takiem Chicago lub Milwaukee, gdzie ludność słowiańsko-polska gęsto jest osiadła, na każdego kandydata niemałą rzeczą jest mieć za sobą głosy, które nie mogą wprawdzie same jedne na urząd go posadzić, ale, jeśli chodzi np. o rozstrzygnięcie między kandydatem republikańskim a demokratycznym, mogą szale na jedną lub drugą stronę przeważyć. Oczywiście, kandydat, chcąc mieć głosy jakiejś narodowości, nie udaje się do pojedyńczych osób, ale do

ich dziennika, wyświadczając mu rozmaite usługi lub obiecując korzyści odpowiednie do liczby głosów, i stąd owa przesada wszystkich dzienników w podawaniu liczby swych abonentów i wogóle współrodaków.

Z powyższych powodów cyfry, trafiające się w gazetach polskich tutejszych, oznaczające ce ludność polską na 200, 300 do 500 tysięcy dusz, nie zasługują na żadną wiarę. Mogą one być prawdziwe w stosunku do wszystkich ludzi słowiańskiego pochodzenia, jest tu bowiem dużo Słowaków, Serbów, a zwłaszcza Czechów, ludność jednak czysto-polska nie wynosi według prawdopodobieństwa, więcej, jak 70—90 tysięcy głów razem.

Na pytanie, gdzie i w których stanach ludność ta głównie przemieszkuje, trudno jest odpowiedzieć. W kraju tak prawie wielkim, jak cała Europa, obfitującym w miasta, a przytem posiadającym ludność niezmiernie ruchliwą, wszelkie skupienie inne, jak polityczne lub moralne, jest rzeczą niemożliwą. Polacy więc żyją rozproszeni od oceanu Atlantyckiego aż do krańców Kalifornii i od Kanady do Rio-Grande. Niema ani jednego miasta lub miasteczka, w któremby ich nie było, w pewnych jednak miejscowościach skupieni są liczniej, w innych tonną w ludności ogólnej i, pozbawieni wszelkiej spójni z ogółem, wynaradawiają się łatwo, bądź

to przez wpływ amerykański, bądź przez niemiecki.

Ludność polska dzieli się na wiejską i miejską. Pierwsza, złożona prawie wyłącznie z emigrantów, chłopów, zajmuje się rolą, albo w charakterze farmerów-właścicieli, albo najemników. Jest ona, po większej części, skupiona w mniejsze lub większe grupy, albowiem chłopi poznańscy, śląscy i galicyjscy, przybywający tu, zwykle pod wodzą księży, trzymają się ich stale, powierzając im wybór gruntu na osadę, prowadzenie spraw, kościół i szkołę. Stąd powstają osady wiejskie czysto-polskie, których ognisko stanowi kościół. Nowo lub pojedyńczo przybyli włościanie przyłączają się do osad, już założonych, przez co parafie, a zarazem znaczenie i dochody ich przewodników coraz się powiększają. Ludność miejska, rozproszona po miastach, trudni się w mniejszej części handlem i przemysłem, a w daleko znaczniejszej—wyrobkiem. Spójnie jej stanowią „towarzystwa", noszące charakter przeważnie kościelny, albowiem i ona, a zwłaszcza najniższe i najmniej oświecone jej warstwy zostają w rękach duchownych. Głównem ogniskiem Polaków jest Chicago, położone w Illinois (czyt. Illinois nie Illinua), nad brzegami olbrzymiego jeziora Michigan. W mieście tem, liczącem przeszło pół miliona mieszkańców, ma się znajdować około 20,000 Polaków. Sądząc z przestrzeni mia-

sta, jaką zamieszkują, a jaką Niemcy tamtejsi szyderczo zowią „Polakaj", cyfra ta nie wydaje się przesadzoną. Najwięcej Polaków osiadło, nabywszy nieruchome własności, w północno-zachodniej stronie miasta, przy ulicy Milwaukee Avenue. Ci wynajmują mieszkania innym, biedniejszym, po największej części robotnikom, między którymi wielu jest chłopów poznańskich, śląskich i galicyjskich. Tu też wznosi się przy narożniku Noble i Bradley, kościół ś. Stan. Kost., wraz ze szkołą, pozostającą w ręku duchownych. Kiedy z czasem liczba Polaków zaczęła wzrastać, wzniesiono między Milwaukee Avenue a Division Street drugi kościół, o który jednak natychmiast poczęły się wielce gorszące między duchownymi spory, albowiem przewodniczący dawnego chcieli uważać nowy za kaplicę tylko, nowy zaś zapragnął utworzyć odrębną parafię. Wojnę, jaka stąd powstała, zakończyło dopiero zabranie nowej budowli za długi, które od początku nie były pokryte i prawdopodobnie nigdy nie będą.

W przeciwnej stronie miasta, południowo-zachodniej, osiadła także dość znaczna liczba Polaków, ci jednak pomieszani są z cudzoziemcami. Spójnią dla wszystkich są, jak wspomniałem, towarzystwa. Celem ich ma być także obrona swych członków przed obcymi, wynaradawiającymi wpływami. Jest tych towarzystw

dziewięć, ale siedm z nich nosi charakter czysto kościelny, mając na czele księży. Świeckich, na gruncie czysto narodowościowym opartych, jest dwa: Gmina Polska i Tow. Kościuszki, ale że i kościelne pragną nosić także charakter narodowościowy, przysłaniają zatem dla większej części niewykształconych umysłów potrzebę jednego, ogólnego stowarzyszenia, wszystkie zaś, razem wzięte, częstokroć nie idąc zgodnie, przeszkadzają sobie wzajemnie.

Drugiem ogniskiem, w którem licznie skupiła się ludność polska, jest Milwaukee, położona w stanie Wisconsin, nad brzegiem tegoż samego jeziora Michigan. Liczba Polaków, tu zamieszkałych, ma dorównywać tejże w Chicago, wogóle zaś Polacy tamtejsi są zamożniejsi od zamieszkałych w innych miastach. Istnieją tu dwie szkoły, z których jedna 3 klasowa, druga elementarna, stowarzyszenia wszystkie podobnie noszą charakter kościelny.

W tymże stanie Wisconsin leży Northeim, jedna z najzamożniejszych i najstarszych kolonii, założona od lat siedmnastu, wśród ogromnych lasów. Ziemia, zajętá przez kolonię, nabyta była bardzo tanio albo zajęta na prawach osadniczych (klemowych), z obowiązkiem spłacania rządowi w ciągu lat dziesięciu. Później, gdy okolica zaczęła się ożywiać tak pod względem przemysłowo-handlowym jak i rolniczym, ceny gruntu podskoczyły szybko w górę, skut-

kiem czego dawni osiedleńcy stali się właścicielami dość znacznych majątków. Istnieje tu szkoła, do której uczęszcza około 90 słuchaczów, dająca starszym chłopcom przygotowanie do wyższych zakładów naukowych. Ludność chłopska zostaje tak tu, jak i wszędzie, pod zarządem duchownego. Stowarzyszenie jednak tutejsze ma charakter bardziej świecki.

W New-Yorku, wedle przybliżonych obliczeń, ma się znajdować około ośmiu tysięcy Polaków, połączonych po większej części w stowarzyszenia świeckie. Mieli oni tu swój organ, Kuryer Nowoyorski, który niedawno przestał wychodzić. Prócz tego w każdem ze znakomitszych miast mieszka większa lub mniejsza liczba Polaków, połączonych albo w towarzystwa świeckie, jeżeli członkowie stanowią przeważnie tak zwaną inteligencyę, albo w kościelno-parafialne, jeśli składają się z włościan i wyrobników. Cytowanie tych miast, każdemu znanych z geografii, uważam za zbyteczne. W niektórych liczba Polaków może dochodzić do tysiąca lub więcej; nie zamieszkują jednak osobnych dzielnic i w stosunku do ogółu ludności zbyt są nieliczni, aby stanowić pewną, narodowościową jednostkę, mającą znaczenie, socyalne lub polityczne. Natomiast pozwolę sobie wymienić wszystkie osady i „parafie", albo czysto polskie, albo takie, w których ludność polska w stosunku do ogólnej gra jakąkolwiek

rolę. Będzie to materyał informacyjny i wykazowy, który z czasem przydać się może. Miasta te, osady i „parafie", przedstawiają się, jak następuje: Detroit (Michigan, Pittsburg (Pensylw.), Lemont (Illin.), Kalument (Mich.), Lykens (Pens.), St. Paul (Minnesota), Shamotin (Pens.) Berca (Ohio), Polonia (Wisconsin), Stevenspoint (Wisc.), North Creek (Wisc.), Piane Creek (Wisc.), Beaverdam (Wisc.), Teresa (Wisc.), Northport (Wisc.), Oshkósh (Wisc.), Princetown (Wisc.), Grenbay (Wisc.), Kraków (Minn.), Radom (Illin.), Dunkirn (N. Y.), La Salle (Ill.), Dellano (Mich.), Farribould (Minn.), Winona (Minn.), Shenahdoah (Pen.), Nauticoke (Pens.), Toledo (Ohio), Cleveland (Ohio), Cedar Rapids (Mich.), Bay-City (Mich.), Jefersonwille (Indyana pod ks. Moczygębą), Otis (Ind.), Lauesville (Indyana), Panna Marya (Teksas), San Antonio (Teksas), Cottage Hill (Teks.), Mulberry (Teks.), Bluff (Teks.), Bandera (Teks.), Platonia (Teks.), Plantersville (Teksas), a nakoniec dwie jeszcze świeżo założone Waren-Hoino przez Choińskiego w Arkansas i Nowy Poznań w Nebrasce.

Spis ten może być niedokładnym i nie obejmować wielu miejscowości i osad, bądź wyłącznie, bądź w znacznej części przez Polaków zamieszkałych. I tak wiele miasteczek, położonych w rozmaitych stanach, nosi nazwę „Warsaw", godziloby się więc przypuszczać, że War-

szawy te przez Polaków założone i zamieszkałe. Tymczasem w Kronice Polonii, zamieszczonej w kalendarzu Przyjaciela ludu, żadna z nich nie jest podaną. Być może jednak, że nie mają one znaczenia. Mapy tutejsze, przedstawiające terytorya mało zamieszkane, notują bardzo małe nawet osady, choćby złożone z jednego tylko domu i przez jedną rodzinę zajęte. Następnie, powtarzam jeszcze raz, że spisy te nie obejmują wszystkich miast dobrze znanych (jak np. Washington, Boston, Filadelfia, St. Louis, N. Orleans, Baltimore, St. Francisco etc.), w których ludność polska, mniej lub więcej liczna, nie gra jednak, w stosunku do ogólnej, żadnej roli i albo słabo, albo wcale nie jest uorganizowana. Niektóre z osad, powyżej wymienionych, są to, jak same nazwy ich wskazują, wielkie wsie lub małe miasteczka handlowo-rolnicze, czysto polskie, inne mają ludność mieszaną, przeważnie jednak polską. Organizacya parafialna jest prawie powszechną. W niektórych miejscowościach, jak np. w Lemont Illinois, koloniści polscy stanowią jedną parafię z Czechami, w innych, jak z Kalument, nawet z Irlandczykami.

Ze spisu powyższego widzimy także, że najwięcej Polaków zamieszkuje w stanie Wisconsin, graniczącym na południe z Illinois, na północ z częścią stanu Michigan i jeziorem Wyższem (Superior), na zachód z Minnesotą, na wschód nakoniec z jeziorem Michigan. Stan ten

leży pomiędzy 42 a 44 stopniem szerokości północnej. Jest to kraj lesisty, obfitujący w rzeki, strumienie i mniejsze lub większe jeziora. Klimat, podobny do polskiego lub może nawet ostrzejszy, a przynajmniej przedstawiający bardziej wybitne różnice między porami roku, pozwolił odrazu zrozumieć polskim osadnikom warunki rolnicze. Przedstawiały się one podobnie do tych, do których przesiedleńcy byli przyzwyczajeni w domu. Ziemia, wogóle urodzajna, wydawała też same zboża. Skąd ułatwienie pracy, i większy stosunkowo, niż gdzieindziej, dobrobyt osadników. Przytem osady te, jak np. w Northeim, były założone dawniej od innych, a zatem ziemie, tanio nabyte, podwoiły lub potroiły się od kilkunastu lat w cenie, ludność zżyła się z krajem, owładła językiem, obeznała się z handlem, przemysłem i t. d. Po Wisconsin najwięcej ludności polskiej posiada Illinois, ludność jednak tutejsza przeważnie jest miejską. Czysto rolnicza zamieszkuje Teksas, gdzie leżą czysto polskie osady Panna Marya i Częstochowa. O stanie jednak tych osad brak mi dokładnych wiadomości. Koloniści musieli tu zwalczać daleko większe przeszkody, niż gdzieindziej. Główną przeszkodę stanowił klimat, do którego nowoprzybyli koniecznie przyzwyczajać się muszą, a nim się przyzwyczają, przechodzić rozliczne dolegliwości. Dalej rolnictwo musi w kraju tak południowym być zupełnie odmienne. Główny

produkt stanowi tu bawełna, dalej trzcina cukrowa, drzewa pomarańczowe, palmowe i t. d. Nowoprzybyli rolnicy musieli zaczynać naukę rolnictwa od a, b, c, z tem wszystkiem, położenie osadników, oddawna już przybyłych, ma być dosyć znośne, spójność zaś ich zadawalająca. Co do dwóch, nowo założonych kolonii: Waren-Hoino w Arkansas i Nowego Poznania w Nebrasce, zdołały już one zgromadzić po kilkadziesiąt familii, przyszłość ich jednak arcy jeszcze niepewna. Rzecz była taka. W ostatnich czasach między Polakami, zamieszkałymi w Chicago, pojawiła się dążność do zamienienia życia wyrobniczego w mieście na pług i siekierę pionierską. Czy dążność ta sama przez się pojawiła się w niższych warstwach tamtejszych, czy zostala im podsunięta przez redakcye pism, Gazety Polskiej katolickiej i Gazety Polskiej Chicagowskiej Dyniewicza, nie umiem tego objaśnić. Bądź co bądź, sama w sobie była pożyteczną. W miastach amerykańskich, a zwłaszcza w miastach silnie zaludnionych, robotnicy, jeżeli „business" idzie dobrze, mają dość znaczne zarobki i wogóle żyją lepiej i dostatniej, niż w Europie. Ale zdarza się często, że, bądź to z powodu przyczyn miejscowych, bądź to z powodów politycznych, wyborów, bezroboci, zaburzeń, etc. pojawia się chwilowy zastój w interesach. Wówczas w mieście bardzo ludnem większa część robotników traci robotę i zostaje

bez kawałka chleba. Życie więc wyrobnicze zawsze jest niepewne, rzadko sprzyjające zebraniu jakiego takiego grosza. Tymczasem osadnik rolniczy w Ameryce, zająwszy ziemię rządową na prawach klemowych, z wypłatą na lat dziesięć, po dolarze i pół od akra (morg), lub nabywszy takową, również na częściową spłatę, od kolei żelaznej, przy pracy i wytrwałości dochodzi niezawodnie do posiadania własności i spokojnego kawałka chleba. Inaczej nie może być. Początkowo osadnicy prowadzą życie nad wszelki wyraz ciężkie. Trzeba mieszkać w ladajako skleconych domach, karczować lasy, opędzać się febrze w niezdrowych okolicach, wężom, mustykom i tam dalej. Kwitnący jednak stan wielu osad niemieckich, szwedzkich, duńskich dowodzi, że praca i trudy opłacają się w końcu. Przytem, jak dla wszystkich narodowości, tak i dla Polaków, owo łączenie się i zakładanie osad miało jeszcze inne znaczenie. Pracując zosobna po rękodzielniach lub warsztatach rzemieślniczych, ocierając się ciągle o żywioły obce, niepodobna nie wynarodowić się zwolna; tymczasem w osadach, gdzie ludność jednolitą siada masą, podobne niebezpieczeństwo mniej grozi. Ze swojej strony rząd Stanów i Amerykanie wogóle nie tylko nie objawiają najmniejszej dążności do wynaradawiania kogokolwiek, ale przeciwnie: zapewniają wszystkim wszelkie prawa, żądane

i nieżądane. Jest to poprostu zarówno praktyczna, jak i rozumna polityka; rząd waszyngtoński bowiem pojmuje doskonale tę prawdę, że Niemcy, Francuzi, Włosi i t. d., nie przestając być sobą, będą jednak wybornymi obywatelami amerykańskimi, jeśli im w Ameryce będzie dobrze. Zachowają oni wprawdzie przez długi czas swój język, ale ponieważ narodowości i języków jest mnóstwo, wszystkie więc razem muszą przyjąć, chcąc nie chcąc, język angielski, jako wspólny, handlowy, urzędowy i społeczny. Jak więc powiadam, zakładanie osad nie spotyka tu z żadnych stron trudności; potrzeba tylko człowieka, któryby się sprawą zajął, grunta odpowiednie odszukał, nabył i podzielił. Podobny przewódca znalazł się w Chicago w osobie niejakiego pana Choińskiego; ten zakupił grunta w Arkansas, nazwał mającą się założyć kolonię, niezbyt zresztą szczęśliwie, Waren-Hoino i, odmalowywując ją w barwach istotnie może przesadzonych, zdołał zgromadzić, prócz stu kilkudziesięciu rodzin, które z góry się zapisały, wielu nowych jeszcze kandydatów. Popierała całe to przedsięwzięcie bardzo usilnie Gazeta Polska Chicagowska Dyniewicza, rywalizująca i prowadząca z Polsko-Katolicką bardzo zaciętą, a poprostu powiedziawszy, bardzo haniebną dla obu stron wojnę. W tem miejscu, jakkolwiek o wydawnictwach powiem później obszerniej, wypada mi

poświęcić kilka słów ogólnemu ich charakterowi. Obie te gazety stoją na gruncie religijno-katolickim. Pierwsza z nich, Polsko-Katolicka, redagowana jest przez księży, musi więc być taką, jak jest; druga, Dyniewiczowska, byłaby może inną, gdyby wydawcy nie chodziło o niezrażanie sobie włościan i robotników, z włościan złożonych. I Dyniewicz więc grywa na religijnym organie, z towarzyszeniem jednak pewnej liberalnej nuty. Zarzuca on przeciwnikom poświęcanie interesów ogólnych ultramontanizmowi, obałamucanie ludu, przezywa ich „Zmartwychwstańcami" lub „szajką Zmartwychwstańców", zdrajcami i tym podobnie. Oczywiście Barzyńscy (wydawcy Polsko-Katolickiej) oddają mu pięknem za nadobne, w całej zaś sprawie po obu stronach większą zdaje się grać rolę ambicya, chęć wyniesienia się, ściągnięcia abonentów, a zatem i zysków, niż zamiłowanie dobra ogólnego. Okazało się to przy sprawie kolonii. Gdy gazeta Dyniewicza zaczęła popierać Choińskiego i stawać się organem sprawy istotnie ważnej, w której nie szło o puste krzyki i deklamacye, ale o coś istotnego, przeciwnicy jej i całego stronnictwa „Dyniewicza-Choińskiego" spostrzegli się, że tamci mogli pociągnąć większość za sobą i postanowili przeciwdziałać. Z początkowania więc Gazety Polsko-Katolickiej powstała myśl założenia jednocześnie drugiej osady polskiej

w Nebrasce, pod nazwiskiem Nowy Poznań. Ponieważ kandydatów nie brakło, zakupiono wkrótce grunta, i Nowy Poznań przeszedł także z dziedziny zamysłów w dziedzinę rzeczywistości. Obie gazety poczęły teraz wysławiać, każda swoją osadę, nie znajdując słów na potępienie przeciwnej. Nowemu Poznaniowi zarzucano, że położony jest w stepach, z których rzeczywiście składa się cała Nebraska, w krainie bezdrzewnej, gdzie nie będzie z czego pobudować domów, a nakoniec w okolicach, pustoszonych od czasu do czasu przez szarańczę. Barzyńscy odpowiadali natomiast, że grunta w Arkansas pokryte są dębami, których karczunek tak długo może się przeciągnąć, iż osadnicy z głodu pierwej poumierają; dalej mówiono, że okolica zakupiona, ma płytko tylko wastwę czarnoziemu, pod którą znajduje się nieurodzajny żwir, a nakoniec, iż okolica rok rocznie zatapianą bywa przez wody rzeki Arkansas, z czego powstają zabójcze febry i inne choroby, dziesiątkujące ludność. Obie strony wysyłały komisye, mające sprawdzić istotny stan rzeczy, ale komisye te, składając się z ludzi, należących do stronnictw, a zatem stronnych, powtarzały za i przeciw, wedle widoków stronnictw, a prawda zginęła ostatecznie pośród tego zamętu.

Wobec takiego stanu rzeczy, z największemi tylko zastrzeżeniami można wydać sąd

w tej sprawie. Faktem jest jednak, że Waren-Hoino zrobiło ostatecznie pewne „fiasco". Arkansas słynie wprawdzie z urodzajności ziemi, obfitość lasów jest jedną dodatnią stroną więcej dla wszelkiej kolonii; nakoniec o klimacie Arkansasu nie słyszałem, aby miał być niezdrowy, jak np. w Teksas. Ale być może, że kupno było prowadzone lekkomyślnie, ziemia wybrana nieopatrznie, działki przeprowadzane z uwzględnieniem różnych cząstkowych widoków, wreszcie zarząd funduszami naganny; większa część osadników, którzy się już byli do Waren-Hoina wybrali, powrócili stamtąd bardzo śpiesznie, podnosząc w niebogłosy krzyk, że została omamioną najhaniebniej. Niektórzy, wydawszy wszystkie pieniądze na drogę, a nie chcąc osiąść w osadzie, znaleźli się istotnie w bardzo przykrem położeniu. Gazeta Barzyńskich zatryumfowała. Nazwano wyprawę do Hoina „wyprawą na Sybir". Wezwano Choińskiego i Dyniewicza, aby złożyli rachunki z powierzonych im funduszów, czego istotnie dotąd nie uczynili, krótko mówiąc, pokazuje się ze wszystkiego, że Dyniewiczowi i Choińskiemu wiele jest w całej sprawie do zarzucenia, czego dowodem jeszcze i to, że ich gazeta, powoławszy się na Platona, czy na innego mędrca, polecającego „głupim" nie odpowiadać, zamilkła i ostatecznie o sprawie Waren-Hoina więcej się nie odzywa. To przerwanie gorszącej polemiki bardzo

byłoby pożądanem, ale zauważyć należy, że co innego jest prowadzić polemikę o nic i obrzucać się obelgami, a co innego przedstawić dowody, jeśli takowe są, że się funduszów, powierzonych sobie, nie zmarnowało, i całą sprawę, na której istotnie ludziom zależy, prowadziło uczciwie i sumiennie. Nie znając Dyniewicza ani Choińskiego osobiście, ale tylko z odgłosów nader przeciwnych, nie pozwalam sobie przypuszczać, aby prowadzili ludzi „na zgubę", w widokach osobistego zysku. Ale z całego toku sprawy i z tego, jak sami siebie w swoich orędziach przedstawiali, wnioskuję, że są to ludzie ambitni, rodzaj demagogów, nie bardzo przebierających w środkach, które mogą posłużyć im do wyniesienia się i zagarnięcia przewództwa. Zgubić swoich osadników, zapewne, nie chcieli, ponieważ byłoby to wprost przeciwne i dobru Choińskiego, który osobiście ma mieszkać w swojem Waren-Hoinie, i Dyniewicza, jako redaktora gazety. Być może jednak, że, zaślepieni nienawiścią do przeciwnego stronnictwa i ambicyą, zapędzili się zbyt daleko, robili rzeczy zbyt pośpiesznie i... przez to sprawę zachwiali.

Obecnie w Waren-Hoinie pozostał podobno ten tylko, kto, wydawszy pieniądz na drogę, nie miał za co powrócić. Być jednak może, że ci, co zostali, dojdą z czasem do kawałka chleba. Kto zna nasz, łatwo zrażający się trudnościa-

mi, charakter, i łatwość, z jaką niczem nieusprawiedliwione nadzieje zmieniają się w zupełne zniechęcenie, ten przypuści zapewne, że te wady wzięły także niemały udział w owym pośpiechu, w jakim osadnicy Waren-Hoino opuścili.

Bądź co bądź, sprawa ta nie przynosi zaszczytu Dyniewiczowi i Choińskiemu, ale nie przynosi go także ich przeciwnikom. Jakkolwiek z Nowego Poznania nie dochodzą tak alarmujące wieści, jak z Waren-Hoina, jakkolwiek rzeczy te mogły być robione ostrożniej, jednakże, biorąc na ogół, żyzny, ciepły i lesisty Arkansas posiada więcej warunków, zapewniających rozwój wszelkiej kolonizacyi, niż stepowa, zimna i bezdrzewna Nebraska. Ale cóż robić! gdy przedewszystkiem każdej gazecie chodziło o to, by miała swoją kolonię. Sprawa ogólna poszła wobec tej prywatnej w poniewierkę. Gdyby, zamiast przeszkadzać sobie wzajemnie, wzięto się wspólnemi siłami do dzieła, rzeczy ułożyłyby się z pewnością inaczej. Przedewszystkiem, im więcej osadników, by się zebrało, tem osada byłaby żywotniejszą, potężniejszą i bezpieczniejszą. Dalej, im większe kupionoby obszary gruntu, temby je można nabyć taniej. Byłoby możliwem założenie szkół, rozmaitych instytucyi pomocniczych, i t. d., ale wszystko to wymagało zgody, a zgoda między ludźmi, patrzącymi nawet na kupno kawałka

gruntu ze stanowiska religijnego, jest rzeczą poprostu niemożliwą.

Stoją więc, a raczej wegetują: Waren-Hoino i Nowy Poznań. Na nich kończą się moje wiadomości, tyczące się osad polskich, rozproszonych w Ameryce; wyliczanie ich wydałoby się czytającym może zbyt suche, dlatego przechodzę teraz do uwag ogólniejszej natury.

Z tego, com już powiedział, ze wzmianek o „parafiach" i towarzystwach kościelnych czytelnik może wyrobić sobie pojęcie, że wychodźtwo tutejsze jest czemś zupełnie innem, niż europejskie. „Emigrantami", w zwykłem znaczeniu tego wyrazu, nazywamy u nas ludzi, którzy z powodów politycznych po czasach powstania lub zaburzeń zmuszeni byli kraj opuścić. Tu, w Ameryce, żywioł ten stanowi niezmiernie małą część i nie odgrywa żadnej roli. „Emigracya" tutejsza opuściła kraj nie dla urzeczywistnienia ideałów politycznych, ale dla chleba. Po większej części są to chłopi, pozostający w rękach księży. Dlatego pojęcia radykalności, związanego z imieniem emigracyi, do tutejszej bynajmniej zastosować się nie da. Mówię, oczywiście, o ogóle, nie o szczegółach. Ogół ten jest arcykonserwatywnym, arcyreligijnym i zupełnie w rękach duchowieństwa. Stan taki rzeczy da się łatwo wytłómaczyć. Chłopi, z natury religijni, przybywają tu bez znajomości kraju, języ-

ka, stosunków, widzą w duchownym nie tylko pasterza dusz, ale swego pełnomocnika, rządcę i sędziego. Kościół jest ogniskiem, około którego się grupują nicią, wiążącą ich z krajem czemś swojskiem, własnem, czemś ochronnem. „Parafia" staje się jednostką nie tylko w znaczeniu duchowem, ale i socyalnem. Oczywiście, duchowni, zająwszy raz tak przodujące stanowisko, nie chcą z niego ustąpić; przeciwnie, roszczą prawo do przewodnictwa nad tymi nawet, którzy bynajmniej nie są usposobieni ich słuchać, uważając się za jedynych prawych przedstawicieli interesów nie tylko dusznych, parafialnych, ale i ogólnych, za naturalnych rządców narodowości. Jakoż, posiadając za sobą większość, przeprowadzają wszystko, co chcą. Inteligencya świecka, o ile idzie jej o sprawy ogólne, musi się temu wpływowi poddawać, w przeciwnym razie bowiem bywa przegłosowana. Gdyby to, co mówię, potrzebowało dowodów, mógłbym ich znaleźć dowoli. Przy poruszanej kilkakrotnie myśli powiązania jednym organizmem wszystkich przesiedleńców, gazeta Barzyńskich podała myśl wytworzenia pewnego ciała rządzącego, złożonego z dwóch izb. Izba niższa miała się składać z delegatów wybieralnych, wyższa, czyli „senat" (?), z duchownych (!!). Przypuszczam, że niejeden z czytelników dwa razy przeczyta te słowa, nim uwierzy własnym oczom. Niemniej tak jest.

Dziwnym zbiegiem okoliczności na tej ziemi, najwolniejszej i najbardziej postępowej, wracają pod pewnym względem czasy średniowieczne, w których władza świecka spoczywała w rękach duchownych. Do jakiego stopnia wpływ ten opanował tu wszystko, dowodem także są i pisma tutejsze, wychodzące w języku polskim. Wszystkie one, nie wyłączając „Gazety Polskiej Chicagowskiej", mają charakter nie tylko narodowościowy, ale narodowościowo-religijny. Ponieważ nic mnie nie krępuje w wypowiadaniu mego zdania, powiem więc otwarcie, iż wszystko nakazuje mi sądzić, że naprzykład we wspomnianej Gazecie Dyniewicza nuta owa religijna nie idzie wcale z serca. Jestem nawet prawie pewny, że gazeta owa weszłaby chętnie na drogi wprost przeciwne, gdyby nie obawiała się utracić wszelkiego wpływu i większej części swych abonentów. Z pism innych jeden tylko „Kuryer Nowoyorski" stał na stanowisku ogólnem, ale też upadł. Zabiły go nie tylko ustawicznie zmieniające się redakcye, które po wyjeździe Horaina do San Francisco przechodziły w coraz inne, a prawdę rzekłszy, w coraz nieudolniejsze ręce, ale i brak poparcia ze strony duchownych. Co do Dyniewicza, walczy on wprawdzie zaciekle z partyą Barzyńskich i dotychczas utrzymuje się jeszcze, ale dzięki jedynie temu, że naprzód ma poparcie pewnej liczby księży, nie idących z rozmaitych

powodów z Barzyńskimi, a powtóre, że w każdym numerze zapewnia czytelników swoich, jakoby on właśnie i on jedynie był prawdziwie, nie „zmartwychwstańczo- jezuickim", ale czysto katolickim wydawcą.

Ten to pierwiastek religijny, tak zamieszany w interesa ogólne, że żadną miarą odczepić się od nich nie daje, i wyjątkowa przewaga duchowieństwa, stanowi główną cechę emigracyi tutejszej. Wprawdzie duchowieństwu niepodobna odmówić pewnej zasługi; ono bowiem, skupiając rozproszonych włościan, ogniskując ich w duchowne i socyalne „parafie", broni ich poniekąd przed wpływem niemieckim, przed rozproszeniem się zupełnem i zatonięciem bez echa w pierwiastkach obcych. Z drugiej jednak strony, każdy bezstronny i poważnie patrzący na rzeczy człowiek przyzna, że owo pomieszanie interesów ogólnych z duchownymi może także wychodzić na szkodę pierwszych. Czasem te interesa bywają zgodne, a czasem wzajem sobie obojętne lub nawet przeciwne. W tym ostatnim razie, gdy wszystko spoczywa w rękach duchowieństwa, ogólne muszą ustępować religijnym. Gdyby powody np. miejscowo-polityczne nakazywały Polakom głosować przeciw Irlandczykom, a religijne za nimi, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że duchowni skłanialiby swoich „parafian" do głosowania za Irlandczykami. Powie ktoś, że to jest wypadek

niemożliwy; ale w gruncie rzeczy jest możliwy. Przypuśćmy, np. wojnę, St. Zjednoczonych z Anglią. Wprawdzie tu sprawy pokoju i wojny nie przechodzą ludzie, którzy o pokoju i wojnie stanowią.

Są jednak sprawy, nie tylko przypuszczalne, możliwe i pośrednie, ale bezpośrednie, w których przewaga duchowieństwa i pomieszanie zupełne żywiołu religijnego z narodowościowym nie wychodzi na korzyść tego ostatniego. Pomijam już zarzut, czyniony duchowieństwu przez wielu ludzi, należących do inteligencyi, że wyzyskuje lud prosty na własną korzyść. Jedni duchowni wyzyskują, i mógłbym takich wymienić, gdyby komu coś na tem zależało, drudzy nie, ale jest inny wzgląd. Oto przewaga duchowieństwa odstręcza od brania udziału w interesach ogólnych inteligencyę świecką. Trzyma się też ona, powszechnie, osobno. Doktorom, inżynierom, adwokatom i innym przedstawicielom nielicznej zresztą inteligencyi trudno wbrew własnym zasadom służyć prawom kościelnym, które przedewszystkiem bywają uwzględniane. Można dla interesów ogólnych poświęcać miłość własną, można zgodzić się na „senat", złożony z księdza Moczygęby i wielu innych duchownych, którzy zresztą mogą być zacnymi ludźmi, ale niepodobieństwem jest służyć kierunkom, uwzględniającym te interesa ogólne o tyle tylko, o ile nie stoją one na prze-

szkodzie wyłącznie religijnym lub wyłącznie duchownym. Wiem, że jest wielu ludzi przekonanych, że te ostatnie nigdy nie sprzeciwiają się pierwszym, postaram się więc jeszcze o dowody, że bywa przeciwnie. I tak naprzykład: wszelka narodowość do tem większego w Ameryce dochodzi znaczenia, tem większy wpływ może wywierać na wewnętrzną politykę Stanów Zjednoczonych, zatem na ustawy i urządzenia z własnem dobrem zgodne, im jest liczniejszą, bogatszą i bardziej zorganizowaną. Irlandczycy i Niemcy mają wpływ podobny, Polacy—nie! Zbyt mało są liczni, zbyt ubodzy ogólnie, zbyt mało znaczący. Ale położenie rzeczy zmieniłoby się niezawodnie, gdyby w ogólny ustrój, mający wprowadzić jedność wewnętrzną między Polakami, weszli i Żydzi. Nie mówię tu o poznańskich i galicyjskich, ci bowiem trzymają z Niemcami, ale o Żydach z Królestwa, których w całych Stanach na sto tysięcy można rachować, a którzy przedstawiają nie tylko takąż ilość głosów, ale i kapitał. Są to bowiem po największej części ludzie zamożni. Nędzne i zasługujące na wszelką pogardę przesądy rasowe, odgrywające tak wielką rolę w Europie, tu nie istnieją; niby więc nie przeszkadzało przyłączeniu się Żydów do rozlicznych towarzystw polskich, gdyby nie to, że towarzystwa te noszą charakter kościelno-religijny, uwzględniający tylko Polaków wy-

znania katolickiego. Samym Żydom nie brakłoby ochoty. Słyszałem to z ust wielu z nich. Nie potrzebuję zaś dodawać, że przyniosłoby to nieobliczone korzyści. Wszystkie zamiary organizacyjne rozbijają się tu wiecznie o brak funduszów. Otóż Żydzi mają fundusze. Inne narodowości posiadają własne wyższe szkoły, biblioteki, własne szpitale, instytucye, zapewniające pomoc w wyszukaniu zarobku nowo przybywającym, własną ogólną kasę, przeznaczoną do wspierania nie tylko pojedyńczych osób, ale i całych kolonii w razie klęsk pożaru, nieurodzaju, powodzi i szarańczy. Polacy mogliby to mieć wszystko, gdyby byli bogatsi i liczniejsi po złączeniu się z Żydami polskiego pochodzenia, które to połączenie nie nastąpiło i nigdy nie nastąpi, ze względu na przeszkody, jakie stawiać mu będą duchowni.

Nakoniec połączenie wszystkich ludzi polskiego pochodzenia w jeden organizm wymagałoby pewnych kosztów na administracyę i inne instytucye, o których wyżej wspomniałem. Koszta te opłaciłyby się niezawodnie niezmiernemi korzyściami całemu ogółowi, ale przyniosłyby pewien uszczerbek dochodom parafialnym. Jest to także wzgląd, który stanowi niemałą przeszkodę wprowadzeniu połączenia.

Sprawozdanie to moje zupełnie jest przedmiotowe. Nie mam zamiaru prowadzenia z ni-

kim dziennikarskiego sporu, ani też torowania drogi dla zmian, choćby z tej prostej przyczyny, że pismo wasze tu nie dochodzi. Wezwaliście mnie do odmalowania wam stanu stosunków tutejszych, przedstawiłem je zatem tak, jak same się przedstawiają. Wyliczyłem wszystkie ich złe i dobre strony, wszystkie pro i contra; pozostaje mi tylko dodać parę jeszcze uwag ogólniejszej natury. Według mego zdania, Polakom tutejszym grozi niechybnie wcześniejsze lub późniejsze wynarodowienie się i całkowite rozpłynięcie w żywiole amerykańskim lub niemieckim. Połączenie ich w jeden organizm, powstanie instytucyi własnych ochronnych mogłoby owo wynaradawianie się opóźnić, ale ponieważ te tarcze nie istnieją, niema więc o czem mówić. W niektórych miejscowościach, zamieszkałych przez Polaków i Niemców wspólnie, nacisk żywiołu germańskiego nie jest tu mniejszy, niż w Poznańskiem lub na Śląsku, a lubo nie urzędowy, również prawie jest skuteczny, ze względu na to, że działa na ludność, od pnia macierzystego oderwaną, a posiadającą mało daru organizacyjnego. Uwzględnić tu także należy, że znakomita część wychodźców składa się z Kaszubów, Mazurów pruskich, Ślązaków i Poznańczyków, do zniemczenia już niejako przygotowanych. Świeży napływ wychodźców mógłby być pewną tamą w tym względzie, ale, pominąwszy już, że nie należy go so-

bie życzyć, faktem jest, że napływ ten się zmniejsza. Gorączka wychodźtwa, również jak i warunki, które ją powodują, są to rzeczy przemijające, które, doszedłszy do swego „maximum", następnie słabieją. Mówiąc nawiasem, dla kraju macierzystego jest to okoliczność arcypomyślna. Ale nie o to mi chodzi. Z mniejszym napływem nowych przesiedleńców wynaradawianie dawniejszych będzie postępowało coraz szybciej. Przytem wszelkie wychodźtwo składa się przeważnie z mężczyzn, którzy, nie znajdując dość kobiet swojej narodowości, biorą za żony miejscowe. Otóż nie znam ani jednego Polaka, żonatego z Niemką lub Amerykanką, któregoby dzieci umiały po polsku. Nie wyłączam nawet i inteligencyi. Jest to nieuniknione. Dzieci takie nie mogą już czytać pism ani książek polskich, nie mogą chodzić do szkół parafialnych, a choćby nawet chciały i nauczyły się po polsku, nie będzie to już ich język domowy. Osady czysto polskie, jak: Radom, Częstochowa i t. p., będą zapewne trzymały się dłużej, ale i te, prędzej czy później, czeka los jednakowy. Rzeczą jest niezaprzeczoną, że ludność uboższa dostaje się pod wpływ bogatszej, a tak Niemcy, jak i Amerykanie, bogatsi są od Polaków i oświeceńsi. Jedynym środkiem ratunku byłoby zjednoczenie się organiczne, takowe zaś jest niemożliwe. Zresztą, nikt się obecnie myślą tą nie zajmuje. Bębnią czasami w ten bę-

ben pisma tutejsze, ale to tylko dla własnej powagi, a potrochu dlatego, aby się przypomnieć abonentom.

Dla uzupełnienia obrazu muszę powiedzieć jeszcze parę słów o pismach tutejszych. Wspomniałem już o zaciętych sporach, jakie ze sobą prowadzą, i o charakterze ich ultramontańskim; nie poruszając już więc tego przedmiotu, zatrzymam się przez chwilę nad ich stroną literacką. Najlepiej stosunkowo redagowana jest gazeta Barzyńskich, najgorszy był w ostatnich czasach „Kuryer Nowoyorski". Miał i on swe lepsze chwile, gdy go, jako jeszcze „Gazetę Nowoyorską", redagował Julian Horain. Potem trzymał się jako tako pod Kulikowskim, gdy jednak ten ostatni odebrał sobie życie, „Kuryer" począł przechodzić z rąk do rąk, pod opiekę ludzi, albo pozbawionych wykształcenia, albo nie władających językiem. Drukowano też w nim artykuły w takim języku, że, chcąc go uczynić polskim, należało go polskim całkowicie zastąpić. Nie było to jednak pismo stronnicze. Przestało wychodzić przed paru tygodniami dla braku prenumeratorów i z powodu zajęcia drukarni za długi.

Co do gazety Barzyńskich, język jej, jakkolwiek daleki od doskonałości, jest jednak najpoprawniejszym. Treść sama, zwłaszcza naukowa, przed niedawnym jeszcze czasem pozostawiała wiele do życzenia. Czytałem np. arty-

kuł, przetłómaczony wprawdzie z jakiejś amerykańskiej gazety, ale opowiadający, że, gdy Krzysztof Kolumb odkrywał Amerykę, Jan Sobieski tegoż samego roku zwyciężył Turków pod Wiedniem. Artykuł był tłómaczony, ale redakcya, która podobnych nonsensów nie poprawia, zasługuje co najmniej na zarzut niedbałości. Zresztą, od niejakiego czasu widać w gazecie tej widoczną pod literackim i naukowym względem poprawę. Artykuły jej wstępne i przeglądy polityczne bywają często zupełnie zadawalające. Na nieszczęście środkowe, ogromne jej łamy (jest to największa ze wszystkich polskich gazet, nie wyłączając galicyjskich i naszych), zapełnione bywają prawie zawsze opisami cudów, objawień, cudownych uzdrowień itp. Obecnie ciągnie się tam od kilku tygodni historya cudu w Gietrzwaldzie i w Marpingen, bardzo mało ze zdrowym rozsądkiem zgodna. Sama ostrożność nakazywała oczekiwać, co o tem nowem objawieniu się orzeknie wyższa władza duchowna. Z tem wszystkiem, prawdopodobnie jest to jedna z poczytniejszych rubryk tego pisma.

Zasługę jego stanowią jednak obszerne nieraz artykuły z historyi polskiej, które, podawane w języku prostym, przystępnym, zresztą, brane nieraz żywcem skądinąd bez pretensyi do oryginalności, odpowiadają zupełnie swemu przeznaczeniu. Podaje je także i „Gazeta Polska"

Dyniewicza. Przeglądy polityczne i korespondencye z kraju czerpią obiedwie z gazet lwowskich, głównie zaś z „Gazety Narodowej", skutkiem czego zdarza się często, że tenże sam artykuł podają obie jednego dnia. Wogóle, gazeta Dyniewicza (któremu zresztą niepodobna odmówić pewnego sprytu wydawniczego) niżej nieco stoi pod względem czysto literackim od gazety Barzyńskich.

Największą wadą obydwóch jest brak korespondencyi z osad polskich, rozproszonych po całej Ameryce. Tak jedna, jak druga redakcya mogłaby bez trudności zobowiązać księży do nadsyłania choćby krótkich wiadomości o swych parafiach, o ich rozległości, stanie rolniczym i ludności. Byłaby to jedna z najważniejszych rubryk; służyłaby bowiem za łącznik między pojedyńczemi osadami, ułatwiałaby zakładanie nowych w miejscowościach najodpowiedniejszych, a nakoniec dostarczałaby wykazów statystycznych, których brak tak dotkliwie czuć się daje.

Wychodzi tu jeszcze i trzecie pismo, pod tytułem: „Przyjaciel ludu". Jest to najmniejsze z wydawnictw amerykańskich; wielką zasługą jego jest trzymanie się na stanowisku obojętnem względem gorszących sporów dwóch pierwszych, które psują lud, zamiast go umoralniać, dając przykład niezgody i nieszanowania osobistości, posuwającego się poza wszelką miarę. Celem wszystkich tych pism jest

obrona narodowości przed wpływami obcymi i podtrzymanie języka. Na nieszczęście, pod tym ostatnim względem same one nie mogły uchronić się od licznych skażeń. Rzekłbym: pod wpływem angielszczyzny wytwarza się tu osobny, polsko-amerykański język, którego wyrazy potoczne są polskie, wszystkie zaś inne angielskie. Ograniczę się na przytoczeniu kilkunastu tylko przykładów. I tak: w każdem piśmie, zamiast: kolej żelazna—znajdziesz: rajlrod, zamiast bilet — tykiet, zamiast dzień dziękczynny — thanksgiwingday, zamiast kancelarya — ofis (office), zamiast statek parowy — stymer, zamiast mniejszy żaglowiec — bot, zamiast hipoteka — morgedi lub ded, zamiast deska—lumber, zamiast płot — fens, zamiast wagon—kar, zamiast dziennik — papier, zamiast skład papieru — stationery, zamiast pokój bawialny — parlor, zamiast szynkownia — salon, zamiast sklep —stor, zamiast sąd (dom sądowniczy)—kurt (court), zamiast sprawa, przedsięwzięcie handlowe, interes — biznes (busines), zamiast Boże Narodzenie — Chrystmas, zamiast mały powóz — bugy, zamiast wóz — tim, zamiast woźnica — timoter lub drajwer, zamiast umyślny posłaniec — ekspres, zamiast dziecko, mające tyle a tyle lat: dziecko tyle a tyle lat stare, zamiast zarabiać na życie — robić życie, zamiast ma lub posiada tyle a tyle — wart tyle a tyle, zamiast sąd przysięgłych — dżury,

zamiast ubranie, złożone z surduta, spodni i kamizelki — siut (suit), zamiast wołowina solona — kornbif, zamiast zmuszasz mnie do śmiechu — robisz mnie śmiać się, zamiast nie słyszałem nikogo mówiącego — nie słyszałem nikogo mówić, zamiast jęczmień — barlej i t. d.

Oczywiście, w mowie potocznej używa się jeszcze więcej wyrazów, jak np.: „well" przy początku każdego zdania; zamiast z pewnością —certainly i t. d.

Prócz pism, ruch umysłowy osiedleńców podtrzymują także księgarnie, których jest trzy: dwie w Chicago (III): Barzyńskiego i Dyniewicza, jedna w Detroit (Mich.) Piotrowskiego. Wszystkie trzy mają podobno niezłe zyski, płynące głównie z rozprzedaży książek do nabożeństwa i elementarzy.

Na tem zakończę moje sprawozdanie. Wyda się ono zapewne niejednemu zbyt niedokładne i gorzkie. Co do niedokładności, sam chętnie się zgadzam; nie mogło być dokładne z powodu braku źródeł, że zaś miejscami jest posępne, to przypisać należy temu, iż przedewszystkiem chciałem je uczynić prawdziwem.

Przegląd Tygodniowy, r. 1878. № 3, 4, 5, 6.

Szkice Amerykańskie.

I.

Wyoming. Zamierzona wyprawa. Góry skaliste. Przygotowania. Trochę geografii. Góry i rzeki Wyomingu. Droga do Omaka. Różnica między górami Skalistemi a Sierra Newada. Kraina skał i kamieni. Cheyenne. Charakter i zajęcia mieszkańców. Pierwsze wrażenia. Mała ludność kraju. Forty środkowe. Klimat Wyomingu. Caniony. Pokolenia indyjskie. Bawoły, jako warunek istnienia Indyan. Wędrówki bawołów. Polowania. Zmniejszenie się ilości bawołów. Wielka przeszkoda wędrówek. Schronienia. Caniony, jako zwierzyńce.

Nie pisałem do was dawno, ponieważ długi czas spędziłem w Wyomingu, na wyprawie myśliwskiej, która trwała przeszło miesiąc. Towarzystwo sportsmenów w San Francisco, złożone z bogatych ludzi, często nie wiedzących, co robić z pieniędzmi, przesłało mi zaproszenie do owej wyprawy, wraz z biletem na podróż do lasu i napowrót. Zrozumiecie łatwo, że nie namyślałem się długo. Na drugi dzień po odebraniu zaproszenia udałem się do naczelnika

przyszłej wyprawy, pana Woothrup, którego poznałem na parę miesięcy przedtem. Chciałem dowiedzieć się czegoś i o samej wyprawie i o przygotowaniach, jakich wymagała. Objaśnienia jego zwiększyły tylko moją ochotę wzięcia w niej udziału. Miała się składać ze dwudziestu przeszło ludzi wraz z końmi, wozami, krytymi płótnem, z zapasami żywności, amunicyi i tak dalej. Koszt jej obliczał się zapewne na setki dolarów, ten jednak wzgląd mnie, jako zaproszonego gościa, nie dotyczył. Co do przygotowań moich osobistych, to, nie licząc broni, której nie potrzebowałem kupować, koszt ich ograniczał się na zakupieniu dwóch kolder flanelowych i futrzanej czapki. Miałem za to perspektywę przepędzenia miesiąca czasu w górach Skalistych (Rocky Mountains), wśród zapóźnionej już pory roku i wśród wojowniczych pokoleń indyjskich, a wreszcie, wśród rozmaitego rodzaju niebezpieczeństw, na jakie narażają się polujący na bawoły.

Dla mnie, który mam pociąg do takiego życia, a potrochu już i do niego przywykłem, była to perspektywa powabna; kupiłem więc jak najśpieszniej dwie koldry, opatrzyłem broń, rdzewiejącą nad łóżkiem w mieszkaniu Horaina, nabyłem jeszcze nowy nóż, stary bowiem złamałem w Maripozie, i byłem gotów. W dwa dni później wyruszyliśmy na wschód. Drogi tej nie

będę opisywał, ponieważ opisywałem ją już poprzednio. Przez całą długość Wyomingu przechodzi na południowej granicy linia kolei dwóch Oceanów. Licząc od zachodu, nim się do niego dojedzie, przejeżdża się przez trzy stany: Kalifornię, Newadę, Utah-Sam. Wyoming stanowi obszerne płaskowzgórze, przecięte z północno-zachodu na południo-wschód pasmem gór Skalistych i rozmaitymi odrzutami tegoż pasma, noszącymi nazwy gór Czarnych, gór Słodkiej wody, i t. d. Północna część terytoryum przybiera charakter bardziej stepowy, a raczej jest częścią olbrzymich łąk (preryi), zalegających wschód Montany, zachód Dakoty, całą Nebrakę, Jowę i t. d. W tej części wznosi się tylko jedna, samotna grupa gór Wielkorożnych (Big Horn Mts.), leżących na samej granicy Wyomingu i Montany. Pomiędzy wspomnianemi pasmami, a dalej, między głównym grzbietem gór Skalistych a pomniejszymi odrzutami, ciągną się tak zwane caniony, to jest płaszczyzny, zawierające ziemię urodzajną, pokryte trawą i gdzieniegdzie drzewami. Środkiem canionów, rozszerzających się czasem na setki mil, czasem zwężających się w proste gardła górskie, płyną strumienie, rzeczki i rzeki, wogóle jednak wód tych jest skąpo, i kraj cały nie ma ani jednej znakomitszej drogi wodnej. Większa część rzek i dorzeczy, bierze początek w Wyomingu, nie może się więc należycie rozwinąć, skutkiem

czego też same rzeki, które w sąsiednich stanach odznaczają się już znaczną obfitością wód, w Wyomingu tworzą niezbyt godne uwagi koryta. Najznakomitszą rzeką jest Platte River, a raczej jedna jej odnoga, nosząca nazwę: Północnych wideł rzeki Platty, jest bowiem i druga odnoga (Południowe widły), która nie leży już w Wyomingu. Inne, jako to: Big Horn R. na północy, Powdar R. również na północy, Cheyenne na północo-wschodzie i źródła Zielonej rzeki na południu, tworzą początki koryt, skąpo zasilanych strumieniami, a żyjących głównie śniegiem, topniejącym w górach Skalistych w czasie letnich upałów. Ten brak wielkich wód, skalistość gruntu lub jednostajność stepowa canionów nadają całemu krajowi charakter groźny, ponury i demoniczny. Gdy pociąg kolei, idącej na wschód, wpadnie między owe kamienne złomy, mury, korytarze i wąwozy gór Skalistych, podróżnemu zdaje się, że nie wyjedzie z nich nigdy, i że niema wcale wyjścia z tego chaosu przepaści, szczytów i skał. Droga tu skręca się ustawicznie. Gdym stał na platformie wagonu, widziałem nieraz lokomotywę, to ginącą za jakąś kamienną ścianą wraz z częścią blizkich wagonów, to znów skręcającą po wklęsłym boku góry, tak, że wydało mi się, iż zawraca napowrót do Kalifornii. Nigdzie droga nie opisuje tak wielu i tak pogiętych łuków. Czasem pociąg idzie po boku góry, jakoby po

wrębie niezmiernie spadzistej pochyłości, mając po lewej stronie niebotyczny szczyt, po prawej niezgłębioną przepaść. Nieprzywykłego do podobnych dróg podróżnika ogarnia wówczas poprostu przerażenie. Dach wagonu z jednej strony zdaje się ocierać o skałę, a z drugiej dolny jego zrąb wisi nad przepaścią, nie oddzielony od niej żadną poręczą. Co chwila zdaje się, iż droga urwie się nagle pod kołami pociągu, że musi się urwać, i wszystko runie w przepaść, na jakie tysiąc stóp głęboką. Innym razem myślisz znów, że pociąg pędzi, jak rozwścieczony zwierz, wprost na skałę, że chce przebić sobie drogę przez górę. Już, już zdaje się, że lokomotywa ma się uderzyć i rozbić na setne części, gdy nagle otwiera się na prawo lub na lewo jaka niewidzialna zdaleka paszcza, i pociąg wpada w nią nagle, ginie na chwilę w ciemnościach, a potem znów wypada na światło dzienne, bijąc w dzwon, świszcząc, hucząc.

W Sierra Newada wszystko składa się na to, aby widza oczarować, w górach Skalistych, aby go przerazić. W Sierra Newada nie brak także skał i przepaści, nieraz i tam pociąg zdaje się jakoby zawieszony w powietrzu, ale z tych wysokości widzisz tarasy górskie, pokryte lasem sosnowym; ciemna zieleń boru cudnie odbija od czerwonych skał; po bokach drogi bluszcz i powoje pną się gdzie mogą, nad pociągiem krążą ptaki. W dolinach, głębokich na tysiąc stóp, ro-

ślinność rozwija się z cudowną siłą; wszędzie widać życie i ożywienie, widać ludzi; widać chaty drwali, stosy zrąbanego drzewa, tartaki, bydło, chodzące po zielonych łąkach—tu niema żywej duszy; ani człowieka, ani drzewa: kamień, chmury, deszcz, śnieg, wicher—oto wszystko. Kamień zapada się w otchłań, kamień rozdziera chmury w górze, miesza się ze mgłą i tumanem, kamień wisi, ciąży, ugniata, przebiera miarę wielkości, staje się potwornym, staje się czemś gniewnem, złem i rozszalałem nie przestając być czemś milczącem i umarłem. Kto nawalił tak bezmyślnie, a tak strasznie tych skał, jedne na drugie, że wzrok nie może sięgnąć ich szczytu? Kto kazał im tak wisieć? Dlaczego spotrzebowano tyle siły na stworzenie tego kamiennego kraju, nie—tej pustki, tej śmierci, tych kamiennych żeber, szkieletów, murów, wież, kościołów? Po co to wszystko? Dlaczego? Umysł ludzki tak jest zorganizowany, że zawsze pyta: dlaczego? zawsze chce wiedzieć przyczynę, zawsze szuka celu. A ta kamienna kraina olbrzymiej bezmyślności nie zaspakaja tych pytań, nie odpowiada nic, milczy—śpi. Stąd powstaje pewien rozbrat między nią a ludzkim umysłem i zmysłami. Rozbrat ten to coś, równie ugniatającego człowieka, jak kamień. To nowa przepaść, w którą się zapuszcza oczy, a nie widzi się jej dna. Ot! rozum poprostu mówi, że tą siłą, która wzniosła owe góry,

możnaby stworzyć cały świat żywy, żyjący, kochający, szczęśliwy, że więc ta siła mogłaby być błogosławioną i dobrą, gdyby nie była... ślepą.

Indyanie mówią, że te góry stworzył zły duch. Amerykanie zdają się to potwierdzać, przyczepiając nazwę: „Devil" do większej części owych bram kamiennych, schodów i wąwozów. Ale dyabeł rzadko bywa bezmyślny, okolica zaś ta wygląda tak, jakby demon, który ją stworzył, stworzył ją w chwili pomieszania zmysłów.

Kraina też to, której ludzie, jeżeli nie odkryją jakich bogactw mineralnych, długo unikać będą. W owe góry, nad rzeki, dorzecza i w caniony zapuszczają się tylko strzelcy, najmowani przez kompanie,handlujące futrami, lub samotni traperowie. Wyoming jest dotąd terytoryum, nie stanem, i zapewne nie prędko stanem zostanie. Główne miasto, Cheyenne, leżące niedaleko granicy Nebraski, jest poprostu znaczniejszą stacyą kolei żelaznej, koło której skupiło się nieco ludności, trudniącej się cokolwiek rolnictwem, cokolwiek handlem, a głównie polowaniem i wymianą skór z Indyanami. Naturę kraju i główne zajęcie mieszkańców podróżnik może odgadnąć na pierwszy rzut oka. Pamiętam, że, gdym, jadąc do Kalifornii, przybył do Cheyenne, pierwszym przedmiotem, jaki uderzył oczy moje na dworcu kolei żelaznej,

był szary niedźwiedź wypchany, ustawiony we drzwiach kolejowego dworca, tak wielki, że, lubo siedzący na tylnych nogach, przenosił o głowę mężczyzn wysokiego wzrostu. Drugi, mało co mniejszy, ale żywy, zamknięty w drewnianej budzie, opatrzonej żelazną kratą, kręcąc się po ciasnem więzieniu, przysiadał za zbliżeniem się ludzi i, przymknąwszy oczy, otwierał paszczę, w którą podróżnicy wrzucali jabłka, orzechy, a nawet i kawałki cygar. Kudłate, olbrzymie łby bawołów, poprzybijane nad każdemi drzwiami, dopełniały charakterystyki kraju. Mieszkańcy miejscowi, którzy przybyli widzieć pociąg, ubrani w futrzane czapki i podarte koldry flanelowe, często znaczone: U. S. (United states), a zbrojni w długie karabiny, zdradzali ludzi, dla których myśliwstwo jest głównym sposobem życia. Jakoż tak jest i tak być musi w każdym kraju dzikim i niezamieszkałym.

Prócz Cheyenne i prócz stacyi kolei niema w Wyomingu żadnych innych miast. Niektóre stacye tworzą czasem osady, liczące po kilka i kilkanaście domów, inne są tylko samotnymi domami, stojącymi na pustyni. Wzdłuż całej linii nie widziałem ani jednej fermy, ani jednej osady. Między jedną stacyą a drugą daleko jest łatwiej ujrzeć antylopę lub niedźwiedzia, niż człowieka. Jest to kraj, całkowicie jeszcze przez białych ludzi nie zamieszkany. W głębi jednak znajduje się kilka fortów, polo-

żonych w pobliżu rezerwacyi indyjskich, jako to: najniżej na południu fort Laramie, w środku fort Casper, wyżej nieco fort Reno, a najdalej na północ posunięty Kearny. Forty te zamieszkane są przez nieliczne oddziały żołnierzy, zostające pod dowództwem kapitana, w którego kwaterze przemieszkuje zwykle razem komisarz do spraw indyjskich, pośredniczący między rządem Stanów a pokoleniami. Zresztą, tylko w Czarnych górach roją się już biali ludzie, zwabieni odkrytemi tam kopalniami, resztę zaś kraju zajmują dzikie zwierzęta i Indyanie.

Przyczyną małego zaludnienia się Wyomingu jest także i jego zimny klimat. Wyoming stanowi szczyt olbrzymiego płaskowzgórza, zalegającego cały środek Stanów Zjednoczonych. Jadąc do Wyomingu, bądź to od strony zachodniej z Kalifornii bądź od wschodniej z Chicago, jedzie się ciągle pod górę. Cheyenne, stolica kraju, leży na 6,041 stóp nad poziomem morza. Niedaleko Cheyenne, licząc od Missouri, zaczynają się pierwsze domy śnieżne (snow-houses), to jest: długie galerye drewniane, ciągnące się czasem na kilkanaście mil, broniące pociągi od zasp śnieżnych. Najwyższa stacja Shyrman leży na 8,242 stóp. Okolica Shyrman słynie z mnóstwa niedźwiedzi, które nie lękają się ustawicznej zimy. Na Shyrman pada śnieg latem i zimą, przyczem powietrze tak jest rozrzedzone, że z trudnością można oddychać. Od

tego punktu grunt poczyna się zniżać lekko w stronę Utah, zawsze jednak wznosi się na kilka tysięcy stóp nad poziom morza. Mogę powiedzieć, że, wyjechawszy w końcu października z Kalifornii, widziałem w ciągu kilku dni cztery pory roku; lato w Kalifornii, wiosnę na zachodnich stokach Sierra Newada, jesień w posępnej Newadzie i Utah, a zimę w Wyomingu. Dyabla droga i Dyabla brama, przez które przejeżdżać trzeba, chcąc się dostać do środka tego kraju, wydały mi się drogą i bramą zimy. Poglądając na okolice z ciepłego sleepingkaru (wagony z łóżkami), urządzonego, jak salon, ogrzanego, poglądając na moich towarzyszów wyprawy, gentlemanów pierwszej wody, porozpieranych na aksamitnych fotelach lub zasiadających przed wykwintnie zastawionymi stołami, gawędząc z nimi, jedząc i pijąc, nie mogłem zrozumieć, jak może udać się nasza wyprawa w takim kraju, w takich warunkach i z takimi ludźmi. Trzebaż będzie, myślałem sobie, spędzać noce wśród jesiennej pory pod gołem niebem, na wozach czasem, a czasem i bez wozów, przy ogniskach, znosić mróz, wicher, przebywać zaspy śniegowe, trzymać nocą straż za majdanem od Indyan i dzikich zwierząt, a wreszcie dążyć naprzód w kraju bezludnym, bezdrożnym i przepełnionym trudnościami.

Ale przedewszystkiem strach mój przed zimnem okazał się w daleko większej części płon-

nym. Zimny klimat Wyomingu tłómaczy się nie szerokością geograficzną jego położenia, ale tylko wyniesieniem nad poziom morza. Południowa część terytoryum, ta właśnie, którą mieliśmy zamiar splądrować, nie jest dalej położona na północ, jak Hiszpania, Włochy, Turcya i t. d. Wprawdzie różnica klimatyczna między tymi krajami jest niezmierna, raz dlatego, że wogóle Ameryka, w porównaniu z Europą, jest pod tymiż samymi stopniami zimniejsza, powtóre że, jak już wspomniałem, znaczna część środkowego płaskowzgórza amerykańskiego dosięga linii śnieżnej. W głębokich jednak canionach, wyniesionych niezbyt znacznie nad poziom morza i osłoniętych ze wszystkich stron górami, zima nie bywa tak surową, jesień zaś zdarza się nawet piękna i pogodna. Te to właśnie caniony służą za schronienie dość licznym pokoleniom indyjskim, należącym częścią do plemienia Utes, częścią do Poncas i do Siuxów. Prócz tego są to prawdziwe zwierzyńce, rojące się mnóstwem najrozmaitszych zwierząt. Szary i cynamonowy niedźwiedź, kuguar, wilk są głównymi przedstawicielami drapieżników. Z mniejszych mięsożernych znajdują się obficie rysie, koty dzikie i wszędobyłe kujoty, których żałosne skomlenie napełnia nocami, tak tu, jak i w Kalifornii, wąwozy górskie. W dorzeczach północnych Wideł Platty, w jeziorach i strumieniach, których brzegi pokryte są lasem, w

źródłach Green River, w Medicina River i Podwer R. gnieżdżą się jeszcze gdzieniegdzie osady bobrów, wiodące pracowity i mało dotychczas niepokojony przez białych strzelców żywot. Trawa, rosnąca w canionach, i mchy w górach dostarczają pokarmu licznym stadom antylop, jeleni, sarn, gemz. Z okien wagonu można dostrzedz całe kolonie piesków ziemnych i wiewiórek (squirlles), które Indyanie, a nawet i biali uważają za najcenniejszy przysmak.

Głównym jednak przedstawicielem świata zwierzęcego jest bawół (buffalo). Istnienie Indyan w Montanie, Idaho (Ajdak), Dalocie i Wyomingu, oraz w wielu innych terytoryach, gdyby nie bawoły, byloby niemożliwe. Całe pokolenia i plemiona indyjskie żyją mięsem bawolem. Ze skóry bawolej robi sobie Indyanin swój wigwam; sypia na skórze bawolej, okrywa się nią, wyrabia z niej odzież, siodla, postronki, słowem: wszystkie rzeczy codziennego użytku i niezbędnej potrzeby. Bardzo często przyczyną rozruchów indyjskich i wojen czerwonoskórych ze Stanami bywają pośrednio bawoły; gdy bowiem ilość ich zmniejszy się w jakiej okolicy, Indyanie z glodu mrą, a nie mając innego środka, puszczają się na mordy lub rabunki, albo wymagają od rządu St. Zjednoczonych rozszerzenia swego terytoryum, co często, ze względu na inne plemiona, bywa rzeczą niemożliwą. W Wyomingu jednak bawoły znajdują się je-

szcze w wielkiej obfitości. Żyją bądź to w stadach mniej lub więcej licznych, bądź po kilka sztuk, bądź nawet pojedyńczo. Te ostatnie zowią się „odłączonymi" i bywają najłatwiejsze do upolowania. Zwierzęta te mają peryody swych wędrówek. Przed zimą łączą się zwykle w wielkie stada i udają się ku południowi, szukając nie zasypanych śniegiem pastwisk. Dla Indyan też, czas ten nazywa się czasem „wielkich łowów". Za stadem ciągną Indyanie, kuguary, niedźwiedzie, wilki, tocząc często krwawe walki o łup. Czerwonoskórni strzelcy, zapędziwszy się za zdobyczą, nieraz przekraczają granice swoich terytoryów, gwałcąc w ten sposób terytorya obcych pokoleń. Jest to właśnie główny, a niemal jedyny powód owej wojny wytępienia, jaką Indyanie prowadzą między sobą; każde bowiem pokolenie broni swych granic z tem większą wściekłością, że idzie o bawoły, czyli poprostu o byt myśliwców, a również każde pokolenie własne granice przekracza.

Jednakże, prócz wędrówek jesiennych, bywają i inne. Zdarzają się wiosenne na północ i letnie, w rozmaite strony. Te ostatnie powoduje głównie susza, pociągająca za sobą wyniszczenie paszy i brak wody. Nigdy jednak zwierzęta nie opuszczają całkowicie danej okolicy. Zostaje ich zawsze dosyć w pojedyńczych mniejszych stadkach lub odłączonych, które w tak zmniejszonej ilości łatwiej znajdują pokarm.

Polowanie na nie przedstawia wiele niebezpieczeństw. Gdy zwierzęta uciekają przed myśliwymi, ci ostatni zabijają je z łatwością, bądź ze strzelb, bądź lancami, bądź wreszcie chwytając pojedyńcze sztuki na lasso. Czasem jednak, zwłaszcza starym samcom, gdy niema innego ocalenia, przychodzi do głowy bronić się. Wówczas scena się zmienia. Strzelcy zmykają konno na wszystkie strony, bawoły zaś gonią ich z zakrwawionemi oczyma i z głuchym rykiem. Na wiosnę, w czasie rui, polowania bywają niebezpieczniejsze, niż jesienią. Niezmierne upały letnie i brak wody rozdrażniają także te zwierzęta. Samce, zebrawszy się w łożysku rzeki, bodą muł, nalepiając przeto na kudły głowy taką ilość gliny, że po wyschnięciu żadna kula jej nie przebije; rozkopują racicami grunt, ryczą i rzucają się częstokroć wzajemnie na siebie. Wówczas to niebezpiecznie jest okazywać się nagle stadu, nie sploszywszy go wprzód wyciem, krzykiem i strzelaniną, jak to zwykle czynią Indyanie.

Obecnie jednak wędrówki te, o których wspomniałem, zostały w znacznej części ograniczone. Dawniej, według tego, com słyszał, bawoły z północnych terytoryów wędrowały aż do Colorado, Nowego Meksyku, Indian-Terytory i Texas; teraz zaś linia kolei żelaznej stanowi dla nich zaporę. Bawoły lękają się jej przestępować. W początkach nie tylko podobno

się nie lękały, ale nieraz musiano wstrzymywać pociąg z powodu stad, pasących się koło drogi lub leżących na samej linii. Mówiono mi, że potężne samce, poczytując zapewne lokomotywę za jakieś zwierzę pokrewnego sobie rodzaju, pochylały potężne łby za jej zbliżeniem się, jakoby wyzywając ją do walki. Oczywiście, walka taka kończyła się zgnieceniem w mgnieniu oka zwierzęcia i wyrzuceniem jego niekształtnego trupa na odległość kilkunastu kroków. Otóż może tego rodzaju nauki, a może krwawe rzezie, jakie wyprawiali podróżnicy z okien wagonów, ustawiczny nakoniec ruch na linii kolejowej, dzwony i świst maszyny, wszystko to sprawiło, że zwierzęta te nie tylko nie zbliżają się do pociągów, ale boją się nawet przechodzić przez szyny, choćby w miejscach najbardziej pustych.

Dziś więc, kto chce szukać bawołów, musi ich szukać nieco dalej, w głębi kraju bezludnego jeszcze. Nieliczne pokolenia indyjskie, zamieszkujące rezerwacye, nie pokrywają nawet w setnej części całego terytoryum; tam więc zwierz chroni się przeważnie, i tam mieliśmy go też szukać pod przewodnictwem doświadczonych stepowych strzelców.

Gazeta Polska. 1878 r. № 42–43.

Szkice Amerykańskie.

II.

Przybycie do Percy. Wybrany canion. Wozy, konie i muły. Karawana. Przewodnicy. Pierwsi Indyanie i Indyanki. Przybycie komisarza indyjskiego. Obietnice ze strony Utów. Regulamin wyprawy. Naczelnik obozowy i jego obowiązki. Naczelnik myśliwski. „Lewa Ręka“. Mówka „Lewej Ręki“. Wieczerza u Irlandczyka. Pierwszy nocleg na wozie. Przyjaciel Ward. Ciągłe kłótnie. Naczelnik Woothrup. Inni towarzysze. Ranek. Zaprzęganie mułów. Sposób ruszania z miejsca. Metysowie: Smith i Bull. Góry słodkiej wody (Sweet water Mts.). Północne widły Platty. Czarne góry (Black Hills). Posępny widok Czarnych gór. Kierunek Północnych Wideł. Sąsiedztwo wody. Zarośla. Pierwszy strumień. Antylopy. Pierwszy strzał. Lunch. Nocleg na stepie. Wybór miejsca. Muły. Chwile trwogi. Straże. „Stampedy“ indyjskie. Jak kradną muły i konie. Obozowisko, widziane w ciemności. Myśli o Europie. Nawoływania straży. Sen ze zmęczenia. Przebudzenie. Jednostajne dnie. Boczne caniony Nieobecność ptaków. Caniony kalifornijskie. Wyoming. Zniechęcenie. Zły humor „Lewej Ręki“. Ryś. Drugi ryś i ruch lassa. Unikam walki noży. „Bowie Knife“ i sposoby używania go. Zwierz „fixed“. Placówka indyjska. Ślady Indyan. Alarm w obozie.

Obawa „stampedu“. Rady starego strzelca. Noc na straży. Próżna trwoga. Ślady bawołów. Pierwszy bawół. Wypadek naczelnika karawany z niedźwiedzicą. „Fałszywy koniec“ drzewa. Pochwytany niedźwiadek.

Zamiarem naszym było spolować obszerny canion, ciągnący się między dwoma równoległemi pasmami gór Słodkiej wody (Swet water Mts.). Canion ten nosi nazwę canionu Północnych Wideł Platty, środkiem jego bowiem płynie rzeka tegóż nazwiska (North Fork of Platte R.). Improwizowany naczelnik naszej wyprawy, M. Woothrup (Uutropp) wysłał poprzednio list polecający go do p. Mac Lell, komisarza rządowego rezerwacyi indyjskiej Utów, do których należy canion wspomniany, pan Mac Lell zaś miał porozumieć się z naczelnikami tutejszych wojowników i wyrobić nam nie tylko prawo bezpiecznego pobytu, ale i wszelką pomoc z ich strony. Przy pieniądzach, jakie rozrzucali na wszystkie strony moi towarzysze, wszystko, z początku przynajmniej, szło i łatwo i składnie. Przybywszy do Percy, stacyi, leżącej nad North Fork of Platte R., zastaliśmy już wszystko przygotowane. Wozy dla nas, wraz z mułami i końmi wierzchowymi, nadeszły z Cheyenne. Do każdego wozu przydany był mulnik, razem więc sześciu mulników do sześciu wozów, nie licząc dwóch przewodników, metysów: Smitha i Bulla, oraz sta-

rego strzelca, zwanego „Left Hand" (Lewa ręka, mańkut), którego prawdziwego nazwiska nie mogłem się dopytać, ale z którym zaprzyjaźniłem się wielce odrazu. Gdym, wyszedłszy z wagonu, przypatrzył się wozom i całemu stadu mułów, przeznaczonych do ich ciągnienia (po ośm do wozu, prócz zapasowych), sądziłem, że jedziemy zakładać jakie nowe miasto na pustyni. Wozy te, ogromne, na ciężkich kołach, wyrobionych z niezmiernie twardego drzewa „nicoro", są to prawdziwe domy. Dachy ich kryte matami i grubem pasiastem płótnem pitsburskiem, stanowią wyborną ochronę od deszczu, śniegu i wichru. Wnętrza mogą pomieścić do dziesięciu osób. Zapasy żywności, składające się z suszonego mięsa, sucharów, ryżu, puddingów, wina i wszelkiego rodzaju konserwów, były wystarczające na kilka miesięcy, zwłaszcza, że mogliśmy je odnawiać świeżą zawsze zwierzyną. Mieliśmy także potężną ilość wódki i tytoniu, dwóch artykułów najwięcej cenionych przez Indyan. Siedzenia wozów, przeznaczonych nie na zapasy, ale na noclegi, wysłane były skórami bawolemi, z których jedna miała służyć za materac, druga za kołdrę. Niepodobna też wymyśleć przykrycia bardziej ciepłego i bardziej ochraniającego od wszelkich zmian atmosferycznych. Wybieraliśmy się, w całem znaczeniu tego słowa, dostatnio i wygodnie. Wozy były ustawione już na stepie w dobrym po-

rządku. Dla Percy przybycie wozów, mułów, koni i nasze wreszcie było wypadkiem wielkiej wagi. Indyanie, których kilka obdartych wigwamów stoi koło stacyi, okoliczni mieszkańcy, a raczej mieszkańcy sąsiednich stacyi, poschodzili się i pozjeżdżali oglądać gentelmanów z San Francisco. Pusta zwykle stacya zaroiła się ludźmi i gwarem ludzkim. Indyanie, poubierani w derki z literami U. S., umalowani na nosach i policzkach na czarno, przytem brudni i obdarci, przyglądali się nam i naszej broni, jakby czemuś, czego nie oglądali nigdy jeszcze; nadeszły i ich skwewy z dziećmi na plecach, zamkniętemi w łubianych kobiałkach; pochylone, brzydkie, zwiędłe, stare, z włosami, spadającymi na oczy, podobne, jak dwie krople wody do cyganek. Poczęły wyciągać ręce i żebrać, z początku lękliwie, potem, zachęcone obfitymi datkami, natarczywie i głośno. Za ich przykładem poszli i mężowie. Zrobił się hałas i wrzawa nie do opisania, psy szczekały, muły w ogrodzeniu poczęły kwiczeć, mulnicy kląć. Powiedziałem Woothrupowi, abyśmy ruszyli natychmiast; on jednak pragnął naprzód ułożyć regulamin podróży, a powtóre doczekać się wiadomości od Mac-Lell, które miały nadejść wieczorem. Jakoż wieczorem przyjechał z Cheyenne sam Mac-Lell, człowiek niezmiernie ugrzeczniony, o twarzy najbardziej złodziejskiej, jaką sobie można tylko wyobrazić. Oświadczył, że

robił wszystko, co było w jego mocy, że Utanie obiecali mu także wszystko, co będzie w ich mocy, że mają nam dodać eskortę przy Medicina R., słowem, że możemy być zupełnie bezpieczni. Mówiąc to, podchlebiał się i umizgał do moich towarzyszów, nie dlatego, żeby mu na nich coś zależało, ale ponieważ wiedział, że większość z nich należy do bogatszych ludzi w San Francisco. Tegoż dnia wieczorem ułożony został dzienny porządek wyprawy. Naczelnikiem jej miał pozostać, jak dotąd, Woothrup. Do niego należało doglądać porządku w pochodzie, wyznaczać godziny spoczynku i miejsca na przystanki, urządzać obozowiska, rozstawiać straże, godzić sprzeczki, jeśliby takowe między towarzyszami wynikły, czuwać nad zapasami żywności, wydzielać z nich odpowiednią ilość za każdym razem, a nakoniec wyznaczyć kierunek wyprawy, w czem mógł zasięgnąć rady swego Mańki i dwóch metysów przewodników, jako najlepiej z krajem obznajmionych. Stowarzyszonym zostawiona była wszelka swoboda. W czasie pochodu, gdy nie zachodziła potrzeba trzymania się razem, mogli konno albo pieszo odłączać się od karawany i przetrząsać okolice, nie pojedyńczo jednak, ze względu na bezdroża, Indyan i niedźwiedzi, ale po dwóch najmniej. Postanowiliśmy także nie oddalać się od karawany dalej nad dwie lub trzy mile, aby w potrzebie mogła nadejść śpieszna pomoc. Prócz te-

go, w razie, gdyby przewodnicy odkryli stada bawołów, antylop lub szarego niedźwiedzia, mieliśmy działać wspólnie pod wodzą osobnego naczelnika, którego specyalnym obowiązkiem było kierować myśliwskiemi obławami. Grzeczni Amerykanie chcieli mi ofiarować ten ostatni urząd; ja jednak, nie mając znajomości kraju i uczestnicząc po raz pierwszy w wyprawie na bawoły, wymówiłem się od niego, przedstawiając na moje miejsce starego Lewą Rękę, który, jakkolwiek człowiek prosty i nieokrzesany, miał pod tym względem najwięcej doświadczenia. Propozycya moja była przyjęta jednomyślnie, co wielce pochlebiło staremu i zyskało mi szczególną jego przyjaźń. Powiedział nam przy tej okoliczności, „speech" dość zabawny:„Gentelmeni! — rzekł, poprawiając swoją futrzaną czapkę i splunąwszy potężną ilość żutego tytoniu — ludzie mówią, że dość często używam „a little whisky" (potrochu wódki), ale zaręczam wam, że nikomu nic do tego, i przysięgam na tę rękę, że nie upijam się więcej nad dwa albo trzy razy do roku. Prócz tego, chcę być powieszonym, jeśli nie znam tak dobrze gór, jak każdy chrześcijanin, chodzący na dwóch nogach w Wyomingu. Co się tyczy Indyan (stary wymawiał indżus)—I don't care (nie dbam o nich)—i to wszystko jest bardzo dobrze. Dziękuję wam, gentelmeni i goddam! mój język, że nie umiem lepiej podziękować!"

Po tej, zarówno rozczulającej, jak trafiającej do serca przemowie stary strzelec włożył nowy zwitek tytoniu do ust i odszedł do mulników, poczem wszyscy razem udaliśmy się na wieczerzę do szynku, a zarazem i piekarni, stojącej koło stacyi. Wieczerza składała się z sardynek, jaj, szynki i japońskiej herbaty z wódką, którą piliśmy w blaszankach, w jakie każdy zaopatrzył się jeszcze w San Francisco. Po wieczerzy i pomyciu naczyń przyszedł czas na spoczynek. Gospodarz jednak, Irlandczyk z twarzą obrzękłą od pijaństwa, ofiarował nam nocleg w szopie, gdzie, jak mówił, było kilka tonn słomy jęczmiennej, ale my, chcąc przyzwyczaić się do naszego przyszłego życia, postanowiliśmy spać na wozach, na których zresztą było może wygodniej, niż w szopie. Na dworze było ciemno, a przytem wiatr z pustyni z północy przejmował do żywego. Obwinąwszy się jednak w skórę bawolą i mając takąż drugą pod sobą, wkrótce uczułem błogie ciepło, rozchodzące się po kościach. Ale kwik mułów, gryzących się w ogrodzeniu, i klątwy mulników, którzy nadeszli, aby je uspokoić, nie pozwalały nam zasnąć. Zapaliliśmy więc fajki i poczęli gawędzić. Na wozie było nas czterech. Woothrup, Thompson, Ward i ja; Ward, którego znałem z Bohemian-Clubu blizko od roku, a z którym sprzeczałem się od pierwszego poznania, począł ze mną zwykłą dysputę o Kalifornię. Urodzo-

ny i wychowany w Kalifornii, z ojca Amerykanina, a matki Hiszpanki, nie chce przyznać, aby istniał jakikolwiek kraj, pod jakimkolwiek względem od Kalifornii doskonalszy.

Nieraz sprzecza się ze mną o rzeczy tak błahe, że inni śmieją się z niego i przezywają go „Crazy Ward" (szalony Ward). Dość, abym przy śniadaniu lub obiedzie zrobił uwagę, zresztą prawdziwą, że owoce i kartofle kalifornijskie, lubo większe od europejskich, nie są tak smaczne, a Ward zrywa się i wykrzyknąwszy: „by God!", poczyna ze mną kłótnię. Pierwszego noclegu na wozie posprzeczaliśmy się o wyścigi. Kwik mułów i koni sprowadził rozmowę na te zwierzęta, a następnie wyścigi konne, które w Kalifornii odbywają się wozami. Gdym powiedział, że wyścigi takie nie mają sensu, Ward odrzucił skórę bawolą, którą był nakryty, zerwał się, uderzył głową o pulap wozu, przewrócił się, upadł na flegmatycznego Thompsona, i rozpoczęła się zwykła wojna, którą przerwało dopiero chrapanie Woothrupa. Mimo tego jednak Ward trzymał się ze mną najbliżej i oddał mi potem w ciągu wyprawy niemałe usługi, pilnując mię, gdym zasłabł, jak brat. Co do dwóch innych moich towarzyszów, Thompson jest to flegmatyczny Anglik, długi, chudy, z oczyma i ustami, których końce spuszczają się na dół, co wszystko robi go podobnym do karykatury, wyciętej z papieru. Sympatyczniejsze

wrażenie robił na mnie Woothrup, człowiek niemłody już, ale światowy, bogaty, mający tylko tę wadę, że lubi opowiadać anegdoty, które pod wszystkiemi szerokościami geograficznemi słyszałem opowiadane, jako miejscowe, po tysiąc razy. Z innych towarzyszów podróży, znałem tylko poprzednio jednego O'Leary, bogatego właściciela browaru w San Jose, na którego kosztowne wyprawy myśliwskie i żeglarskie pracowały dzień i noc beczki piwne we wspomnianem mieście. Z pozostałymi zaznajomiłem się dopiero w czasie wyprawy. Nazajutrz rano wyruszyliśmy świtem w drogę. Czytałem czy też słyszałem, nie pamiętam, gdzie i od kogo, że zaprzęganie mułów do wozów odbywa się z wielkiemi trudnościami, że potrzeba je chwytać na lassa, zaprzęgać jednocześnie do wszystkich wozów, że mulica, ubrana w dzwonki, musi iść naprzód, aby karawana mogła wyruszyć, i tak dalej. Wszystkiego tego nie widziałem. Być może, że podobne ceremonie potrzebne są z mułami, które poprzednio nie były zaprzęgane, które, chodząc po stepie w stadach, większą część życia spędzają w stanie półdzikim. Ale nasze łatwo poddawały się ludziom, pozwalały zakładać na siebie szleje i prowadzić się do wozów. Prawda, że są to zwierzęta dosyć niezgodne, i gdy je ustawiono, parami, przed każdym wozem po cztery, zdarzyło się, że stojący w tyle sięgał zębami po ogon

stojącego na przodzie, ten znów wierzgał w zęby tylnemu, z czego robiło się zamieszanie. Ale gniewne wykrzyki: „goddam!" mulników położyły wkrótce koniec tym nieporozumieniom. Potem, gdy cztery pary w lejce są już sczępione i zaprzęgnięte, cała trudność polega tylko na tem, aby ruszyły naprzód wszystkie jednocześnie; jeśli się zdarzy bowiem, że jedna lub dwie pary porwą się ciągnąć pierwej, wówczas, nie mogąc poruszyć wozu, narowią się i cofają lub przysiadają na miejscu, upierając się do tego stopnia, że trzeba nieraz godziny czasu, aby je uspokoić i do nowej próby zachęcić. Sprawia to ogromne zamieszanie; wóz bowiem, który szedł naprzód, nie może czekać, aby między swoje muły nie wprowadzić nieporządku, wozy, zaś, idące z tyłu, muszą się zatrzymywać, skutkiem czego cała karawana rozrywa się i rozprasza, tak że, zwłaszcza w miejscach nierównych, wozy giną sobie z oczu. Zdarzyło się to nam później kilkakrotnie, ale pierwszego rana wyruszyliśmy szczęśliwie. Zresztą nie siedzieliśmy na wozach, tylko na koniach. Metysowie przewodnicy: Sm th i Bull, ruszyli naprzód, a że jeszcze niezupełnie było widno, wkrótce więc ujrzeliśmy ich zaledwie migających wśród szarego swiatła poranku, a potem znikli nam zupełnie z oczu. Gdy się rozwidniło, począłem przyglądać się okolicy, Jechaliśmy środkiem obszernego canionu, który, jakby olbrzymia, na

kilkanaście mil szeroka ulica, szedł na północ. Dwa boki, a raczej dwie ściany jego boczne, stanowiły pasma gór Sweet water Mts. (Słodkiej wody); przez przerwy zaś pasma, leżącego po prawej stronie, widać było południową grupę Black Hills (Czarnych gór). Nazywano ją południową, jest bowiem dalej na północ druga, nie mająca z tą łączności, leżąca częścią tylko w północno-wschodnim Wyomingu. Co do tej właśnie grupy, którą mieliśmy po prawej ręce, zauważyłem, że żadne chyba góry nie nazywają się z większą słusznością Czarnemi. W bladem świetle poranku i na sinawem tle wschodu, te groźne, posępne masy wydawały mi się tak głęboko, tajemniczo i strasznie czarne, jakgdyby powleczone kirem. Niektóre tylko szczyty ubielone były śniegiem, jakby białym szlakiem na całunie. Na świecie robiło się coraz widniej, dal stepowa, odległe zarośla, grupy drzew, stoki Sweet water Mts. wychylały się coraz bardziej i coraz wypuklej na światło dzienne, wreszcie niebo na wschodzie stało się błękitne, złote i różowe, a owe wzgórza nie utraciły nic i nic ze swojej złowrogiej barwy.

Posuwaliśmy się naprzód zwolna wzdłuż koryta Północnych Wideł (North fork)rzeki Platty, płynącej środkiem canionu wprost na północ i dopiero znacznie wyżej skręcającej się na wschód, w kierunku Missouri. do której, przebiegłszy całą Nebraskę, wpada pod Omaka. O-

ba brzegi rzeki porosłe są wierzbiną, która, nie dochodząc po większej części wielkości drzew, miejscami stanowi nieprzebyte gąszcze, miejscami zaś otwiera się w polanki, pokryte wysoką a cienką trawą, zwaną „buffalo grass", czyli „trawą bawołów". Dla mułów i koni jest to najprzedniejsza w świecie pasza. W miejscach, w których znajduje się obficie, zwierzęta w półtorej godziny zaspakajają głód, obracając resztę nocy na wypoczynek. Sąsiedztwo rzeki było dla nas ze wszech miar koniecznem, raz dla wody, drugi raz dla trawy, która na stepach, spalona przez letnie upały, tylko koło rzek znajduje się w każdej porze, a nakoniec jeszcze i dlatego, że z tychże samych przyczyn wszelki zwierz trzyma się głównie pobrzeży. Z tem wszystkiem jednak, pierwszy ten dzień poczynał nam się dość jednostajnie. Ja i Ward, nie trzymając się karawany, jechaliśmy tuż nad brzegiem zarośli, błądząc oczyma w tym labiryncie poplątanych prętów i napróżno upatrując jakiegokolwiek żywego stworzenia. Wiatr wzmagał się i przejmował nas zimnem, które staraliśmy się rozpędzić częstem pociąganiem brandy z gumowych flaszek i paleniem fajek. Okolica zdawała się być zupełnie pustą i jednostajną. Przed nami zawsze taż sama rzeka, i ten sam canion, ciągnący się do nieskończoności, dwie też same sylwetki naszych konnych przewodników, to ukazujące się, to niknące we

wgłębieniach gruntu, po bokach też same pasma gór, zresztą cisza, zakłócana tylko szelestem wierzby, uchylającej się pod wiatrem. Większość towarzystwa, idąc za radą starego Mańki, trzymała się karawany. O'Leary i Winson którzy zapuszczali się w step z drugiej strony, również nie widzieli nic; nareszcie, koło godziny dziesiątej zrana, ujrzeliśmy pasemko zarośli, ciągnące się prostopadle do rzeki, a napoprzek naszej drogi. Przewodnicy nasi, którzy znikli w tych zaroślach, po chwili ukazali się napowrót, pędząc galopem do karawany. Sądziłem, że odkryli może Indyan albo bawoły, ale omyliłem się, oświadczyli tylko, że napotkali strumień, który będziemy musieli przebyć. Jakoż przebyliśmy go w pół godziny zupełnie bez wypadku, była to bowiem tylko struga wody o brzegach płaskich, zaledwie wijąca się po twardym stepowym gruncie. Po przebyciu zarośli, leżących na drugim brzegu, ujrzeliśmy ślady stada wielkich antylop, złożonego z sześciu sztuk. Zwierzęta te wysokie, o sierści płowej, jaśniejszej pod brzuchem, uciekały w kierunku gór z taką szybkością, że ani było myśleć o ściganiu ich konno. Jednakże stary Mańkut kazał nam teraz rozproszyć się po stepie, tak, abyśmy, nie tracąc się z oczu, zajęli przestrzeń na milę przynajmniej. Grunt z tej strony strumienia pokryty był krzakami nieznanego mi pochodzenia, dość gęstymi; łatwo więc było się

spodziewać, że lada chwila zwierz jaki podniesie się z legowiska. Jakoż po niejakim czasie dany był pierwszy strzał. Ponieważ krzaki były nizkie, widziałem więc doskonale flegmatycznego Thompsona, jak, zatrzymawszy konia, zmierzał się z karabinem, po chwili z końca lufy wybuchnął biały dymek, rozległ się strzał, po którym Thompson począł galopować naprzód. Przebiegłszy odległość około 300 kroków przestrzeń, dzielącą mnie od niego, dostrzegłem małe szare zwierzę, które, to skacząc, to zapadając pyszczkiem w trawę, usiłowało, jakkolwiek ranne, ratować się ucieczką. Dogoniliśmy je jednak w momencie. Była to antylopa ciemnego koloru z żółtemi centkami na grzbiecie, młoda jeszcze, na nóżkach tak cienkich, jak badylki. Thompson postrzelił ją kulą między łopatki. Gdyśmy dopadli do niej, przewróciła się na bok z głową odrzuconą i wywieszonym językiem, żyła jeszcze, ale Thompson dobijał ją nożem, poczem powrócił z nią do wozów, ja zaś pojechałem dalej.

W samo południe zatrzymaliśmy się dla zjedzenia lunchu. Mulnicy, zajechawszy wozami w półkole, wyprzęgli muły, które popędzili na trawę, a następnie do wody. Poczem, naciąwszy siekierkami zarośli, nanieciliśmy ognia i zabraliśmy się do przygotowania lunchu. „Lewa ręka" sprawił w mgnieniu oka antylopę, którą upiekliśmy w popiele i zjedli aż do ko-

ści, popijając herbatę z rumem. Prócz tego, mieliśmy pieczone kartofle, wędliny, konserwy z ryb, z owoców, a nawet i z zielonego groszku, słowem, lunch, jakiegoby się nie powstydziła niejedna restauracya w San Francisco. Po lunchu powyciągaliśmy się przy ogniu na naszych kołdrach i, pookrywawszy się skórami, pokrzepialiśmy spoczynkiem kości, strudzone trwającą od świtu konną jazdą.

Koło godziny trzeciej ruszyliśmy dalej. Kraj nie zmieniał się ani na jotę; aż do noclegu nie zaszło nic godnego uwagi, nie padł ani jeden więcej strzał. Stepy nie są menażeryą ani zwierzyńcem, można podróżować po nich całymi dniami, nie spotkawszy żywego stworzenia, czasem za to, gdy szczęście posłuży, spotyka się zwierzyny aż zanadto. Droga stawała się coraz trudniejszą. Miejscami przewodnicy napotykali dość znaczne wgłębienia na stepie, które trzeba było objeżdżać, co zabierało sporo czasu. Na nocleg stanęliśmy w wierzchołku kąta, utworzonym przez ujście strumienia do rzeki. Jakkolwiek według zaręczeń Mac-Lella, ze strony Indyan nie mieliśmy się czego obawiać, a według prawdopodobieństwa nie mogliśmy ich jeszcze spotkać, ostrożność jednak jest rzeczą, której na pustyni przestrzega się zawsze. Dlatego obozowisko nasze było wybrane w ten sposób, abyśmy, w razie niebezpieczeństwa, mogli się bronić skutecznie. Rzeka i strumień za-

bezpieczały nas z dwóch stron, wozy zaś, stanowiące podstawę trójkąta, z trzeciej. Muły, które nie mogły znaleźć pomieszczenia w trójkącie, wyprowadziliśmy na trawę. Na stepach nie puszcza się ich jednak na wolę. Każdy muł przywiązany jest do długiego lasso, na którego przeciwnym końcu znajduje się długi na półtorej stopy żelazny kołek. Kołek ten zatyka się w ziemię, zwierzę więc może obchodzić w promieniu lassa i paść się trawą, nie mogąc jednak uciec w step. Ostrożność ta jest konieczną, albowiem na pustyni, zwłaszcza wśród nocy, tak muły, jak konie, opanowywa chwilami paniczna trwoga. Czasem przyczyną trwogi bywają niedźwiedzie lub wilki, czasem Indyanie, a czasem i niema żadnej widocznej przyczyny. Zdarza się wówczas, że muły wyrywają z ziemi kołki i rozbiegają się na cztery wiatry. Dlatego, pomimo kołków, czuwa zawsze nad nimi straż z kilku ludzi; obecność bowiem człowieka dodaje im odwagi. Straży tej głównym obowiązkiem jest: strzedz stada od Indyan. Obecnie, gdy większa część pokoleń indyjskich umieszczona jest w rezerwacyach, nad któremi czuwają forty, zdarza się dość rzadko, żeby Indyanie godzili na życie i skalpy białych, zwłaszcza nie podróżujących samotnie. Z tem wszystkiem, włóczą się jednak większe lub mniejsze ich oddziały po stepach, które, jeśli zdarzy im się sposobność ukradzenia kilkuna-

stu mułów lub koni, nigdy nie pomijają takowej. Dla Indyan konie lub muły stanowią największe bogactwo, największą ponętę i posługę, dlatego kradną je zawsze, kradną je w czasie pokoju i wojny, nie tylko obcym podróżnikom, ale nawet takim, z którymi palili fajkę przy jednych ogniskach.

Oczywiście, kradzież taka nie uważa się w ich pojęciach za żaden występek, przeciwnie, za rzemiosło, w którem każdy wojownik ćwiczyć się powinien. Jakoż doprowadzają je do doskonałości. Gdy oddział, błąkający się po stepach, upatrzy stado, stojące na noclegu, najzręczniejsi z pomiędzy wojowników czołgają się nocą na brzuchach, starając się ujść oczom straży i dostać się w środek stada. Gdy im się to uda, wyciągają z cicha kolki z ziemi, a powyciągawszy je, podnoszą piekielny wrzask i wycie. Straszliwa trwoga opanowywa wówczas zwierzęta, oślepione strachem muły i konie biegną naoślep w step, gdzie wpadają w ręce pozostałych wojowników. Ci zaś, którzy dostali się w środek stada, dosiadają, w chwili podniesienia krzyku, najbliższych wierzchowców i ratują się na nich ucieczką. Nazywa się to wszystko razem „stamped". Dla zapobieżenia podobnemu wypadkowi, gdy tylko muły były już ustawione na noclegu, dwóch mulników, uzbrojonych od stóp do głów w rewolwery i czternasto-strzałowe Henry-rajfle, udało się na straż,

która miała być zmieniana co dwie godziny. Prócz tego, ponieważ stado nie mogło być z powodu braku strawy ustawionem blizko wozów, osobno straże miały czuwać nad obozem. Być może, że nie zachodziła tego potrzeba, ale postanowiliśmy stróżować, choćby dlatego, że, pierwszego dnia przynajmniej, obowiązek ten nie wydawał się nikomu ciężkim, a przytem chcieliśmy wszyscy rozpocząć jak najprędzej życie stepowe ze wszystkimi jego zwyczajami.

Prosiłem Woothrupa, abym ja należał do tych pierwszych wartowników, na co się chętnie zgodził. Odjechawszy na jakie trzysta kroków w ciemność, zatrzymałem konia. Na tęż samą, mniej więcej, odległość, miałem po prawej ręce Le Clerca, a po lewej Warda. Noc zaczęła się spokojnie. W obozowisku zdała buzował się wielki ogień, podsycany wierzbiną, około którego widziałem czerwone sylwetki ludzi; przede mną był step głuchy, pusty, ciemny, nade mną—gwiazdy. Puściłem po nim myśl, jakby rozuzdanego konia. Jakież to przestrzenie leżą tu jeszcze—myślałem sobie— prawie stopą ludzką nie dotknięte, ile milionów ludzi mogłoby tu się zmieścić, dojść do posiadania swojej własności, swego kawałka ziemi. A tam, w starej Europie, toczą się wojny; jedne państwa wzrastają kosztem drugich, walczą o posiadanie prowincyi, o rozszerzenie granic, i... czy choć jeden, np. Niemiec, wyjąwszy kilkudzie-

sięciu urzędników, może się nazwać szczęśliwym z tego powodu, że dziś Alzacya należy do Prus, a nie do Francyi, czyż choć jednemu przybył stąd marny grosz do kieszeni, czy głodnemu jest teraz jednym kawałkiem chleba więcej? I przyszło mi na myśl, że ta szeroka od oceanu do oceanu Ameryka ma jeszcze i tę wyższość, że w niej idea państwowa nie pochłania, tak jak naprzykład w Prusach, jakby Moloch, indywiduów, że tu państwo istnieje dla ludzi, dla nich prawa, dla nich urzędy, nie oni dla praw i urzędów, a nakoniec, że te tutejsze, tak niby luźne związki państwowe trwalsze są od wielu innych, bo ugruntowane na korzyści ludzkiej, na szczęściu ludzkiem i na poczuciu tego dobra w indywiduach.

Z tych marzeń i myśli wyrwało mię przeciągłe „all right!" Odkrzyknąłem owe „all right" Le Clercowi, które je powtórzył z kolei, i znów cisza zapanowała na stepie. Ogień w obozowisku palił się jeszcze, ale już słabiej; widać większa część ich tam poszła już do wozów spać. Podniósł się chłodny wiatr, który chwiał w prawo i w lewo kiściami dymu i płomienia, tak, że ognisko przestało się buzować, a poczęło migotać. Ogarniał mię sen i znużenie, a przytem było czuć zimno w nogi. Zajrzałem raz i drugi do mojej gumowej flaszki z brandą; potem, jak mówi Słowacki, „z gwiazd zrobiła mi się w oczach kasza". Napróżno obwinąłem

sobie lejce koło dłoni i ściągnąłem krócej konia, aby kiwaniem głowy szarpał mię za ręce i obudził; sen mocniejszy był od wszystkiego, wkrótce też usnąłem, nie gorzej jak Konrad Wallenrod po swej uczcie, na której uraczył się w tak dziko-bajroniczny sposób, że aż stół przewrócił i zasnął.

Obudził mię dopiero Woothrup, który, jako bosmen obozowy, objeżdżał straże.—Morning, sir — rzekł mi — szczęśliwy obóz, który śpi pod taką strażą. Mógłbym pana oskalpować i oddać mu jego skalp dopiero jutro, ale, przy tej sposobności, powiem panu jedną anegdotkę...

— Panie — przerwałem zawstydzony — z równą rozkoszą wysłucham jej jutro, co tam robią Ward i Le Clerc? — Właśnie jadę ich pobudzić — odpowiada Woothrup. Jakoż nie omyliłem się, bo spali obaj, jak zarżnięci, z czego byłem bardzo szczęśliwy, bo nie mogli wyśmiewać się ze mnie nazajutrz. W pół godziny też potem zluzowano nas innymi; my zaś, wynagradzając sobie tak długie i sumienne czuwanie, udaliśmy się prosto pod skóry bawole do naszego wozu.

Drugi i trzeci dzień gorsze były jeszcze od pierwszego. Strzelaliśmy tylko do piesków ziemnych, więcej dla wprawy, niż pożytku. Jedynym wypadkiem była sprzeczka Warda z Thompsonem, zagodzona z wielkim taktem przez Woothrupa, jedyną zaś pociechą to, że

droga stawała się coraz lepszą. Zagłębienia na stepie znikły, mogliśmy więc posuwać się prędzej i w kierunku zupełnie prostym. Szczyty Sweet water Mts., ciągnące się po lewej stronie rzeki, zmniejszały się coraz bardziej. Były to już tylko wzgórza, których przerwy, jak nas o tem przekonały nasze lunchy, pokryte były drzewami. Przebywszy w płytkiem miejscu Północne Widły, dotarliśmy w kilku aż do owych bocznych canionów; wydały się nam one jednak jeszcze pustsze, niż główny. Uderzyła mnie szczególnie nieobecność wielkich ptaków. Cóż za różnica między tymi canionami a kalifornijskimi, zaludnionymi przez tysiące błękitniaków, kuropatw, drozdów, barwistych dzięciołów, kolibrów i biegunów (wolking-bied), tu ani nawet wrony jednej. Ale cóż za różnica i klimatyczna, tam wszystko zieleni się, kwitnie, śpiewa, mieni, jak tęcza, i uśmiecha — tu wszystko nosi jakiś charakter posępny i złowrogi. Grunt pod drzewami nie pokryty runią, same drzewa rozkładają gałęzie, jakgdyby bały się rosnąć swobodnie w górę, a pod drzewami wieczna cisza, przerywana czasem tylko rykiem dzikiego zwierzęcia.

Pewne zniechęcenie poczęło ogarniać nasze grono. Trzy dni konnej jazdy nuży, zwłaszcza, gdy nic nie zajdzie takiego, coby dozwolilo zapomnieć o zmęczeniu. Zatrzymywaliśmy się często dla przetrząśnięcia okolicy. Rozbiegłszy

się na wszystkie strony, tak daleko, że jeden tracił drugiego z oczu, zataczaliśmy wielkie koła, przepatrując wszystkie krzaki, zarośla, rozpadliny stepowe, zawsze napróżno. Towarzysze moi zaczęli coraz częściej zsiadać z koni, aby szukać wypoczynku na wozach; ja, przyzwyczajony już do ciągłych konnych wycieczek w południowej Kalifornii, męczyłem się mniej od innych i przepatrywałem okolicę staranniej. Towarzyszył mi zwykle Ward, który od czasu sprzeczki z Thompsonem zaczął się mniej ze mną sprzeczać. Zapraszaliśmy z sobą i „Lewą rękę"; ten jednak mało oddalał się od karawany, zachowując się widocznie na później i nie ukrywając złego humoru z przyczyny niespodziewanego braku zwierzyny na stepie.

Czwarty dzień przeznaczony był na wypoczynek; karawana miała wyruszyć dopiero nazajutrz o świcie; tymczasem, ponieważ nic nie zdradzało obecności Indyan, każdy mógł robić, co mu się podoba, pozostać przy wozach lub jechać na polowanie, gdzieby chciał. Przyłączyłem się do metysów Smitha i Bulla, i ruszyliśmy razem w kierunku wschodnim. Tym razem los nam sprzyjał; zaledwie bowiem oddaliliśmy się na parę mil (angielskich) od karawany, z krzaku, rosnącego opodal, wysunął się duży ryś, szary, centkowany, nie dalej, jak o trzydzieści kroków od nas. Wstrzymawszy natychmiast konia, strzeliłem doń tak szczę-

śliwie, że zabiłem go na miejscu. Kula strzaskała mu wierzchnią część karku wraz z kręgami szyjnymi. Ale, gdym dla pewności, zeskoczywszy na ziemię, dobijał go jeszcze kilku pchnięciami noża, z poblizkiego krzaku ruszył się drugi, który utaił się po strzale i, zaślepiony wściekłością lub trwogą, ruszył wprost na mnie. Zaledwie jednak miałem czas przyklęknąć, przysłoniwszy jedną ręką oczy, drugą trzymając straszliwy „bowie-knife", gdy w powietrzu świsnęło lasso, rozległo się jakby uderzenie biczem; schwytany za szyję zwierz, beknął chrapliwie, zwinął się w kłębek i, odbijając się, jak piłka, od kamieni i gruntu stepowego, porwany został jakby wichrem w step przez metysa Smitha. Drugi przewodnik, Bull, schwytał tymczasem mego konia, z którego zsiadłem dla dobicia mojej ofiary, a który, w chwili gdym przyklęknął, uciekł i galopował w kierunku karawany. Ten najpiękniejszy rzut lassa, jaki kiedykolwiek widziałem, uchronił mnie co najmniej od licznych pokąsań i zadrapań ręki, które zresztą raz już musiałem przecierpieć w górach kalifornijskich. Życiu myśliwca, uzbrojonego w nóż, właściwie mówiąc, rzadko zagraża niebezpieczeństwo, chyba w razie zupełnej utraty przytomności. Ryś, dziki kot i jaguar rzuca się zwykle na oczy, że zaś te przysłania się w takim razie ręką, zwierz chwyta się pazurami i zębami, a zanim poprzedziera ubranie, kilka

pchnięć trójkątnego i tęgiego noża w brzuch i w piersi uspakaja go zwykle. Na południu zuchwali myśliwi uderzają nawet w ten sposób na jaguara, obwiązawszy poprzednio lewą rękę grubem „puncho". W zimnym jednak klimacie, w którym i tak nosi się grubsze ubranie, ręka, zwłaszcza gdy się ma do czynienia z mniejszem zwierzęciem, wychodzi zwykle bez szkód znaczniejszych. Na szarego niedźwiedzia jednak ten sposób nie przydał się na nic; ten bowiem nie tylko umie parować nóż, jak najprzedniejszy fechmistrz, ale jednem uderzeniem łapy zdziera skórę z głowy i gruchoce czaszkę.

Smith powrócił wkrótce ze swoim łupem, uduszonym i porozbijanym o kamienie. Pytałem go, czy nie potrzeba jeszcze kilku pchnięć noża, ale on, pokazując mi swoje białe zęby, odpowiedział, że zwierz jest „fixed", jakby po polsku powiedzieć „ustalony". Jakoż i był ustalony raz na zawsze, bo po owej przejażdżce myślę, że nie miał ani jednej całej kości. Indyanie i metysowie chwytają na lassa nawet niedźwiedzie i bawoły, ale w takim razie jeden koń i jeździec nie wystarcza; za to wszelkie inne zwierzęta, nie wyłączając i jaguara, wleczone przez kwadrans po stepie, tracą stanowczo życie, bądź to skutkiem uderzenia, bądź skutkiem pogruchotania kości pacierzowej.

Założywszy naszą zwierzynę na konie, które zachowały się przytem dziwnie spokojnie,

ruszyliśmy w kierunku karawany. Zaledwie jednak jechaliśmy z kwadrans, metys Bull, obdarzony nadzwyczajnie bystrym wzrokiem, przysunął się do mnie i szepnął mi, abym, udając, że się nie oglądam, spojrzał na prawo w krzaki, pokrywające niewielką wyniosłość, odległą na tysiąc może yardów. Poszedłem za jego radą i, zwróciwszy nieco konia, wytężyłem wzrok we wskazanym kierunku. Krzaki były wysokie i dość gęste, napróżno jednak badałem je oczyma. „What is the, matter?" (cóż to jest) spytałem metysa:—„Buffalo?"—„No", odpowiedział. — „Niedźwiedź?"—„No". „Cóż nakoniec?" „Patrz teraz między te dwa krzaki." Spojrzałem jeszcze raz i po chwili ujrzałem jakoby dwa końce skrzydeł ptasich, chwiejące się lekko między gałęziami.—„To ptak?", spytałem.—„No, sir! to „indżun", który nas śledzi". Przez krótką chwilę naradzaliśmy się, co mamy robić, czy dać poznać wojownikowi indyjskiemu, żeśmy go dostrzegli, czy też, udając, że nic nie widzimy, wrócić do karawany i ostrzedz ją, aby miała się nocą na baczności. Metysowie, którzy mieli może ochotę odeprzeć nocny „stamped" (rozgon mułów), a przez to zasłużyć się nam i mieć potem prawo domagania się wyższej zapłaty, chcieli, żeby wracać, ja jednak uparłem się, aby jechać wprost na Indyanina: „He will kill you" (on cię zabije), rzekł mi Smith. — „All right!" odpowiedziałem, zwracając konia wprost na

wzgórze. Nie tylko wiedziałem, że równa droga była tak mnie, jak i jemu być zabitym, ale byłem przekonany, że nie będzie nawet strzelał do mnie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, wojownik ten musiał należeć do pokolenia Utów, które było uprzedzone przez Mac Lella o naszem przybyciu; powtóre, we własnym interesie nie porwałby się na mnie, wiedząc i widząc, że mam dwóch towarzyszów, a nakoniec Indyanin w czasie pokoju rzadko godzi na życie białego, którego śmierć nie może pozostać w ukryciu.

Początkowo kłusując, następnie jadąc, co koń wyskoczy, przez zapadłe dosyć wgłębienie, oddzielające nas od wzgórza, wkrótce znaleźliśmy się na jego szczycie. Jakież było moje zdziwienie, gdym, obejrzawszy się dokoła, nie ujrzał żywej duszy. Napróżno oglądałem się, napróżno przepatrywałem krzaki i zarośla: nigdzie żadnego żywego stworzenia. Pomyślałem, że metysowie zwiedli mnie; zwróciwszy się więc do Bulla, powiedziałem mu ostro, że, jeśli miał zamiar żartować sobie ze mnie, może źle wyjść na tem. Ale Bull przysięgał się na wszystko, że widział Indyanina, Smith zaś potwierdzał jego słowa. Wkrótce też wynaleźli ślady i pokazali mi je dotykalnie, następnie zaś, obejrzawszy grunt, odgadliśmy łatwo, co się stało. Druga strona wzgórza była pęknięta na dwoje. Pęknięcie owo stanowiło głęboką wyrwę, idącą

daleko w step w kierunku wschodnim i ginącą w dali u stóp gór. Dno jej pokryte było nieprzebitą gęstwiną wierzb i innych krzaków, w które Indyanin łatwo mógł się ukryć i uciec.

Ścigać go było niepodobieństwem. To jednak pojawienie się czerwonego wojownika i zagadkowe jego zniknięcie zaniepokoiło mnie, a przynajmniej dało mi do myślenia. Indyanie wiedzieli już o nas, było to pewnem, ale skądże to dziwaczne ich postępowanie? Wszakże, wedle upewnień Mac Lella, mieli nam dać przewodników przy Medicina Rivier i polować na bawoły razem z nami. Przepełniony temi myślami, wróciłem do karawany. Zastałem obóz już zaalarmowany. „Lewa ręka", który chodził na polowanie na drugi brzeg Północnych Wideł, i który, mówiąc nawiasem, zabił ogromną antylopę, widział także dwóch konnych wojowników, którzy, tak samo jak nasz, pojawili się i znikli. Woothrup złożył radę wojenną przy ognisku, do której i mnie zaprosił. Pogląd starego Mańkuta wydał mi się najtrafniejszy. Nie wątpił on, że Mac Lell ostrzegł Indyan, nie miał bowiem żadnego powodu tego nie czynić. Nie wątpił również, że obozowi nie zagraża zbrojny napad, ale zachodziła następująca okoliczność: jakkolwiek najprawdopodobniej wojownicy, których widzieliśmy, należeli do Utów, na stepie jednak mogły także znajdować się za-

błąkane oddziały innych pokoleń. „Prawdopodobnie ich niema — mówił stary strzelec — ale Utowie będą się starali wyciągnąć z tego korzyść. Jeżeli w nocy wykonają „stamped" i pokradną nam nasze muły, drugiego dnia, udając, że o niczem nie wiedzą, przyślą nam eskortę, będą nawet nam pomagali w odszukiwaniu straty, przed Mac Lellem zaś wytłómaczą się tem, że to nie oni, ale wojownicy innego jakiegoś pokolenia, dopuścili się grabieży". Krótko mówiąc: podług widzenia rzeczy starego strzelca, mogliśmy być pewni, że nasi przyszli sprzymierzeńcy, jeśli będą nas mogli okraść bezkarnie, to, pomimo wszelkich rekomendacyi komisarskich, okradną nas niezawodnie. Skutkiem tego postanowiliśmy się mieć na baczności. Straże obozowe i przy stadzie miały być zdwojone i czuwać staranniej, niż to czyniliśmy pierwszej nocy. Przytem, ruszyliśmy natychmiast naprzód, aby na nocleg wybrać miejsce, na któremby postój stada mógł się odbywać, o ile można, blizko wozów. Niezwykłe ożywienie opanowało teraz cały obóz. Towarzysze nasi, którzy drugiego i trzeciego dnia poczęli się już zniechęcać i nużyć, opatrywali teraz broń, kręcili się na wszystkie strony, pokrzykując na siebie wzajemnie lub strasząc się żartobliwie czerwonymi. Byli tacy, którzy utrzymywali, że cały ten alarm jest to „humbug", ale ci właśnie, a między inny-

mi i Ward, idąc śladem naszych metysów, życzyli sobie, lubo z innych powodów, „stampedu", jako dobrej sposobności do rozrywki i nocnej na wiatr strzelaniny.

We cztery godziny potem stanęliśmy na nocleg; przedtem jednak jeszcze straciliśmy jednego muła, który upadł przy przeprawie przez strumień tak nieszczęśliwie, że złamał nogę. Trzeba go było wyprządz i zastąpić innym, tym czasem, ponieważ wśród nocy i tak stałby się pastwą zwierząt, mulnik zabił go, wyładowawszy mu cały rewolwer w ucho. Na nocleg stanęliśmy opodal od przybrzeżnych zarośli, muły zaś poprzywiązywaliśmy niedaleko od wozów, gdzie trawa nie rosła wprawdzie zbyt obficie, ale gdzie były zabezpieczone przed „stampedem". Z polecenia Woothrupa, miałem czuwać nad strażami, pilnującemi stada, przejeździłem więc na koniu całą noc. Co pół godziny jeździłem od placówki do placówki, pytając, czy wszystko idzie dobrze, i zawsze odbierałem stałą odpowiedź: „all right!" O północy zluzowałem straże, a następnie zmieniłem je jeszcze raz o wpół do czwartej, ponieważ zimno mocno dawało się we znaki. Strażnikom przykrzyła się widocznie moja zbytnia gorliwość w nawoływaniu, zauważyłem bowiem, że, gdym zbliżył się do jednego z nich i zawołałem: „All right?", rozbudzony może z drzemki, która poczynała go ogarniać, odkrzyknął

głosem: „All right!" ciszej zaś dodał: „Goddam you!" Udałem, że tego nie słyszę, inaczej bowiem, wypadałoby mi wyzwać nazajutrz strażnika na pięście i, albo go obić, albo zostać przez niego obitym. Czasami oddalałem się w step i o pół mili i więcej, i w tym promieniu objeżdżałem cały obóz. Wszędzie było spokojnie i cicho; słyszałem tylko wilki, wyjące na drodze, którą przejechaliśmy przed noclegiem, zebrane zapewne nad trupem naszego muła; raz jednak w ciemnościach dostrzegłem zbliżającego się konia i jeźdźca. Chwyciłem natychmiast za karabin, chcąc strzelić na alarm, ale był to Woothrup, który także wyjechał był na zwiady. Noc cała przeszła bez wypadku. Świtaniem, gdy większa część towarzyszów wyszła już z obozu z blaszankami po wodę, zsiadłem z konia i położyłem się spać. Przespałem się aż do lunchu. Gdym się obudził, towarzysze powiedzieli mi, że ani przewodnicy, ani „Lewa ręka", nie odkryli nigdzie śladu Indyan, że wszystko idzie po dawnemu, że nad ranem, wyruszywszy w drogę, zabili wilka, a widzieli stado antylop i ślady bawołów nad rzeką, niebardzo jeszcze stare. Jechaliśmy dalej spokojnie. Nad wieczorem znów znaleziono ślady bawołów, które tym razem sam oglądałem. Wytłoczenie potężnych racic w mule nadbrzeżnym przechowało się doskonale, zwłaszcza, że woda na rzece była nizka, i muł stwardniał. Ale

właśnie z twardości mułu wnosiłem, iż nie były tak świeże, jak sądzono. Wjeżdżaliśmy jednak widocznie w okolicę, obfitującą w zwierzynę, co można było poznać z wielkiej ilości antylop. Następnej nocy zachowaliśmy też same ostrożności, jak poprzedniej; nic jednak nie zaszło godnego uwagi. Nazajutrz, około godziny ósmej rano, stary strzelec, który świtaniem wyszedł był na zwiady i dopiero co powrócił, zbliżywszy się do mnie, szepnął zcicha, abym udał się za nim. Wyjechaliśmy obaj z obozu konno. Kanion, który od kilku dni zwężał się coraz bardziej, nie był w tem miejscu szerszy, niż na sześć do ośmiu mil angielskich; wkrótce więc dojechaliśmy do gór. Przez drogę wypytywałem starego, dlaczego mnie wezwał, ale nie chciał mi dać żadnych objaśnień. Zatrzymaliśmy się u wejścia do jednego z bocznych kanionów. Tu stary strzelec zsiadł z konia i mnie kazał to uczynić, a następnie, odprowadziwszy konie, ukrył je w rozpadlinie gruntu, porośniętej krzewiną.—Teraz musimy pójść piechotą—rzekł do mnie.—A konie?—spytałem.—Nic im się tu nie stanie.—Poszliśmy. Wązkie gardło bocznego kanionu prowadziło nas w głąb gór. Gardło to jednak rozszerzało się stopniowo coraz więcej. Przy samem wyjściu stary zatrzymał mnie:— I will show you something—(Chcę panu coś pokazać)—rzekł.—Co?—Buffalo! Serce zabiło mi z radości.—Teraz musimy się rozłączyć—

rzekł.—Idź pan na lewo, ja pójdę w prawo. Wyszedłszy na polankę, czołgnij się w zaroślach, póki się nie doczołgniesz, potem strzelaj, ale nie pokazuj się po strzale. Rozstaliśmy się. Po kilkudziesięciu jeszcze krokach, kanion rozszerzył się nagle w polankę, której brzegi pokryte były zaroślami, środkiem zaś ciągnęła się łąka, przez którą przepływał mały strumień.

Czytelnik wyobrazi sobie moje wzruszenie, gdy na środku łąki ujrzałem potężnego bawołu, stojącego spokojnie opodal strumienia. Zasunąwszy się jeszcze głębiej w zarośla, począłem się czołgać. Upłynęła może z godzina czasu, zanim zmieniłem kierunek w stronę brzegów polanki. Poruszałem się z największą ostrożnością, aby nie potrącić nawet gałązki. Przez cały ten czas nie widziałem zwierzęcia, ale zato, gdym się doczołgnął do brzegu, ujrzałem je w całej okazałości. Wyznaję, iż ponieważ były to pierwsze moje łowy na bawołu, serce biło mi nietylko ciekawością, myśliwskim zapałem, ale i pewnem wzruszeniem, nieco do strachu podobnem. Ten bawół, stojący teraz ode mnie nie dalej, jak na sześćdziesiąt yardów, wydawał mi się nietylko wielkim, ale poprostu potwornym. Był to istotnie potężny zwierz z ogromnym łbem, szerokim, może na półtrzeciej piędzi, z rogami tak czarnymi, jak heban, zaledwie widocznymi wśród kudłów, pokrywających głowę, garb i wogóle przednią

część ciała. Kudły te były prawie zupełnie czarne, reszta zaś sierści jednostajnego bronzowego koloru. Zierz, nie podejrzywając niebezpieczeństwa, stał spokojnie, nie pasąc się trawą, ale poruszając zwolna żuchwami, z których zwieszała się ślina. Od czasu do czasu uderzał silnie przednią nogą w murawę, zresztą zdawał się być zupełnie zajęty przeżuwaniem. Opanowawszy wzruszenie, wymierzyłem doń spokojnie, ponieważ zaś stał obrócony do mnie lewą stroną, starałem się trafić go w serce. Strzał był niedaleki i do tak wielkiego zwierzęcia łatwy, po chwili więc pociągnąłem za cyngiel. Po moim strzale rozległ się drugi, tak jednocześnie, że prawie nie mogłem go odróżnić. Według polecenia „Lewej ręki", zamiast wyskoczyć z zarośli, przysiadłem spokojnie, czekając, co się stanie, łatwo więc wyobrazić sobie moje zdziwienie, gdym ujrzał, że bawół nie drgnął nawet, zupełnie tak, jakby nie słyszał naszych strzałów. Po chwili jednak zwierz poruszył się, zachwiał i, nie wydawszy najmniejszego głosu, klęknął na przednie nogi, a następnie zwalił się całą masą olbrzymiego swego cielska. Wyszliśmy wówczas obaj, trzymając w pogotowiu karabiny, ale, gdyśmy zbliżyli się do niego, nie poruszył się wcale, po kilku zaś minutach nie żył. Oba strzały były trafne i oba śmiertelne. Z tem wszystkiem, „Lewa ręka" teraz wytłumaczył mi, dlaczego zabronił mi pokazywać się

po strzale. Bawół po strzale nie ucieka nigdy, jeśli nie zobaczy człowieka; spłoszony jednak jego widokiem, umyka i często, choć ranny śmiertelnie, potrafi ubiedz kilka mil, zanim padnie. Oczywiście, wówczas odszukanie go, albo całkiem jest niepodobne, albo, przynajmniej, niezmiernie trudne i kłopotliwe. Bawół, któregośmy zabili, był tak wielki, że, jakkolwiek leżał na brzuchu, gdym stanął przy nim, garb jego dochodził wysokości mojej głowy. Nie wierząc własnemu szczęściu, dotykałem rogów i sierści zwierzęcia, w której moja ręka tonęła całkowicie, a następnie, siadłszy obaj z „Lewą ręką" na trupie, zapaliliśmy fajki. Oczywiście, o zabraniu takiej zwierzyny, ważącej pewno koło tysiąca pięciuset funtów, ani mogliśmy marzyć; wypocząwszy więc trochę po trudzącem czołganiu się w krzakach, wróciliśmy do koni. Wsiadłszy na nie, udaliśmy się z powrotem do karawany, którą w godzinę dogoniliśmy z łatwością. Wiadomość o naszem powodzeniu wzbudziła ogólną ciekawość, a nawet zazdrość. Wszyscy chcieli jechać oglądać naszą ofiarę. Karawana musiała zatrzymać się na czas pewien, którego potrzeba było do zdjęcia skóry ze zwierza. Mięso jego porąbaliśmy z pomocą toporów na sztuki i, ułożywszy na muły co przedniejsze części, odwieźliśmy je do obozu, resztę pozostawiwszy dla wilków.

Tegoż samego dnia wieczorem, pierwszy

raz w życiu, jadłem garb bawoli, pieczony w popiele. Utrzymywałem dla własnego honoru, żem nigdy nie jadł smakowitszej pieczeni, sądzę jednak, że sposób, w jaki ją przyrządzają, pozostawia wiele do życzenia.

Stary strzelec i przewodnicy utrzymywali, że, póki nie wyjedziemy z kanionu, a przynajmniej, póki nie dotrzemy do skrętu Północnych Wideł na wschód, wypadkiem tylko możemy spotkać stado bawołów—częściej zaś „odłączone". Jakoż przyszłość pokazała, że się nie mylili; pierwsze bowiem znaczniejsze stado spotkaliśmy dopiero tuż przy wyjściu z kanionu. Tymczasem jednak posuwaliśmy się naprzód, wolniej wprawdzie, niż poprzednio, droga bowiem, skutkiem zwężania się odległości między górami, stawała się coraz trudniejszą, ale wytrwale. Główną trudność stanowiły zarośla, które rozszerzały się coraz bardziej po obu stronach rzeki. Ze strony Indyan mieliśmy teraz zupełną spokojność. Ani jeden nie pokazywał się po ostatniem pojawieniu. Zato w kilka dni później zaszedł wypadek, który mógł skończyć się tragicznie. Zdarzyło się, że Woothrup, oddaliwszy się z góry z Bennetem i z jednym z przewodników, zostali napadnięci przez niedźwiedzicę, idącą z dwoma małemi. Woothrup, który szedł naprzód o jakie dwieście yardów (konie zostawili u wejścia do bocznego kanionu), strzelił do niej naprzód i postrzelił ją, ale lek-

ko. Rozwścieczona niedźwiedzica rzuciła się natychmiast na niego. Woothrup do tego stopnia stracił przytomność, że, zamiast strzelić do niej drugi raz, a nawet trzeci i czwarty, co mógł łatwo uczynić, będąc uzbrojonym w karabin, systemu Henry, rzucił broń na ziemię i począł uciekać w kierunku najbliższego drzewa. Dopadłszy do drzewa, zamiast wleźć na nie, objął je tylko ze strachu rękami i nogami u dołu i pozostał. Byłby zginął niechybnie, pomimo, iż towarzysze nadbiegali mu co sił z pomocą, gdyby nie to, że, szczęściem, młode niedźwiadki rzuciły się wraz z matką naprzód, jeden zaś z nich wyprzedził ją i , zaplątawszy się jej pod nogi w chwili, gdy powstawała na zadnie łapy, przewrócił ją na ziemię. Oślepiona wściekłością niedźwiedzica poczęła przewracać się po ziemi z własnemi dziećmi, bić je i szarpać, wydając przytem przeraźliwe ryki. Ta zwłoka ocaliła Woothrupa, w tejże bowiem chwili nadbiegł Bennet z przewodnikiem, i obaj, przyłożywszy prawie lufy do łba zwierzęcia, zabili je na miejscu. Co do dwóch młodych, jednego poszarpała na śmierć matka, drugiego przewodnik schwytał na lasso i przyprowadził żywcem do obozu. Woothrup przez cały dzień nie mógł przyjść do siebie po tym wypadku, a może i wstydził się trochę, bo, jakkolwiek, prawdę mówiąc, bardzo wielu z nas straciłoby tak samo przytomność, przecież zawsze podobne zdarze-

nia rzucają pewien odcień śmieszności na tych, którym się trafiają. Dla Woothrupa było to tem dotkliwsze, że był naszym naczelnikiem. Wstydził się i mnie, jako cudzoziemca, a to tembardziej, że w gruncie rzeczy wcale tchórzem nie był, czego później nieraz złożył dowody. Żaden z nas wprawdzie nie pozwolił sobie nigdy żartów w tym przedmiocie, stary jednak strzelec nie mógł się wstrzymać od dobrodusznej, a złośliwej uwagi, że chronić się przed niedźwiedziem na drzewo jest rzeczą roztropną, nie należy brać jednak za fałszywy koniec drzewa.

Co do młodego niedźwiadka, mieliśmy potem z niego źródło nieustającej zabawy. Przywiązano go na dość długim łańcuchu do ostatniego wozu, na który wdrapywał się na każdym przystanku. Było to stworzenie może trzy lub czteromiesięczne, dosyć że już duże, ale jeszcze nie niebezpieczne. Z początku dziczył się strasznie; gdy ktoś zbliżał się do niego, powstawał na tylne łapy i mruczał groźnie. Stopniowo jednakże zaczął się przyzwyczajać, zwłaszcza, że karmiono go obficie, i nikt nie robił mu krzywdy. Dawaliśmy mu wszystkie resztki od brekfestów i lunchów, rozprowadzone ciepłą wodą. Gdy przyniesiono mu dużą miskę blaszaną, przedewszystkiem kładł w nią łapę, obróconą podeszwą do góry, i dopiero jadł z łapy, jakoby ssąc z niej i mrucząc przytem bardzo głośno. Z psami, których wlokło się kilku za obozem,

żył w ustawicznej wojnie. Z początku bał się ich i zmykał przed nimi na dach wozu, potem, gdy który się do niego zbliżał, powstawał i, rozłożywszy przednie łapy, czekał w bardzo zabawnej postawie, jakoby pragnąc przyjąć psa w objęcia. Gdy go opadło kilku, zmykał na wóz, i siadłszy na dachu, drażnił się z psami, wysadzając głowę, wodząc za nimi swemi skośnemi oczkami i poglądając na nie z góry z bardzo pogardliwą miną, jakby chciał mówić: „a teraz, dajcie mi buzi!" W czasie pochodu, szedł zwykle truchcikiem za wozem, czasem jednak opierał się bez żadnej widocznej przyczyny i poczynał beczeć w niebogłosy. Gdy ktoś z jadących w tyle zbliżył się i poganiał go lassem, wówczas, beknąwszy gniewnie, zasuwał się pod wóz i szedł dalej spokojnie. Beczał także przeraźliwie później, gdy zbliżała się godzina, w której dostawał jeść, lub na widok człowieka, idącego z miską.

Gazeta Polska. r. 1878 № 50—55.

Szkice Amerykańskie.

III.

Widoki kraju. Okolice lesistsze. Piękność natury. Koniec października. Lato indyjskie. Parki na pustyni. Poranki i wieczory. Mgły poranne. Jak Amerykanie pojmują piękność przyrody. Czarne Góry. Trochę z niedawnej przeszłości. Wyprawa Cusbra. Wyprawa Gordona. Pierwszy fort w Czarnych Górach. Skargi Siouxów. Początek emigracyi. Podeptane traktaty. Sprawa wytacza się w gazetach. Rząd nie wie co robić. Ekspedycya wojenno-naukowa. Sprawozdanie profesora Jenny. Nowe układy i wojna. Bohater indyjski. Sitting-Bull między Anglikami. Nienawiść do Amerykanów. Popularność Sitting-Bulla w Stanach Zjednoczonych. Wyjeżdżamy z kanionu. Widok tarasu. Stado bawołów na stepie. Gonitwa. Wspaniała zdobycz. Zmęczenie. Kłopoty przewódzcy. Tajemniczość Indyan. Odpowiedzialność. Goniec od komisarza. Niebezpieczne położenie. Wracamy. Stosunki z Utami. Ostrożność. Do broni! Poselstwo indyjskie. Układy. Zręczność przewódzcy. Eskorta indyjska. Przybycie do Percy. Rozjeżdżamy się. Powrót do San-Francisco. Smutek. Wstrzymany wyjazd.

Nie mając zamiaru nudzić was czemś podobnem do „Anabasis", ani zaczynać peryodów od ksenofontowskich: „Entausen", nad któremi

dość namęczyłem i nanudziłem się w swoim czasie, nie będę opisywał dzień po dniu naszych wypadków i polowań, dość zwykle do siebie podobnych. Dam wam raczej opis kraju, tak odrębnego od naszych okolic, a tak ciekawego.

W miarę, jak posuwaliśmy się naprzód, szczyty Sweet Water Mts. stawały się znów wyższe i wyższe; kanion zaś, jakkolwiek coraz węższy, ale i coraz lesistszy. Szczególniej boczne kaniony i przerwy między pojedyńczemi szczytami obfitowały w bujną roślinność. Trafialiśmy często na wąwozy, pokryte krzakami czarnego agrestu, którego owocem nieopadłym jeszcze, a smacznym i zdrowym raczyliśmy się obficie. W rozpadlinach skał znajdywaliśmy maliny, pozbawione już owocu, ale rosnące nadzwyczaj bujnie. Czasem trafiały się drzewa dzikich śliw, które przewodnicy nazywali „czerwonemi śliwami". Co do innych drzew, stanowiły one teraz miejscami prawdziwe i trudne do przebycia lasy, nie widziałem jednak nigdzie lasów, złożonych z drzew jednogatunkowych. Najczęściej stanowiły one wspaniałą mieszaninę norweskich sosen, zwanych także „ciężkiemi", albo „żelaznemi" sosnami, dalej: jodeł, bukszpanów, dębów, wiązów, jesionów, dzikiej morwy i białej brzeziny, której rozplecione warkocze przypominały mi polskie lasy. Niektóre z kanionów pięknością dorównywały kalifornijskim, mniej były tylko ożywione, albowiem

ptaków brakło zawsze. Czasem jednak, pod sklepieniem niebieskiem, ważyły się na rozpostartych, nieruchomych skrzydłach wielkie orły, upatrujące zapewne piesków ziemnych, albo małych antylop. Wszystko to było dzikie, romantyczne, szczere, zdrowe i piękne, jak tylko pierwotna natura piękną być może. Na koniu, z karabinem pod ręką, czasem samotny w stepie i w górach, czasem w gwarnem i wesołem towarzystwie, czułem się, jak owe wielkie ptaki na niebie—swobodnym. Pogoda stawała się coraz piękniejszą. Był to ostatni, ale pełen niewypowiedzianej słodyczy uśmiech jesieni. Porę tę nazywają u nas babiem latem, a tu: latem indyjskiem — „indian-summer". Gdym czasem zabłądził w jakim dzikim parku, w którym piramidy drzew grupowały się, jakby ręką ludzką ułożone, zdawało mi się, że jestem w polskim ogrodzie. Tak samo i tu, wielkie rozczapierzone liście, odrywając się bez szelestu od drzew i kołysząc się lekko, spływały na ziemię; ten sam tu jakiś smutek i łagodna rzewność, rozlane w powietrzu, toż samo jakieś: „pamiętaj", szeptane smutno przez drzewa, przez zbladłe promienie słoneczne i więdnące kwiaty. Brakło tylko jeszcze owej piosenki, którą czytałem, czym słyszał—nie wiem—jeżeli nie chłopskiej, to na chłopską śpiewanej nutę:

„Oj jesienią, jesienią — oj! nigdzie liść na drzewie. —
„Oj i z sercem się tak dzieje-oj! choć człek o tem nie wie".

Rankiem bywało zwykle trochę mgły, która około godziny dziesiątej opadała na ziemię, wlokła się po krzakach, rozczesując białe jej zwoje, kryła się w wąwozy i nikła. Potem pogoda stawała się niezamąconą, a powietrze tak czyste, że wzrok nabierał dwa razy większej, niż zwyczajnie, siły. Pasma gór, oddalone na kilka mil, zdawały się leżeć tuż obok. Mogliśmy okiem rozróżniać wierzchołki drzew, pokrywających ich szczyty. Przedmioty widziane, zwłaszcza na wyniosłościach, powiększały się w trójnasób. Zdarzało się, że pieski ziemne braliśmy za stada wielkich jakich zwierząt. Rozmarzony i upojony temi wszystkiemi pięknościami, po całych dniach nie zsiadałem z konia, posuwałem się nieraz na kilka mil przed karawaną, zostawałem umyślnie w tyle, zwiedzałem boczne kaniony, zapuszczałem się w ciemne wąwozy, nie dbając o Indyan i o dzikie zwierzęta, a pragnąc przedewszystkiem widzieć jak najwięcej. Zauważyłem przytem, jak mało poczucia piękności natury mają rodowici Amerykanie. Zdarzyło się raz, żeśmy, błądząc we dwóch, z Woothrupem, zajechali na szczyt niezbyt stromej góry, z której jednak otwierał się niezmiernie obszerny krajobraz. Lasy, wąwozy, mniejsze wzgórza, smugi stepu, ginące w oddaleniu, strumyki, płynące od Północnych Wideł,—wszystko to leżało pod naszemi stopami, odziane jeszcze leciuchną mgłą, niby zasłoną, i oświecone pro-

mieniami rannego słońca. Rozmarzony więcej niż zwykle, zwróciłem się do mego towarzysza i, ukazując mu krajobraz, rzekłem:

— Patrz pan, co tu za cuda, i czem jest natura sama w sobie!

Woothrup patrzał przez chwilę na okolicę. Oczy jego błąkały się po górach, lasach i strumieniach, potem odetchnął głęboko i rzekł:

— O yes! Ci, co tu z czasem osiądą, zrobią dobry „business".

I nie było żadnego sposobu porozumienia się między nim a mną. My, dzieci Europy, pojmujemy naturę nerwami, uczuciem, wrażeniami estetycznemi, jakie w nas budzi, marzeniem, jakiem nas kołysze; patrzymy na nią przez zachwyt i upojenie, zapominamy powszedniość, nastrajamy się na jakiś wyższy ton, i radzibyśmy śpiewać pieśń o zapomnieniu życia. Dusze nasze są jak harfy, natura potrąca ich struny wrażliwe, więc grają. Czasem te pieśni bywają bardzo ładne. Do twarzy z niemi młodym pannom, emancypantkom i poetom. W Amerykaninie, jeśli chce być sobą, jeśli nie był w Europie i nie małpuje umiesień, które o uszy jego obiły się w Szwajcaryi, — natura porusza myśl, nie uczucie. On patrzy na nią, jakby rzec: oczyma pługa i siekiery. Kraj dziki przedstawia mu się przedewszystkiem, jako odpowiedni lub nieodpowiedni do zajęcia, osadzenia, ucywizowania. I nie jest to poza, jaką przybierają nie-

które nasze: „trzeźwe" umysły, ale właśnie pierwsze, szczere i naturalne wrażenie.

Co za różnica usposobień! Z jednej strony rozmaite: ach! och! z drugiej: „good business!" Tę różnicę tylko notuję, a nie wysławiam jednej lub drugiej strony. Być może, że obie patrzą zbyt jednostronnie, ale każdy musi tem być, czem jest. Pozostawmy więc Amerykanom ich praktyczny pogląd, musimy wszystko brać na szopenowską nutę! Cóż robić!

Te okolice Wyomingu zaludnią się zapewne wkrótce, a nawet Czarne Góry już teraz się zaludniają. Odkryto w nich złoto, skutkiem czego w północnej ich części, leżącej między Wyomingiem a Dakotą, pracuje już dziś około trzydziestu tysięcy ludzi. Po ekspedycyi generała Custera, odbytej w roku 1874—pomimo, iż całe to terytoryum było odstąpione i uroczystymi traktatami poręczone znakomitemu narodowi Sioux'ów, ludność górnicza, chciwa złota, nie zważając na wszelkie traktaty, zaczęła się cisnąć do Czarnych Gór. Z początku jednak ochotnicy nie byli zbyt liczni. Pierwsza wyprawa składała się z dwudziestu pięciu mężczyzn, jednej kobiety i jednego małego chłopczyka. Ludzie ci wyruszyli pod wodzą śmiałego awanturnika, Johna Gordona, o którym mówią niektórzy, że był Polakiem. Wyruszyli z Joncy z Sioux-city na pięciu wozach, mając ze sobą około trzydziestu mułów i kilka koni. Była to jesień 1874 ro-

ku. Karawana szła przez całą długość Dakoty, wśród niesłychanych trudów. Trzeba było przechodzić wielkie wyniosłości, jako to: „Table Lands", rzeki, strumienie, wąwozy i bezbrzeżne stepy. Prócz tego, Dakota zamieszkana jest przez liczne i bardzo wojownicze narody Indyan: Siouxów, Ponków, Czarnonogich, Arikanów, Dakotów, Płaskich głów, i innych. Po przejściu Missouri, awanturnicy codziennie musieli odpierać zbrojne napady i nocne „stampedy". Posuwano się bardzo powoli naprzód; mężczyźni dniem i nocą nie wypuszczali z rąk karabinów. Żywiono się mięsem bawołów i antylop nawpół surowem, albowiem nocami nie podobna było palić ognia. Ale energia Gordona, którego imię było już przedtem znane czerwonoskórym wojownikom, przezwyciężyła wszystkie te trudności. Wyprawa podobna byłaby przyniosła zaszczyt niejednemu z amerykańskich generałów. Rzecz prawie niepodobna do uwierzenia, że, podczas całej podróży, siedemdziesiąt dni trwającej, nikt z towarzyszów Gordona nie zginął, ani nie postradał skalpu. Odparto siedemnaście napadów—nakoniec Gordon potrafił drogą układów zjednać sobie Ponków, nieprzyjaciół Siouxów—co mu pozwoliło dokończyć szczęśliwie podróży. Po sześćdziesięciu dziewięciu dniach, awanturnicy ujrzeli nakoniec czarne, tajemnicze szczyty gór pożądanych; siedemdziesiątego zaś dnia 23 października stanęli u brzegów Fran-

cuskiego strumienia (French Creek), gdzie postanowili się usadowić. Pierwszą ich pracą było zbudowanie sobie obronnego fortu. Naścinawszy ogromnych drzew, któremi pokryte są Czarne Góry, wznieśli małą, ale silną twierdzę w podkowie „French Creek", opatrzoną narożnikami, z których śledzili Indyan, i z których, na przypadek napaści, strzelali. Zabezpieczywszy się w ten sposób, zajęli się wypłukiwaniem złota. Przez jakiś czas, zapomnieni od całego świata i poczytywani za przepadłych, żyli spokojnie. Złoto znajdowało się w nadspodziewanej ilości. Kolonia wzbogacała się codziennie, ale nie długo miało trwać jej szczęście. Siouxowie, nie mogąc wyprzeć ich siłą, pojechali ze skargą do rządu, powołując się na traktaty, mocą których Czarne Góry miały wyłącznie do nich należeć. Wskutek tej skargi, zresztą zupełnie usprawiedliwionej, rząd już w miesiącu kwietniu wysłał wojsko przeciw naszym bohaterom, jako przeciw nieprawym wdziercom w ziemie indyjskie. Fort został zburzony, mieszkańcy zaś wypędzeni poza granice Wyomingu i Dakoty.

Ale radość Siouxów krótsza jeszcze była, niż pobyt awanturników w ich górach. Awanturnicy, wypędzeni przez wojsko, popowracali do domów, przywieźli jednak ze sobą dwadzieścia siedem języków, opowiadających o cudach Czarnych Gór—i dotykalniejsze jeszcze dowody, to jest: mnóstwo piór napełnionych piaskiem

złotym. Prawdziwy szał ogarnął teraz mieszkańców terytoryów sąsiednich. Nie zważając na Siouxów, na traktaty, na zakazy rządowe, na wojska zresztą bardzo nieliczne, awanturnicy poczęli ciągnąć w Czarne Góry, już nie dziesiątkami, ale setkami. W maju 1875 było już pięć tysięcy ludzi, pracujących nad Francuskim strumieniem. Rząd wówczas zawahał się, co czynić. Traktaty były napisane czarno na białem, ale fakta po wszystkie czasy silniejsze były od traktatów. Zresztą, można było wypędzić dwudziestu siedmiu ludzi, ale z pięciu tysiącami potrzebaby było chyba wieść otwartą wojnę. Rząd był pewny, że nowi osiedleńcy będą odpierać siłę— siłą. Osiedleńcy składali się prawie wyłącznie z mężczyzn, ludzi zuchwałych, gotowych na wszystko i zahartowanych w boju. Cóż było robić? Rząd w Stanach Zjednoczonych posiada tak mało wojska, że czasem na cały stan wypada po kilkudziesięciu ludzi zaledwie. Tak np. w Kalifornii, w czasie ostatnich rozruchów robotniczych przeciw Chińczykom, — w San-Francisco, licząc w to forty broniące zatoki, było 41, wyraźnie czterdziestu jeden żołnierzy. A przytem, co do Czarnych Gór, nastręczało się jeszcze jedno pytanie: oto, jeśli te góry istotnie zawierały skarby, które dotąd leżały bezużytecznie, a których wydobycie na jaw wzbogaciłoby kraj, jeżeli bogactwem swych zasobów naturalnych przedstawiały okolicę zdatną do koloni-

zowania, w której mogłoby zakwitnąć rolnictwo, przemysł, handel—czy w takim razie nie godziłoby się, bądź drogą kupna, bądź zamiany, bądź układów, odzyskać tego kraju od Indyan? Gdy kwestya ta została poruszoną przez gazety, emigracya w te błogosławione okolice wzrosła jeszcze bardziej. Ludzie ciągnęli tam teraz, już nietylko dla szukania złota, ale dla zajmowania ziemi, aby, w chwili przejścia ziem na własność Stanów, wystąpić, jako osadnicy, na prawach klemowych. Spekulacyi otwierało się bardzo szerokie pole; zdarza się bowiem, że w okolicach, nagle się zaludniających, ziemia, brana na prawach klemowych, sprzedaje się potem już nie na akry, ale na „loty", to jest na małe cząstki przeznaczone pod budowę domów mających się wznosić miast. Oczywiście, cena ziemi dochodzi wówczas do tysiąców dolarów za „lot", ludzie zaś, którzy ją zajęli, robią miliony.

Tak tedy stały rzeczy, a tymczasem rząd postanowił wysłać drugą ekspedycyę, złożoną, prócz wojska, z ludzi uczonych, którzy mieli zbadać zasoby naturalne Czarnych Gór. Ekspedycya wyruszyła z fortu Laramie w maju 1875. Dowodził nią major Richard Irwin Dodge. Ciało jej naukowe stanowili: profesor Waller, geolog Jenney, astronom Tutfie, topografista Gillendy i przyrodnik Henry Newton, nie licząc doświadczonych kalifornijskich górników, znających praktycznie swoje rzemiosło, lepiej od niejed-

nego professora. Po kilkumiesięcznym pobycie i wszechstronnych badaniach naukowych, ekspedycya wróciła w październiku do Laramie, a następnie profesor Jenney złożył ministrowi spraw wewnętrznych urzędowe sprawozdanie, które mam pod ręką, i którego ciekawsze wyjątki pozwolę sobie przytoczyć:

„Sam zauważyłem, że yard sześcienny (trochę więcej niż łokieć) piasku, najmniej wydającego, wydaje jednak 1 dolar 87 centów; przyczem trzeba wiedzieć, że piasek leży na kilka stóp wysoko. Powróciwszy we dwa tygodnie do tejże miejscowości, przekonałem się, że postęp wydajności wzrasta nadzwyczajnie, albowiem troje ludzi wypłukiwało złota, przecięciowo, na dwadzieścia siedem dolarów dziennie.

„Niemniej, nad źródłem Spring i nad Rapid, oddalonem o 30 mil na północ od Harneys Peak, znalazłem dużo złota. Złotodajnie (placery) te są najwydatniejsze. Jedno wiadro przynosi do 15 centów, nie licząc pojedyńczych grudek (negetów), mających czasem znakomitą wartość. Nadto trzeba zauważyć, że badania, jakieśmy czynili, nie mogły być jeszcze dokładne; jednakże twierdzę stanowczo, że złotodajnego piasku jest tu wszędzie poddostatkiem. Być może, że wydajność tutejszych kopalni nie dorówna nigdy dawniejszej obfitości kalifornijskich, lecz zawsze jest tu złota dosyć, a wydobywanie go

w krótkim czasie zaludni tę ziemię i sprowadzi wszechstronny rozwój".

Przytoczyłem tu niektóre tylko wyjątki z obszernego sprawozdania, poświęconego nietylko bogactwom mineralnym, ale florze, faunie i klimatowi okolicy. Ogólna jego treść bardzo była pomyślna, co powiększyło jeszcze emigracyę, i skłoniło rząd do układów z Indyanami. Ale rozporządzenie ministra, aby, do czasu zawarcia układów, wydalić białych ludzi z całej okolicy, pozostało bez skutku. Zuchwali górnicy odpowiedzieli spartańskiem: „przyjdźcie i spróbujcie!" Tymczasem układy ze Siouxami szły ciężko. Część ich zgodziła się wprawdzie na odstąpienie terytoryum, ale większa część, pod wodzą wsławionych wojowników „Crazy Horse" (Szalonego Konia) i „Sitting Bulla" (Siedzącego Buhaja) nie chciała słyszeć o niczem. Wybuchła wojna, która nadspodziewanie przybrała początkowo nader niepomyślny dla Stanów obrót. „Siedzący Buhaj" zadawał klęskę po klęsce regularnym wojskom Stanów, a w końcu stoczył walną bitwę z jenerałem Custerem, w której ten ostatni z całem wojskiem poległ. Długowłosy skalp nieszczęśliwego jenerała powiewa dotąd u pasa indyjskiego wojownika, ale wojna oddawna już jest skończona. Siły Czerwonoskórych wyczerpały się; Siedzący Buhaj zaś schronił się do Brytańskich posiadłości. Nie potrzebuję mówić, że Anglicy przyjęli bohatera

Siouxów z otwartemi rękoma. Wyznaczono mu obszerne terytorya, obfitujące w paszę i zwierzynę. Napróżno rząd amerykański ofiarował mu amnestyę, zgodę, a nawet i wynagrodzenia. Gdy zawiadomiono go o tem ze strony rządu angielskiego, uniósł się nadzwyczajną zapalczywością. „Chcę być posłuszny Wielkiej Królowej — rzekł — i serce moje otwarte będzie dla Anglików, którzy są dzielnymi wojownikami. Nigdy topór mój nie ubroczy się we krwi Anglika, ale poprzysięgam wieczystą zemstę Amerykanom, których języki są dwoiste, którzy łamią traktaty, odbierają dziś, co wczoraj przyrzekli, i tępią, jak zwierzęta, moich braci. Będę za nimi chodził do ostatka dni mych po ścieżkach wojennych, będę brał skalpy z nich, z ich skwaw i dzieci, a ogniem niszczył ich wigwamy". Po takiej przemowie, komisarze amerykańscy wrócili, nic nie wskórawszy; Siedzący Buhaj pozostał zaś na ziemi angielskiej, przeżuwając swą zemstę i nienawiść.

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że Amerykanie płacą mu równą nienawiścią. Ograbiwszy jego naród, zająwszy Czarne Góry, zrobili z niego teraz bohatera, który czeka tylko na jakiego Coopera lub Washingtona Irwinga, aby, odziany legendowym urokiem. przeszedł do nieśmiertelności. Obecnie Sitting Bull jest to jedna z najpopularniejszych osobistości w Ameryce. Illustracye podają jego portrety, dzienniki zwy-

czajnie drukują jego mowy — i sądzę, że niejedna romansowa miss zgodziłaby się poświęcić dni swoje na osłodzenie wygnania tak wsławionemu wojownikowi.

Rozpisałem się o tych rzeczach nieco szerzej, bo zdaje mi się, iż nie bardzo one są nam znane. Teraz zato mogę powrócić, jeśli wola, do mego „Anabasis". Przez parę następnych dni odbywaliśmy drogę spokojnie. Indyan, którzy pojawili się po to tylko, aby zniknąć, policzyliśmy do mitów i, nie myśląc o tem więcej, prowadziliśmy życie po staremu, polując i zwiedzając okolicę. Nakoniec dotarliśmy do miejsca, w którem Północne Widły skręcają na wschód. Pasma Sweet Water Mts. kończyły się po obu stronach, a kanion rozpływał się na północ w step, prawie nieskończony. Stojąc u wejścia kanionu, patrzyliśmy, jakby z olbrzymiego tarasu, na płaszczyznę, ciągnącą się u stóp naszych i pochylającą się coraz niżej w stronę gór wielkoróżnych. Wiły się po niej długie smugi zarośli, których końce ginęły na skraju widnokręgu, ale któż opisze ogólną radość i uniesienie, gdyśmy, między temi smugami na stepie, ujrzeli kilkadziesiąt czarnych punkcików, zaledwie widocznych dla oka, ale widocznie ruchomych. „Lewa ręka" przyłożył swoją imienniczkę, lewą rękę, do czoła, wytężył wzrok, popatrzył chwilę, potem zwracając się ku nam, rzekł:

— Buffalo.

W tej chwili nadbiegli także przewodnicy. Obaj: Smith i Bull, osadzili konie tuż przed nami — oczy ich błyszczały, usta śmiały się, nozdrza były rozszerzone, i znowu usłyszeliśmy z ich ust tenże sam radosny na stepach wyraz:

— Buffalo!

Po krótkiej chwili „Lewa ręka" objął nad nami dowództwo, i poczęliśmy spuszczać się z tarasu. Pochyłość tak była stroma, że ani myśleć było o zjechaniu z niej wozami bez hamulców, ale konno spuściliśmy się łatwo. Zbliżywszy się do jednej ze smug zarośli, ustawiliśmy się gęsto i poczęli posuwać się zwolna samym brzegiem, tak, abyśmy w żadnym wypadku nie mogli być przez zwierzęta dostrzeżeni. Dość silny wiatr, wiejący z północy, był także szczęśliwą dla nas okolicznością, albowiem utrudniał bawołom pochwycenie słuchem naszych kroków, które przytem głuszone były szelestem krzaków. Im bliżej byliśmy zwierząt, tem jechaliśmy wolniej: głowy spuszczone, w jednej ręce cugle ściągnięte krótko, aby uchronić konie od potykania się, w drugiej ręce karabin. Po godzinie takiej drogi, wiatr począł przynosić nam głuche ryki zwierząt, a po półgodzinie jeszcze, mogliśmy je widzieć przez przerzedzone zarośla. Dzieliła nas od nich odległość może pięciuset yardów — zbyt wielka dla karabinów systemu Henry. „Lewa ręka" odwracał od czasu do czasu głowę i ciskał piorunujące

spojrzenia temu, kto sprawił najmniejszy szmer. Ale konie, jak gdyby wiedziały, o co rzecz idzie, stąpały cicho i ostrożnie. Każdy z nich zdawał się stawiać nogi z namysłem, aby nie nadepnąć jakiej gałązki, któraby mogła pęknięciem spłoszyć zwierzęta, lub nie uderzyć kopytem o kamień. Po chwili, ciche: „stop", wymówione przez „Lewą rękę", raczej poruszeniem ust, niż głosem, zatrzymało nas na miejscu. Bawoły poczuły nas. Byliśmy na trzysta yardów mniej więcej, przysłonięci jeszcze zaroślami. Na szczęście, są to zwierzęta równie ciekawe, jak płochliwe. W niespokojności, która ogarniała całe stado, zdawała się walczyć trwoga z zaciekawieniem. Krowy i młode bawolaki poczęły się zbijać w wielką kupę. Samce pochylały straszne kudłate łby, wydając głębokie a krótkie ryki i uderzając silnie racicami o ziemię. Nakoniec całe stado, jakby popchnięte niewidzialną siłą, ruszyło nagle, ale, zamiast uciekać, ruszyło wprost na nas. Niejedno tam serce zabiło wówczas niespokojnie, ruch ten bardzo był bowiem podobny do ataku. Z tem wszystkiem kilkanaście luf pochyliło się jednocześnie w stronę zarośli, i, na dany znak przez „Lewą rękę", daliśmy ognia; poczem, wyjąc po indyjsku, puściliśmy konie przez zarośla, aby, objechawszy ich koniec, uderzyć na stado. Po pierwszej salwie nie padł ani jeden bawół, natomiast wszystkie w mgnieniu oka zwróciły się do ucie-

czki. Przez chwilę widziałem te olbrzymie zwierzęta, z pochylonymi na przednie nogi łbami i z wypukłymi garbami, uciekające tak szybko, że sądziłem, iż nigdy ich nie doścignięmy. Ścigaliśmy, wyjąc w niebogłosy, strzelając, jak kto mógł, i bodąc konie ostrogami. Wkrótce kilka sztuk, rannych zapewne przy pierwszej salwie, padło na ziemię. Inne, przeskakując, a często i przewracając się przez nie, pędziły dalej, a my za niemi. Szybkość koni zaczęła brać jednak górę nad szybkością bawołów. Byliśmy bliżej i bliżej. Nasze wycia, tentent koni. ryk bawołów, beczenie przeraźliwe cieląt, wszystko to składało przeraźliwą, prawdziwie piekielną harmonię. Nakoniec, stado, oślepione trwogą, rozproszyło się po stepie. Każdy zwierz uciekał teraz w innym kierunku. Nastąpiło zamieszanie. Pognawszy za wielkim samcem, strzelałem doń z karabinu jedną ręką, drugą prowadząc konia. Strzały nie mogły być celne, dlatego uciekał ciągle. Prócz tego, po każdym strzale, potrzebowałem dwóch rąk do poruszenia sprężyny, wyrzucającej wystrzelony ładunek, a przez ten czas koń szedł, gdzie chciał, i odległość, dzieląca mnie od mojej ofiary, zwiększała się. Wystrzeliłem nakoniec czternaście strzałów, a nie mając czasu nabijać, ani zapinać karabina w pasy, cisnąłem go na ziemię, chwyciwszy na to miejsce rewolwer Colta, wielkiego

kalibru, który miałem u pasa. Mając teraz rękę swobodną od kierowania koniem, wkrótce zbliżyłem się do zwierzęcia, a po chwili pędziłem za niem tuż, tuż, tak, iż słyszałem zziajany jego oddech. Nakoniec byłem tak blizko, że mógłbym był ręką prawie dosięgnąć jego sierści. Wówczas to począłem wyładowywać weń rewolwer, nie wybierając miejsc, ale też i nie chybiając z powodu żadnej prawie odległości. Było w tem wszystkiem trochę niebezpieczeństwa. Zwierz, przyprowadzony do ostateczności, mógł się zwrócić nagle i uderzyć na mnie, a powtóre koń mógł upaść, pędziłem bowiem na złamanie karku, nie zważając na krzaki, kamienie, na dziury, porobione przez wiewiórki ziemne, i na inne przeszkody. Szalona ta jazda, tuż, tuż, trwała z jakie dziesięć minut, póki nie wystrzeliłem wszystkich ładunków z rewolweru. Potem poprawdzie nie wiedziałem, co robić. Zwierz biegł ciągle, ja za nim, uzbrojony już teraz tylko w „bowie knife", który nie mógł się na nic przydać. Goniłem jednak zapamiętale, wiedziałem bowiem, że prędzej później paść musi. Wiatr świszczał mi w uszach, tchu niestawało w piersiach, myślałem już, czyby nie wstrzymać konia i nie odetchnąć na chwilkę, gdy, nagle, znalazłem się przed bawołem. Zawróciwszy konia półkolem, spostrzegłem, że zwierz upadł na jedno kolano, i z drugą nogą, wyciągniętą naprzód, a z nozdrzami, zanurzo-

nemi w trawę, pozostawał nieruchomy. Gdym się zbliżył, zerwał się jeszcze z oczyma zakrwawionemi, pełnemi przerażenia i obłąkania, ale zachwiał się natychmiast i padł. Poczem zaczął drgać kurczowo, co oznaczało konanie. Chciałem go dobić pchnięciem noża między głowę i kark, ale nie umiałem tego; wsiadłem więc znów na koń i spojrzałem po stepie. O jakie pół mili widać było dwóch jeźdźców, pędzących w taki sam sposób, jak ja, za bawołami. W jednym z jeźdźców poznałem Thomsona, po szarem ubraniu,—drugiego nie mogłem rozpoznać. Thomson, położywszy się prawie na koniu, strzelał raz po raz, co miarkowałem z jego ruchów; nie mogłem bowiem dojrzeć ani dymu, ani huku rewolweru. Słyszałem tylko strzały karabinowe, dochodzące mnie z różnych stron, co dowodziło, że inni towarzysze jeszcze nie zaprzestali gonitwy. Wkrótce jednak wszystko ucichło. Towarzysze jeden po drugim poczęli się ukazywać. Gonitwa nie odbyła się jednak bez wypadku. Na Benneta rzuciła się krowa bawola w obronie cielęcia, a ponieważ dojeżdżał ją zbyt blizko, przewróciła go razem z koniem. Konia zabiła, a jeździec zemknął w zarośla; skąd, mimo iż zwichnął jedną rękę, strzelał jszcze z rewolweru, dopóki bawolica, pastwiąca się nad koniem, a już poprzednio ranna, nie padła. Stary Mańkut naprawiał natychmiast rękę Benneta sposobem arcy-barbarzyńskim (bo kopnięciem

go w staw), ale zato skutecznym. Bennet ranny był także w czoło, z którego sączyła się krew, nie było to jednak nic znacznego. Wytrwały „yankee" nie dał się nawet opatrzyć, ale, włożywszy swoją futrzaną czapkę, utrzymywał, że jest: „all right!" Gdyśmy następnie obrachowali naszą zwierzynę, pokazało się, że ubiliśmy sztuk jedenaście, nie licząc dwóch cieląt i tych, które, mniej więcej ranne, musiały paść prędzej później. Z pomocą mułów pościągaliśmy je wszystkie w jedno miejsce. Zdjęcie skór i wybranie najprzedniejszych cząstek zajęło tyle czasu, iż musieliśmy nocować na polu gonitwy. Olbrzymią masę mięsa musieliśmy jednak pozostawić. Żal było patrzeć na te stosy smacznego pożywienia, które miało stać się łupem dzikich zwierząt. Gdyby Indyanie dali nam byli, wedle obietnicy, uczynionej Mac-Clellowi, eskortę—byliby, zapewne, umieli spożytkować te zapasy, ale Indyan ani było nawet widać. Mieliśmy spotkać się z nimi przy ujściu Medicina Bow. Creek do Północnych Wideł, tymczasem drugi dzień już upływał, jak przebyliśmy Medicina Creek, nie spotkawszy żywego ducha. Woothrup poczynał się nawet tem niepokoić, przypuszczając, nie bez przyczyny, że musiało coś zajść, w czasie naszej nieobecności, co zmieniło stosunki Mac-Clella z Indyanami. Postanowiliśmy nawet z tego powodu zatrzymać się dwa dni, aby dać czas eskorcie odnalezienia nas. Ten

dłuższy wypoczynek był zresztą potrzebny i nam, i mułom, podróż nasza bowiem trwała już dwa tygodnie. Co do mnie, rad byłem z tego niewymownie. Prawdę powiedziawszy, od kilku dni czułem się niezdrów, a zaraz nazajutrz, po owej szalonej gonitwie za bawołami, było mi tak słabo, że musiałem zsiąść z konia i położyć się na wozie. Ward przez cały czas, albo gotował mi herbatę, albo siedział przy mnie, gawędząc, poprawiając na mnie skóry bawole i troszcząc się o mnie, jak najlepszy przyjaciel. Po południu przyszedł także Woothrup i począł ze mną długą rozmowę. Z rozmowy tej dowiedziałem się, że rzetelną jego myślą było ciągnąć tą drogą aż do Czarnych Gór, w których on i kilku z jego towarzyszów miało rozpatrzyć pewien „business", a gdyby się okazało, że był dobry, wejść w spółkę, wypuścić akcye i prowadzić sprawę na wielką skalę. Nie chciałem się o ten „business" wypytywać, bo mało mnie to obchodziło; poznałem jednak, że nasza wyprawa nie miała charakteru czysto sportsmeńskiego. Praktyczni Amerykanie umieli pogodzić jedno z drugiem. Niepojawienie się jednak Indyan wprawiło Woothrupa w kłopot niemały. Jeżeli, jak przypuszczał, dobre stosunki Indyan z komisarzem uległy jakiejkolwiek zmianie, dalsza podróż stawała się niebezpieczną i arcy trudną, trzeba bowiem było iść dzikim krajem wśród nieprzyjaciela, aż do północnej, bardzo jeszcze odle-

głej grupy Czarnych Gór, a następnie przecinać je w poprzek, chcąc się dostać do osad górniczych. Otóż Woothrup lękał się brać na swoją odpowiedzialność losów tylu ludzi, z których wielu żaden interes w stronę Czarnych Gór nie popychał, Woothrup mógł do Czarnych Gór zawsze jechać przez Council Bluffs i Sioux City, drogą już utartą. Tymczasem wahał się, czy nie wrócić, tembardziej, że wyprawa myśliwska mogła być uważana za skończoną. Powiedziałem mu, żeby robił, co mu się podoba, i istotnie, tak byłem słaby, że było mi to wszystko jedno. Wieczorem gorzej mi się jeszcze zrobiło. Paliła mnie gorączka, czułem zawrót głowy i ból we wszystkich kościach. Obawiałem się, że utracę przytomność. Zauważyłem także, że Thompson poszedł spać do innego wozu, niby dlatego, żeby mnie było wygodniej, ale, w gruncie rzeczy, obawiał się, czy nie jestem chory na zaraźliwą febrę, lub tyfus. Woothrup i Ward jednak pozostali przy mnie nietylko pierwszej nocy, ale i później.

Drugiego dnia jednak zrobiło mi się nadspodziewanie lepiej. Mogłem się przechadzać po majdanie, a nawet po „lunchu" siadłem na konia i pojechałem na rzekę. Wieczorem tegoż dnia zaszedł ważny w obozie wypadek. Przyjechał od Mac-Clella metys z listem do Woothrupa. Człowiek ten przebył w pięć dni drogę, którą my wlekliśmy się już dwa tygodnie. Przywiózł

niedobre wiadomości. Przewidywania Woothrupa sprawdziły się. Indyanie Utes, narzekając na głód w swoich rezerwacyach, zażądali wydania im ze składów rządowych (storow) zapasów żywności. Mac-Clell odmówił stanowczo; wówczas to wojownicy Utów, siadłszy na koń, posunęli się pod wodzą niejakiego Duglassa ku linii kolei żelaznych i, przestawszy prosić, poczęli grozić. Mac-Clell zawiadomił o tych rozruchach natychmiast fort Laramie, prosił na wszelki wypadek o siłę zbrojną, a tymczasem rozpoczął układy. Obawiano się jednak, że wojna stanie się nieuchronną—tembardziej, że w roku tym szczególny jakiś ruch ogarnął indyjskie pokolenia. Po wojnie ze Siouxami, poczęła się wojna z Przekłutemi nosami w Ajdacho (Idaho), dalej zajścia z Ponkasami, a nakoniec z Utami. Być może, że przyczyną wszystkich tych ruchów była emigracya białych na północ, która, wypychając jedne pokolenia, wpychała je na drugie. Mac-Clell spodziewał się jeszcze załatwić sprawę spokojnie, ale mimo to wzywał nas, abyśmy wracali jak najprędzej, póki układy się toczą i powstrzymują Czerwonoskórych od porywania się zbrojną ręką na podróżników. Na naradzie, jaką złożyliśmy wieczorem, Ward proponował, aby, zamiast do Percy, na stacyę kolei, ciągnąć do fortu Laramie, gdzie bylibyśmy bezpieczni. Powstała z tego powodu sprzeczka, bo inni poczęli naśmiewać się z War-

da, pytając go, gdzie się uczył geografii. Istotnie, rada jego nie miała najmniejszego sensu; do fortu Laramie, leżącego nad „Nort Fortk of Platte R.", już niedaleko Nebraski, było przynajmniej cztery rązy dalej, niż do stacyi Percy. Przytem droga szła środkiem rozmaitych rezerwacyi, byłoby to więc włazić nieprzyjacielowi w paszczę. Z drugiej strony jednak sądziłem, że trzydziestu ludzi doskonale uzbrojonych, mających zapasy żywności i wozy, z poza których łatwo się bronić, nie bardzo potrzebuje się lękać Utów, czy kogokolwiek.

Bądź co bądź, postanowiliśmy wracać i wracać tąż samą drogą. Odwrót ten rozpoczął się zaraz nazajutrz. Była to najtrudniejsza część podróży. Pominąwszy, że zapał myśliwski, który dodawał nam sił, gdyśmy szli naprzód, nie nie istniał już, pominąwszy zmęczenie, które ogarniało coraz bardziej wszystkich, trzeba było istotnie zachowywać teraz nadzwyczajnie ostrożność. Nocami połowa ludzi musiała zawsze czuwać nad mułami i obozem. Strażom surowo było zakazane drzemać na postoju. Nie wolno było także oddalać się, nawet w dzień, więcej niż na pół mili od karawany i to tylko w miejscach otwartych. Z tem wszystkiem, wlekliśmy się jak żółwie. Na szczęście lub na nieszczęście dla mnie, nie brałem żadnego udziału w trudach, leżałem bowiem cały czas na wozie, chwilami przytomny, a chwilami nawet w malignie.

Czwartego dnia odwrotnej podróży przewodnicy spostrzegli znaczny oddział Indyan i ostrzegli dość wcześnie karawanę, aby miała czas się uszykować. Wozy natychmiast stanęły w jednej linii, a ludzie w pogotowiu. Indyanie widocznie nie mieli zbyt przyjacielskich zamiarów, ponieważ, zbliżywszy się na trzecią część mili, podnieśli wycie i wypuścili cwałem konie. Ale widok trzydziestu strzelb wymierzonych i spokojny, pewny głos Woothrupa, rozlegający się jako komenda, wstrzymały ich w przyzwoitej odległości. Było ich około stu wojowników. Wieczorem przysłali do nas poselstwo. Chciałem wtedy koniecznie wstać, aby, zasiadłszy u ogniska rady, palić z Indyanami i przypatrywać im się, ale nie mogłem. Gdym wyszedł z wozu, nogi zachwiały się pode mną i o mało nie utraciłem przytomności. Położono mnie nazad na wóz, musiałem więc poprzestać na przypatrywaniu się nowym gościom, przez uchylone płótno wozu. Zresztą, ponieważ wozy stały blizko, widziałem ich więc dosyć dobrze. Siedzieli przy ognisku w kuczki, paląc w milczeniu i wlepiając jakgdyby zamyślone oczy w ogień. Fajka ubrana była w pióra, krążyła z rąk do rąk. Rysów ich nie mogłem jednak dobrze widzieć, ponieważ silne światło i cienie, rzucane przez ognisko, zacierały je, czyniąc jednych podobnymi zupełnie do drugich. Jeden z posłów miał włosy, spadające prosto po obu stronach

głowy, i futrzaną czapkę, dwaj drudzy oberwane kapelusze, wyrobu białych, z ponatykanemi piórami za tasiemkę, a nawet i dziury powstałe ze starości. Na sobie mieli rodzaj derek ciemnych i rozmaite skóry; na nogach spodnie z frenzlą w bocznych szwach—i nakoniec mokasiny. Twarze ich miały dość przypłaszczone nosy, wystające policzki, zwężały się zaś ostro w kierunku brody. Prócz tego, silne zmarszczki, idące od skrzydeł nosa po obu stronach ust, nadawały im wyraz starości. Jest to podobno wspólna cecha w rysach Indyan. Gdy który z nich mówił, nie patrzył na Woothrupa, do którego wszystkie mowy były zwrócone, ale wprost przed siebie, jakgdyby mówił do siebie, lub z natchnienia ducha świętego. Stary strzelec służył za tłumacza. Języka ich nie mogłem dosłyszeć, albowiem mówili za cicho, aby głos mógł dojść do wozu, powtóre psy, napróżno odpędzane i bite przez mulników, rwały się do ogniska, czyniąc straszny harmider, a w końcu wyjąc przeraźliwie. Po naradzie, zaproszono posłów do wieczerzy, przy której zjadali zupełnie nieprawdopodobne ilości bawolego mięsa, popijając o tyle wodą ognistą, o ile im jej dostarczano. Później stary strzelec powiedział im, bez długiej ceremonii, aby sobie poszli, co też i uczynili. Umowa, jak się później dowiedziałem, nie wypadła wcale po myśli naszych gości. Woothrup darował im kilka kul i powiedział, że

to jedyny podarunek, jakiego mogą się spodziewać oni i ich bracia, jeśli będą nas napastować zbrojnie. Uczyniło to podobno niemałe wrażenie na Indyan, którym, jak wszystkim dzikim, imponuje przedewszystkiem zimna krew i pewność siebie. Jednakże Woothrup oświadczył im zarazem, że i on i my wszyscy jesteśmy przyjaciółmi czerwonoskórych, że nie pragniemy im zrobić nic złego, i że gotowiśmy dać im znaczne i kosztowne podarunki, ale wtedy dopiero, gdy nam się podoba. Na drugi dzień przyszło nowe poselstwo z zapytaniem, kiedy czerwonoskórzy mogą spodziewać się darów? Nowa odpowiedź Woothrupa więcej ich zadowoliła. Żądał on, aby główny oddział odjechał natychmiast, zostawiwszy przy nas pięciu tylko wojowników, którzy po kilku dniach podróży otrzymają znakomite dary, i będą je mogli odwieźć swoim braciom. Żądanie Woothrupa, aby pięciu wojowników pojechało z nami, było bardzo zręczne; ci bowiem stanowiliby dla nas niejako paszport i straż bezpieczeństwa, która we własnym interesie starałaby się ochronić nas przed innymi oddziałami. Oznaczając termin, przez jaki mieli nam towarzyszyć, nie wyraźnie, ale na dni kilka, mogliśmy ich zatrzymać z tydzień i puścić dopiero niedaleko Percy. Ale Indyanie, także chytrzy do najwyższego stopnia, odgadli te plany i powiedzieli Woothrupowi, że je odgadują. Nie zaprzeczał. Po-

wiedział im, że istotnie takie miał cele, a teraz, albo niech się zgodzą na jego żądania, albo niech się biją. Takie oświadczenie i ujęło ich i zaimponowało zarazem. Zrozumieli, że język naczelnika białych nie jest „dwoisty“, i że można ufać jego słowom; zrozumieli także, że jesteśmy czemś odmiennem od zwykłych awanturników, z jakimi spotykali się w stepach i, koniec końcem, zgodzili się na wszystkie żądadania Woothrupa. Dzięki więc jego stanowczości, uniknęliśmy niebezpieczeństwa, na jakie mogło narazić nas starcie. Pięciu Indyan, przeznaczonych do towarzyszenia nam, nie spieszyło także z odjazdem. Mogli jeść i pić sto razy lepiej, niż zwykle w domu, a przytem spodziewali się jeszcze wyłącznych dla siebie podarunków. Traktowano ich dobrze, z wyjątkiem naszych psów, które ujadały na nich dniem i nocą. Ward tylko, jak z początku poświęcał im wszystkie godziny, które zbywały mu od pilnowania mnie, aby się niby uczyć ich języka, tak potem unikał ich, utrzymując, że nie może znieść przykrego zapachu, jaki wydają. Co do mnie, nie widziałem ich prawie wcale, cały ten czas bowiem przeleżałem, jak martwy, na wozie. Nakoniec, na dwa dni przed przybyciem do Percy, odprawiono posłów, obdarzywszy ich hojniej, niż się sami spodziewali.

Tak skończyła się nasza wyprawa, która trwała przeszło miesiąc. Za przybyciem do Per-

cy, Woothrup i niektórzy z towarzyszów naszych, związanych z nim interesami, pojechali dalej na Wschód do Omaha i Conncil Bluffs, a stamtąd przez Sioux-City do Czarnych Gór, reszta zaś, wraz ze mną, do San Francisco.

Do San Francisco przyjechałem mocno cierpiący, a dolegliwości moje nie opuściły mnie aż dotąd. Znalazłem tu Polaków, posmutniałych z powodu odjazdu pani Modrzejewskiej do New-Yorku. Wielka artystka nietylko wzbudziła ich podziw swoim talentem, ale zaletami serca i umysłu umiała zyskać sobie wszystkie serca. Towarzystwo polskie w Kalifornii wysłało też do niej komitet z adresem, zawierającym słowa podziękowania i wyrażenie uczuć niekłamanego smutku, jakim jej odjazd wszystkich przepełnił. Następnie, nie już komitet, ale wszyscy, wraz wielbicielami jej gry, przeprowadzili ją do Oakland, gdzie na drogę ofiarowano jej braterskie uściśnienie ręki i kwiaty.

Co do mnie, słabość, rozwijająca się początkowo coraz silniej, wstrzymała i opóźniła znacznie mój wyjazd do Europy. Wstrzymuje mnie ona i dotychczas ale zato pozwala mi pisać tak długie listy, jak ten obecny w którym pozwoliłem sobie nudzić czytelników.

Gazeta Polska, 1878 r. № 66 — 69.

Przeróbka Ody Horacyusza.

Jakiż to chłopiec wonnościami zlany,
Wpośród zieleni u stóp ciemnej groty,
Bawi się z tobą senny—rozkochany —
Ty mu swe złote rozpuszczasz uploty
Na skromną odzież...
Heu! nieszczęśliwy!
Ileż on razy łzami się zaleje
Na zdradę twoją, wówczas, gdy burzliwy
Auster się w ciemnych głębiach rozszaleje.

. . . . . .

Kto, dziś konając z szczęścia na twem łożu,
Zawsze cię wierną ujrzeć się spodziewa,
Nie wie co cisza na burzliwem morzu,
Kiedy śpią żagle i wiatr nie powiewa.

Jam już spokojny! Mnie ślubna tablica
I odzież zmokła w burzach życia broni,
Nie oczarują mnie twe cudne lica,
Pierś twa nie znęci i uśmiech nie zgoni! —

Nowiny, 1878 r. № 20.

Listy Litwosa z Wystawy Paryskiej.

Środa, 2 maja r. 1878.

Otwarcie Wystawy. Widok Paryża. Ruch uliczny. Trocadero. Dziedziniec. Gmachy główne. Roboty i ich pośpiech. Wystawa otwarta, ale nieskończona. Uroczystość otwarcia. Pogoda. Deputacye. Marszałek i goście zagraniczni. Mowy. Okrzyki. Illuminacya w mieście. Republikanie i monarchiści. St. Germain. Dzienniki. Radość ogólna. Komplementa. Gniewy.

Wystawa powszechna została dziś otwartą. „Wielka uroczystość pracy i pokoju", jak ją nazywają dzienniki republikańskie, rozpoczęła się o dziesiątej rano. Cały Paryż wystroił się istotnie, jak na zaślubiny. W chwili, gdy to piszę, setki tysięcy chorągwi francuskich i zagranicznych powiewa na wszystkich ulicach i bulwarach, a miasto mieni się, jak stubarwna tęcza. Miliony lamp płoną świetną illuminacyą. Ruch ogromny: powozy, omnibusy, tramwaje ciągną jedną karawaną bez końca. Konie rżą, woźnice wołają. Tłumy, przybrane świątecznie, roją się na chodnikach i placach, wykrzykując: „vive la France! vive la République! vive la

paix!" Radość ogólna, wrzawa, zamęt, tysiące narodowości, tysiące języków, tysiące kostiumów ze wszystkich części świata, — słowem istna maskarada; ponad tem wszystkiem zaś, ponad tem rojowiskiem ludzkiem i ponad miastem, czerwieni się niebo, jakby od łuny pożarnej,—gwiazdy patrzą z zarumienionego tła, a chmury wiosenne wydają się, jakby oświecone różowo żagle nad okrętem, żeglującym wśród nocy.

Tak wygląda Paryż w tej chwili. Od rana jednak wrzało i kipiało w nim wszystko. Cała ludność od dziewiątej ciągnęła przez pola Elizejskie, na Avenue du Trocadero. O dorożce lub omnibusie nie było co i myśleć; idąc zaś piechotą, zaledwie można się było przecisnąć przez wszystkie aleje, wiodące na pole Marsowe. Wystawa istotnie wspaniały przedstawia widok. Głową jej jest pałac Trocadero, zatoczony półkolem, którego strona wklęsła zwraca się ku Sekwanie. Pałac ten jest jeszcze nieskończony, składa się z wielkiego, środkowego budynku, opatrzonego w dwie wieże, i z dwóch skrzydeł bocznych, stanowiących długie kolumnady. Całość, w stylu nieokreślonym, a raczej będącym mieszaniną wszystkich stylów, jakie kiedykolwiek istniały na świecie, krytykowana jest dość ostro przez tutejszych architektów, urządzenia jednak zadowalają najwybredniejsze gusta. Od strony wklęsłej

pałacu, zwróconej ku polu Marsowemu, ciągnie się aż do Sekwany obszerny wirydarz, pochylający się zlekka ku rzece, pełen fontann, sadzawek, posągów, czarodziejskich grot, mostów i kiosków. Wiszące ogrody Babilonu zbladłyby zapewne wobec tego jednego dziedzińca. Przed miesiącem było to puste pole, zawalone kupami cegły i gruzu; dziś, pod wszechmocną ręką pracy, wyrosły na nim drzewa, zakwitły bzy, zazieleniła się trawa, szumią jeziora, wodospady i wodotryski. W urządzaniu gier wodnych nikt nie może współzawodniczyć z Francuzami, a urządzenia na Trocadero są tego najlepszym dowodem. Główna masa wody, zasilającej środkowe jezioro dziedzińca, wypływa wprost z pałacu. Na kilkadziesiąt stóp nad ziemią widzisz na froncie pałacu urządzony ogromny balkon, a raczej trybunę, pokrytą czerwonym aksamitem, z muru zaś, wprost z pod balkonu, z pod aksamitów i draperyi, rzuca się na dół srebrny wodospad, tak szeroki, jak szeroka jest sama trybuna. W chwilach pogodnych słońce oblewa olśniewającem światłem tę przezroczystą firankę, a promienie jego załamują się tęczą w kropelkach i pyle wodnym. Wodospad rzuca się na obszerne kamienne schody i, płynąc dalej, szemrząc i dźwięcząc, spadając ze stopnia na stopień, ginie w jeziorku, którego środek zajmuje wodotrysk, rzucający słupy wodne do góry. Naokoło jeziorka zie-

lenią się obszerne trawniki; dalej, po prawej ręce, widać pawilony: japońskie, perskie, marokańskie, chińskie i rozmaite inne; po lewej: algierski i specyalne, poświęcone leśnictwu, meteorologii i t. p.

Granicą między tą częścią, stanowiącą Trocadero, a głównym korpusem wystawy, jest Sekwana. Od Trocadero do głównego szklanego gmachu, zabudowanego w olbrzymi kwadrat, przechodzi się przez most Jena, umyślnie na czas wystawy rozszerzony. Za rzeką znowu ciągnie się ogromny podwórzec, pełen drzew, kwiatów, jezior i pawilonów, a dalej niezmierny gmach szklany, pokrywający niemal całe pole Marsowe, podzielony na galerye, poprzecinane ulicami i stanowiący właściwy kadłub tej całości, której Trocadero jest głową.

Jeżeli Trocadero ze swoim stylem, jak tu mówią przez kpiny: rococococo! porusza żółć architektów i lubowników prostoty i piękności, wszyscy jednak oddają jednomyślne pochwały głównemu korpusowi. I istotnie, trudno powiedzieć, z jakim wdziękiem, lekkością i śmiałością rysuje się ta niezmierna mieszanina szkła i żelaza, co do ogromu stanowiąca jakgdyby miasto całe. Na rogach jej wznoszą się wyniosłe kopuły, całość zaś, przecięta główną ulicą, dzieli się na dwie części. Wchodząc od Trocadero, część po prawej stronie, a raczej prawa poło-

wa, poświęcona jest zagranicy, lewa wyłącznie Francyi. Wewnętrzna środkowa ulica tak jest szeroka, że mieszczą się na niej ogromne pawilony, przeznaczone na sztuki piękne. Będąc raz wewnątrz, oryentować się bardzo łatwo, każdy bowiem dział zagraniczny zwrócony jest ku głównej ulicy frontem, noszącym cechy narodowego stylu. Galerya więc chińska z frontu wygląda, jak dom chiński, japońska, jak japoński, hiszpańska nosi wybitne piętno stylu maurytańskiego, szwajcarska jest szwajcarskim szaletem, angielska czerwonym zwykłym angielskim domem, rosyjska czemś podobnym do rosyjskiej karczmy, zbudowanej z okrąglaków i przyozdobionej w sposób bizantyjski; włoska część nosi cechy klasyczne, i t. d. Zewnątrz wszystko prawie jest już ukończone, ale wewnątrz pozostaje dużo do zrobienia; mnóstwo okazów stoi jeszcze w paczkach; mnóstwo szaf i wystaw pustych. Część francuska najbardziej jest zacofana, a gotowe zupełnie tylko chińska i japońska. Trudno jednak zrozumieć, jakich cudów pracy i pośpiechu dokonano w ostatnich już chwilach. Gdym trzy dni temu zwiedzał roboty, nietylko wewnętrzne urządzenia nie były jeszcze wykonane, ale nawet galerye i gmachy; wieżycom i kopułom brakowało dachówek, koło ścian stały rusztowania, z fasad zwieszały się liny i bloki, wnętrze ulic zawalone było gruzem, cegłą, pyłem

wapiennym, stosami pak drewnianych, heblowin, pakuł, desek i t. d. Ale też roboty szły z szalonym pośpiechem. Dziesięć tysięcy robotników pracowało w dzień przy świetle słonecznem, w nocy przy elektrycznem. Świst lokomotyw, zgrzyt pił, huk młotów, nie pozwalał prawie słowa przemówić. W trzy dni owe stosy i kupy znikły, galerye zostały wykończone, ulice wysypane żwirem lub wylane asfaltem; pozostaje tylko dokończyć urządzenia wewnętrzne, pozapełniać te szafy, które są jeszcze puste, okazami—i powiedzieć sobie: a c t i l a b o r e s j u c u n d i.

Dziś, jak jest, wystawa została otwartą, ale nieukończoną. Otwarcie to odbyło się jak najuroczyściej wśród furkania chorągwi, odgłosów trąb, okrzyków i huku armat. Udział w tej uroczystości mieli tylko zaproszeni, t. j. znakomici goście cudzoziemscy wraz z ich świtami, wojskowi wyższych stopni, urzędnicy wystawy, deputowani, senatorowie, ciała naukowe, wystawcy i korespondenci pism zagranicznych. Jako waszemu korespondentowi, nadesłano zaproszenie i mnie, byłem więc świadkiem całej tej uroczystości. Publice pozwolono wejść dopiero po godzinie trzeciej, ale i tak tłumy uczestniczyły przy otwarciu, zaproszeń rozesłano około trzydzieści tysięcy. Pogoda była czysto wiosenna, jak najgorsza. Od samego rana chwilami świeciło słońce, to znowu za-

cinał deszcz rzęsisty. O pierwszej deszcz przeszedł w ulewę i burzę. Potoki wody, spływające ze szklanych domów, zmieniły ulice w prawdziwe strumienie. Grzmot wstrząsał szklanemi szybami gmachu, które dźwięczały, jakgdyby z przerażenia. Tłumy ludzi kryły się po galeryach, pawilonach, kioskach. Niektórzy poczynali wątpić, czy marszałek wraz z książętami zagranicznymi nadejdzie. Ale po chwili zaświeciło znów słońce, a z niem razem powrócił i dobry humor. Tłumy wylegały na place przed głównym gmachem i przed Trocadero. Damy w przepysznych strojach, pędzone ciekawością, śmiało brnęły po przemoczonym żwirze, podnosząc w górę atlasy, aksamity, koronki, a nawet i batysty, może nawet nieco wyżej, niż tego wymagała wilgoć i woda.

O kwadrans na drugą przybył trzydziesty z rzędu pociąg kolei żelaznej; przyjechali w nim senatorowie i deputowani. Jedna część z nich udała się natychmiast do Trocadero, druga miała oczekiwać książąt i marszałka, z drugiej strony mostu Jena, na wielkim wirydarzu, na polu Marsowem, przed głównym gmachem. Obok nich ustawiły się niezliczone deputacye: sądownicze, administracyjne, naukowe, duchowne, dyrektorowie banków, poselstwa i t. d. Tłum ten, ubrany w mundury galowe, błyszczał złotem, srebrem, mienił się wszystkimi kolorami na świecie. Zacząwszy od trój-

kolorowych szarf senatorstwa, zielonych akademickich, widziałeś szarfy i kostiumy wszystkich narodów, świetne mundury wszystkich wojsk, począwszy od czerwonych angielskich, skończywszy na mundurach siamskich i chińskich. Istotnie, nie brakło niczego: wszelkiego rodzaju pióra, ordery, gwiazdy, krzyże, łańcuchy. Dygnitarze: kamerjunkrowie rosyjscy, jenerałowie angielscy, mandarynowie państwa niebieskiego i wszyscy inni, co w mniej więcej ucywilizowany lub nieucywilizowany, głupi lub mądry sposób rządzą światem, stali obok siebie w zgodzie i spokoju, uczestnicząc w „uroczystości pokoju" i z nawpół otwartemi ustami gapiąc się, jak zwyczajni śmiertelnicy na trybunę, na której miał się ukazać marszałek wraz z zagranicznymi książętami. Wszystko to było przejęte i uroczystością i swoją rolą w uroczystości. Czasem tylko przelotna chmura, zawaliwszy ciemności cielskiem słońce, snuła jakby złowrogi cień na to promienne święto pokoju — i może wówczas wydawało się tłumom, że ten cień padał od Wschodu, od tej burzy i od tych chmur, które, skłębiwszy się nad Konstantynopolem, grzmią już groźnie a głucho i grożą co chwila rozpętaniem się w straszną burzę narodów.

Korzystając z przywileju korespondenta, który wścibić musi swoje trzy grosze wszędzie i wścibia je tam nawet, gdzie nie ma prawa,

podszedłem bliżej Trocadero, aby słyszeć i widzieć jak najwięcej. Z tego wyniosłego wirydarza oczy moje obejmowały całą wystawę: główny gmach po tamtej stronie mostu tak wielki, że patrząc z jednego końca, widzi się drugi już jakby w cieniach mglistych i błękitnych, dalej szopy, ciągnące się obok gmachu, nieskończony labirynt zielonych alei, a dalej gmachy, domy, kopuły i wieże Paryża. Między głównym gmachem a mostem poruszała się fala głów ludzkich. Dwa lata przeszło, jak wiecie, spędziłem po większej części w milczących i samotnych lasach Ameryki; nie umiem więc wam wypowiedzieć, jak dziwne wrażenie czyniło teraz na mnie to rojowisko ludzkie, ten zebrany blask i przepych wykwintnej i wyrafinowanej cywilizacyi, te mundury, gwiazdy, pióra i ordery. Ale nim wrażenie zmieniło się w myśl, świadomą siebie, nim mogłem sobie powiedzieć, czy to wszystko, co widzę, jest szych i polor cywilizacyi, czy też cywilizacya sama, czy prawda, czy „humbug", jak mówią bracia moi yankesi, nim przyszło mi na myśl, że, mimo tych świetnych powozów, postęp socyalny tak daleko został za technicznym, i że tak mało, naprawdę, jest szczęścia, a tak wiele nędzy w życiu ludzkości, nim, powtarzam, zawiało z mojej głowy na te tłumy Schopenhauerem i Hartmannem—z fortu Mont-Valérien huknął strzał armatni, jeden, drugi, trzeci, inne for-

ty odpowiedziały salwami; tłumy zachwiały się, słowa „monsieur le maréchal" przeleciały z ust do ust, i „monsieur le maréchal", ubrany w świetny mundur, z trójkolorową chorągiewką i buławą złocistą w ręku, otoczony książętami zagranicznymi, ukazał się na trybunie.

Po jednej stronie marszałka stanął książę Walii, typ angielskiego gentlemana, o wypukłej piersi, szerokich ramionach, z twarzą, na której kwitnie zdrowie i wesołość. Postać to bardzo popularna w Paryżu, gatunek królewskiego lamparta, nie robiącego sobie nic z niczego, niecierpiącego etykiety, kochającego polowanie na tygrysy, Anglię i własną żonę, dzieci i baletniczki, a przytem umiejącego to wszystko godzić ze sobą.

Po drugiej stronie zasiadła figurka mała, nikczemna, z twarzyczką pomarszczoną jak cytryna, z przymrużonemi oczkami i złotą laseczką w ręku. Na jej widok, stojący obok mnie reporter „Figara" począł śpiewać pod nosem: „Jam jest małżonek Heleny, żonek Heleny, żonek Heleny, jam Spartanów, tanów król". Był to też istotnie offenbachowski Menelaus: Franciszek z Assyżu, mąż eks-królowej Izabelli hiszpańskiej, a ojciec, przynajmniej jak sam zapewnia, panującego dziś króla Alfonsa, typ starego arystokracika safanduły, któremu, kto żył, przyprawiał wiecznie rogi, a który synowi swemu nie może powiedzieć nawet tak, jak w

Szekspirze przez usta Falstafa przemawia Henryk IV Bolinbroke do swego następcy: „że jesteś moim synem, przekonywają zapewnienia twej matki, a mianowicie uspokaja mnie pod tym względem szelmoski wyraz twych oczu i głupowata obwisłość twojej dolnej wargi". Z tem wszystkiem, Franciszek z Assyżu to wcielenie etykiety i pozorów. Pełnomocnik jego długo kłócił się o to, że nie księciu Walii, ale jego panu należy się miejsce po prawej stronie marszałka, co marszałka wprowadziłoby w niemały kłopot, gdyby Anglik, książę Walii. nie był dobrowolnie ustąpił, oświadczywszy, że wszystko jest „right!" i że jemu wszystko jedno, gdzie go postawią.

Z innych ukoronowanych gości, na których tłumy francuskie wytrzeszczały swe republikańskie oczy, byli obecni: książę Aosty, książę Henryk holenderski, następca duński, i książę leuchtenberski. Gdy to wszystko raczyło umieścić swe osoby we wskazanych miejscach, z Mont Valérien znowu zahuczały działa, po nich zaś nastąpiła cisza, którą przerywał tylko szelest wody, spadającej z pod trybuny. Wówczas minister handlu przemówił do marszałka. Stojąc niedaleko, widziałem dokładnie twarz tego republikanina o rysach ostrych i inteligentnych, mowę jednak doslyszałem zaledwie częściowo, bo szmer wodospadu gluszył słowa. Minister oświadczył, że uroczystość wy-

stawy nietylko jest świętem pokoju, ale zarazem świadectwem odrodzenia się Francyi pod rządem republiki i świadectwem pracy, której świetny rozwój przedewszystkiem istniejąca republikańska i demokratyczna forma rządu zapewnia. Gdy minister skończył, marszałek wysunął się z kolei naprzód z trybuny. Tysiące oczu i lornetek skierowało się na tego starego człowieka, z głową białą jak u gołębia i z mózgiem także niewiele większym jak u gołębia. Cisza zrobiła się jeszcze większa i stara pozytywka, nastrojona na nutę republikańską, zaczęła grać, co następuje: „Łączę się z całego serca (mówił marszałek) do uczuć, któreś pan wypowiedział, i mam nadzieję, również jak pan, panie ministrze, że wystawę naszą uwieńczy świetne a całkiem zasłużone powodzenie. Podziwiając wspaniały owoc pańskich usiłowań, składam publiczne dzięki i panu i pańskim pomocnikom, oddając wam zasłużone świadectwo w całej rozciągłości.

Powinniśmy również podziękować wszystkim tym narodom, które tak chętnie i wspaniale odpowiedziały na wezwanie Francyi.

W imieniu Rzeczypospolitej oświadczam, że wystawa jest otwartą".

Po ostatnich słowach tłumy gości zaproszonych odpowiedziały jednym okrzykiem: „vive la France! vive la République!"; ozwały się znowu działa i orkiestry wojskowe; marszałek

zaś wraz z gośćmi, wyszedłszy z Trocadero, udał się przez most Jena na pole Marsowe, do głównego, szklanego gmachu wystawy. Po drodze witały go jeszcze rozmaite deputacye; w środku zaś gmachu, na ulicach, przed frontami narodowych pawilonów, oczekiwały nań komisye zagraniczne. Jednocześnie otworzono wszystkie bramy i publiczność, której wstęp dotychczas, z wyjątkiem zaproszonych, nie był dozwolony, zaczęła jak fala morska zalewać całą wystawę. W mgnieniu oka sto tysięcy ludzi zapełniło galerye szklanego gmachu i wewnętrzne ulice. Na twarzach wszystkich malowała się istotna radość, a okrzyki: „vive la France! vive la République!" powtarzały się co chwila. Wykrzykiwano także wiwaty na cześć gości zagranicznych, mianowicie księcia Walii, a nawet i na cześć Mac-Mahoma. Stary ten człowiek, od czasu upadku ministeryum Broglie, stał się dość popularny we Francyi. Nawet najskrajniejsze dzienniki odzywały się o nim umyślnie z szacunkiem. Francuzi mówią: „wiemy, że jest safandułą, ale safandułą nieszkodliwym, szanujemy zaś w nim prezydenta Rzeczypospolitej". I istotnie wbili już tak dobrze w głowę staremu, że jest republikaninem, że w końcu sam w to uwierzył, jak ów molierowski literat, który nie wiedział, że robi „prozę", i uradował się, gdy mu powiedziano, że nią pisze. Mac-Mahon uwierzył nawet obe-

cnie w to, że to on właściwie uratował Rzeczpospolitę, że poznał się na intrygach Broglie'go, i istotnie też znienawidził go do tego stopnia, że obecnie nie chce go widzieć na oczy. Zresztą wmawiają mu to codzień. Gdyby nie ta taktyka, gdyby nie to wmawianie w tę dość słabą z natury głowę lojalności, prawości i t. p., kto wie, coby się było stało, osobiste bowiem instynkta i upodobania ciągnęły tego starego żołnierza raczej w antyrepublikańską stronę. Ale obecnie wziął swoją rolę na seryo; Francuzi zaś, śmiejąc się na boku w kułak, starają się go w niej utwierdzić. Swoją drogą Paryż pełen jest anegdotek o żołnierskiej naiwności prezydenta. Pewnego razu np., gdy Dumas syn został akademikiem, minister oświecenia przychodzi do marszałka i mówi mu, że musi przyjąć Dumasa. „Niema potrzeby" — odpowiada prezydent. „Owszem, to zwyczaj"—mówi minister. — „Jeśli to zwyczaj, to go przyjmę, służba jest służbą". — „Ale trzeba mu powiedzieć kilka komplementów (ciągnie minister), to jest komedyopisarz". — „Powiem mu kilka komplementów" — odpowiada, jak pozytywka, marszałek. Minister tedy objaśnia dalej, kto jest Dumas, że napisał „Damę Kameliową" i „Demimonde", że ojciec jego był także pisarz bardzo sławny, jako autor „Trzech muszkieterów" i t. d. Poczem wprowadzają Dumasa, marszałek podaje mu rękę i mówi: „Uszczęśliwiony, że wi-

dzę pana! Znałem jakiegoś Dumasa porucznika w moim pułku, gdym był w Afryce, czy to nie krewny pana?"—„Nie".—„Nie? tem gorzej dla niego. Pan jesteś pisarz, wiem to doskonale. Lubię, gdy syn robi to samo, co ojciec: ja żołnierz, mój syn żołnierz; stary Dumas pisarz, młody Dumas pisarz, wybornie! Pan napisałeś „Un demi tour du monde" (Dumas przygryza wargi). Widziałem to; muzyka prześliczna, kostiumy zachwycające. Ojciec pański napisał „Trzech muszkieterów"; mógł napisać więcej, ale to dosyć. Uszczęśliwiony, że pana widzę! Panie ministrze, musimy jeszcze raz widzieć „Un demi tour du monde!"

Si non è vero, è ben trovato! Dość jednak spojrzeć na tę twarz typowo żołnierską, żeby zrozumieć, że człowiek ten, doskonały jenerał dywizyi, zbiegiem okoliczności wyniesiony został na stanowisko, o wiele przewyższające jego siły. To też ministrowie robią za niego wszystko, a z nim co chcą. Wśród labiryntu stosunków politycznych wewnętrznych kieruje go tylko pewien instynkt uczciwości, który nakazuje mu szanować wolę kraju i słuchać jej. Na mocy tego niepodobna go było skłonić do zamachu stanu. Pod wpływem Broglie'go robił wszystko dla monarchistów; ale, gdy mu kazano podnieść rękę na kraj, przeraził się własnych postępków i wszedł na inną drogę ró-

wnie szczerze, jak dawniej postępował poprzednią.

Ale mniejsza o to. Wracam do opisu otwarcia. Uroczystość urzędowa skończyła się o czwartej, publiczność jednak do szóstej napełniała gmachy i ulice. Od szóstej do ósmej mają jeszcze prawo pozostawać urzędnicy, wystawcy i korespondenci gazet. Szczegółowy opis gmachów, pawilonów, okazów, mianowicie też okazów, nadesłanych z kraju naszego, prześlę wam w następnych listach. Czasu mamy dosyć, zresztą opisywać wystawę, otwartą już wprawdzie, ale jeszcze nieukończoną, byłoby przedwcześnie; w tym liście, na zakończenie, wolę wam dać opis uroczystości wieczornej.

O godzinie siódmej cały Paryż, z wyjątkiem kilku ulic, zapłonął jednem morzem świateł. Na gmachach publicznych gorzała illuminacya gazowa; w oknach domów prywatnych błyszczały świece i latarnie chińskie. Nietylko główne bulwary, ale i wszystkie place przepełnione były tak ludźmi, że trudno się było przecisnąć. Tłumy wykrzykiwały wiwaty na cześć Francyi i rzeczypospolitej. Na przedmieściach i nawet w środku miasta śpiewano Marsyliankę, czemu policya nie przeszkadzała. Widno było na ulicach, jak w dzień. Prawdopodobnie nigdy jeszcze Paryż nie widział tylu cudzoziemców; po bulwarach roili się Anglicy, Hiszpanie, Yankesi, Turcy, Grecy, południo-

wi Amerykanie, Japończycy, ubrani po europejsku, i Chińczycy, jeszcze w swoich kostiumach i z warkoczami. Widziałem Indyan z Indyi Wschodnich, Murzynów, a nawet i Malajów. Nad Sekwaną palono ognie bengalskie, puszczano race, fajerwerki. Wśród tych świateł białych, czerwonych, niebieskich i żółtych powiewały chorągwie wszystkich narodów; wysoko, pod niebem rozsypywały się i gasły złote i ogniste warkocze rac. Święto było istotnie wielkie, uroczyste i narodowe. Dla Francyi otwarcie wystawy, ten udział tak chętny, jaki wzięły w niem wszystkie narody, z wyjątkiem Prus, ten świetny zjazd i świetne zapewnione już powodzenie przedsięwzięcia jest aktem nietylko przemysłowo-handlowego, ale i politycznego znaczenia. Monarchiści, wojując z Rzeczpospolitą, przeprowiadali zawsze głosem Kassandry, że Rzeczpospolita przyprowadzi kraj do ruiny i upadku, że upadnie handel, przemysł, rolnictwo, kraj zniszczeje i zbankrutuje. Tymczasem wystawa nie słowami ale faktami odpowiada na to: kłamstwo! Oto Rzeczpospolita zapłaciła miliardy Niemcom, wytrzymała drugą, równie straszną wojnę domową; upadłą, pobitą, okrwawioną Francyę podniosła i postawiła na nogi, a teraz w wystawie składa dowody swej pr cy, swego handlu, swego przemysłu i doskonałych, polepszonych jeszcze i utwierdzonych stosunków z innymi narodami.

Wystawa dowodzi, że Rzeczpospolita to pokój, inna zaś forma rządu we Francyi prowadzi jedynie do wojen i zniszczenia. Krótko mówiąc, wystawa jest ostatniem, potężnem uderzeniem kopią, które przeciwnika wysadziło raz na zawsze z siodła. Partye, uważane dotąd za konserwatywne, czują to doskonale. Monarchiści przeszkadzali wystawie, ile mogli; dzienniki zaś ich, nie mogąc obecnie zaprzeczyć faktom, szukają przyczepek, choćby najnędzniejszych. Oto np. ludzie tłoczyli się przed Trocadero, jak zwykle ludzie tłoczą się, gdzie jest coś ciekawego; z tego więc wychodząc, jakiś pan Cassagnac, lub inny jemu podobny wisielec, bluzga błotem na naród francuski, wykrzykując na nieporządki, które toleruje Rzeczpospolita. Ale to już jest złość bezsilna. Dziś, w obecnym stanie rzeczy, partye monarchiczne rozklejają się. Wszyscy ci, którzy należeli do nich istotnie z miłości do kraju, wszyscy uczciwi, którzy sądzili że Rzeczpospolita będzie istotnie równoznaczną z anarchią, przekonawszy się, że tak nie jest, przechodzą do obozu republikańskiego. O co chodziło uczciwym monarchistom? O kraj? Widzą teraz, że Rzeczpospolita zapewnia mu pomyślność, więc czegoż więcej potrzeba. Ta garstka ludzi, która dziś jeszcze trzyma się partyi Rzeczypospolitej przeciwnych, składa się albo z fiksatów politycznych, którym ta a ta osoba zasłania wszyst-

kie obowiązki na świecie i cały kraj, albo z arystokracyi, która niezachwianie wierzy, że Pan Bóg stworzył Francyę wyłącznie dla przedmieścia St. Germain; albo, nakoniec, z wichrzycieli, radych łowić ryby w mętnej wodzie. Z pierwszemi dwoma kategoryami Rzeczpospolita nie potrzebuje się liczyć. W każdym narodzie znajdują się ludzie, mający politycznego bzika. Dla trzeciej kategoryi, dla wichrzycieli, dla rzezimieszków politycznych istnieje kodeks karny i kratka sądowa.

W chwili wielkiej uroczystości narodowej niższe masy narodu francuskiego dały przykład umiarkowania, jakiego nie spodziewałem się nawet po nich, a jakie godnemby było nawet Amerykanów. Pamiętam, jak w Ameryce głupiec jakiś wykrzyknął raz na wyborach: „Hura, for Hell!" (Niech żyje piekło!). Inni z niezachwianą amerykańską tolerancyą odpowiedzieli mu: „All right! evrybody for his country!" (Bardzo dobrze! każdy dla swojej ojczyzny!) i zabili go śmiesznością. Coś podobnego miało i tu miejsce. Bulwar St. Germain, Rue St. Honoré nie oświeciły swoich okien. Dzienniki monarchiczne umyślnie podsuwały na myśl ludowi, niby to wyrażając obawę, wybijanie szyb w ciemnych oknach. Jednakże ani jedna szyba nie została wybita. Nie dopuszczono się żadnego gwałtu. Tłumy śmiały się, patrząc w ciemne okna pałaców i na tem się skoń-

czyło. Dowód to pewnej dojrzałości i taktu, tembardziej zasługującego na uznanie, że umiano go zachować w chwilach uniesienia.

Co do mnie, o Rzeczypospolitej francuskiej, a zwłaszcza o demokracyi francuskiej, dużo miałbym powiedzieć. Daleko jeszcze jednej i drugiej do amerykańskiej. Tu jeszcze o tych rzeczach deklamują, tam niemi żyją. Tu demokracya więcej jeszcze siedzi w głowach, tam w obyczajach. Tam obywatele i rząd to prawie wszystko jedno; tu jest centralizacya, tam decentralizacya w najrozciąglejszem znaczeniu, tu istnieje biurokracya, urzędnicy starsi i młodsi, tam niema biurokracyi, niema urzędników starszych i młodszych, niema hierarchii. Powiem nawet więcej: być może, że urządzenia decentralizacyjne amerykańskie, wprowadzone nagle do Francyi, wywołałyby pewien zamęt.

Gazeta Polska, № 103, 104, 105 z dnia 6, 7 i 8 maja 1878 r.

Listy Litwosa z Wystawy Paryskiej.

Paryż, 12 maja r. 1878.

Pogłoski o wystawie w Berlinie. Niemcy w Filadelfii. Wszyscy oprócz Niemców. Istotne powody. Moralna klęska. Francuzi wobec przyszłej wystawy. Francuzi i Anglicy. Romans przez kanał. Grzeczność francuska. Nowy Babilon. Bulwary wieczorem. Noce paryskie. Pozostałości. Gdzie szukać demokracyi i rzeczypospolitej. Nowe posiewy. Ceny idą w górę. Mieszkania i restauracye. Fiakry. Teatry. Hermani i Sarah Bernhardt. Fotografie. Wystawa. Daleko do końca. Oddziały: chiński i japoński. Oddziały kolonii angielskich. Skarby księcia Walii. Liryzm dzienników. Malowniczość pawilonów. Odlew gipsowy doktora Levitoux. Zadość przyzwoitości. Kołdra. Goście z Królestwa. Dzienniki o wystawie.

Mówią, że przyszła, najbliższa wystawa będzie w Berlinie. Francuzi już naprzód dworują sobie z niej, wspominając o żabie, która na widok, że konia kują, wyciągnęła także nogę, i pytają, jak i co Niemcy mogą wystawić? Była przecież wystawa w Filadelfii; cóż więc na nią posłali? Oto geniusz narodu Niemieckiego streścił się w Kruppie i pośród dzieł

pokoju, przemysłu, nauki i sztuki figurował w postaci dział Kruppa, granatów, lawet, iglicówek. Inne narody chwaliły się pomysłami, mającymi na celu polepszenie życia — Niemcy pomysłami, mającymi na celu śmierć i zabijanie ludzi hurtownie. Tak było istotnie — Krupp przedstawiał niemiecki przemysł — obrazy bitew, rzezi, portrety Moltków i Bismarków niemiecką sztukę. Yankesi powiedzieli im za to: „goddam!" Dość było czytać ówczesne amerykańskie dzienniki. „Nie boimy się was i głośno pogardzamy wami" — oto co im pisano. Na teraźniejszej wystawie paryskiej Niemcy „błyszczą swoją nieobecnością". Dziwne to robi wrażenie. W wielkiem święcie narodów jeden tylko nie bierze udziału; na polu Marsowem powiewają chorągwie wszelkie, prócz niemieckiej; wszyscy się cieszą, weselą, mówią o cywilizacyi, postępie, braterstwie, o błogosławionej epoce pokoju, która ma kiedyś nadejść, jedni tylko Niemcy wyłączeni, z poczuciem odosobnienia w duszy, ze szczytów swoich skał nadreńskich spoglądają chmurno i posępnie na całą uroczystość, i wstyd im i gniew ich bierze zarazem. Kolby u ich nóg, bagnety nad ich głowami—tak przedstawiają się ludom, które ze zdziwieniem pytają, czy te groźne, zbrojne masy są narodem, czy obozem?

Francuzi tryumfują. Tryumfują pocichu, bo się Niemców boją, ale w duszach jakże konten-

ci! Wystawa, pomimo Niemców, świetna i udana, dowiodła, że tam, gdzie chodzi nie o wojnę, ale o sprawy cywilizacyi pokojowej, tam o Niemcach nie warto wspominać. Dzienniki też tutejsze nie wspominają nawet o nich, nie wyrzucają im nic, nie skarżą się na nich o to, że nie chcieli wziąć udziału, poprostu zapoznają ich, a gdy mówisz prywatnie z Francuzem, rusza ramionami i odpowiada: „Ach, ci biedni Niemcy! niema ich? to bardzo naturalnie, cóż oni mogą przysłać?"

Jakoż leży w tem prawda. Spartanie w dawnych czasach, wytworzywszy żołdacki obóz w Grecyi, w niczem nie przyczynili się do jej cywilizacyi. „Kto sieje wiatr, zbiera burzę", mówi przysłowie.

Naród, który zmienia się w żołnierzy, tem samem bezświadomie może, ale na mocy konieczności dziejowej, zasadą i główną potrzebą bytu swego robi wojnę, zatem rozbój, łupież i pożogę. Gdzież miejsce wobec tego na słodkie owoce cywilizacyi? Minister, który popchnąwszy wszystkie siły, wszystkie fale życia narodowego w stronę uzbrojeń i wojny, mówi o pokoju, albo kłamie, albo łudzi się. Gdy jeden naród uzbroi się od stóp do głów, muszą uzbroić się inne, a wtedy nic łatwiejszego, jak o bijatykę między obozami. Na bramie, prowadzącej w kraj żołnierzy, słusznym jest napis: „Tu robią wojnę". Muzy na widok takich bram i napi-

sów zakrywają głowy i cofają się przerażone. Mars zbyt wielkim jest gburem dla tych białych panien. Stara to prawda, ale sprawdzona i sprawdzająca się zawsze. Niemcy na święto pokoju do Filadelfii posłali Kruppa, a gdy im powiedziano, że na takie rzeczy niema miejsca, na święto pokoju do Paryża nie posłali nic, bo nie mieli co posłać.

Ta jest istotna przyczyna nieobecności Niemców na wystawie. Naród ten wszystkie swoje świetne zdolności, cały geniusz, wszystkie siły skierował w stronę wojny; najlepsze jego głowy zgłębiają strategię i taktykę, więc zaniedbał się w innych kierunkach, pozostał w tyle, zubożał; upadły wynalazki, przemysł, handel, a na przyszłość pozostała groźba, że gdy chleba zbraknie, głodni żołnierze zaczną rozbijać na gościńcu narodów. Względy polityczne, niemiecki szowinizm i niemiecki patryotyzm, dla których niby nie wzięto udziału w wystawie, były tylko pozorem. Rzeczywisty powód leży w tem, że dzisiejsza produkcya niemiecka, porównana z produkcyą innych narodów, wstydby Niemcom przyniosła. Sądzono przytem, że gdy się Niemcy usuną, usuną się i inni, i wystawa nie przyjdzie do skutku. Zarozumiałość została jednak ukarana. Wzięli udział wszyscy, i wystawa stała się moralną przegraną dla Niemiec wobec sądu cywilizacyi.

Rozumieją to Niemcy sami, dlatego też ich

prasa, nadrabiając miną, poczęła mówić o przyszłej wystawie w Berlinie. Życzymy powodzenia — odpowiadają z przekąsem Francuzi — bądźcie pewni, że nie usuniemy się od niej, ale wprost przeciwnie, weźmiemy w niej taki udział, że was, Niemców, w samych Niemczech i w samym Berlinie pobijemy. Obliczcie się więc z siłami, obliczcie się dobrze, żeby was nowy wstyd nie spotkał.

Tymczasem różnica między przyszłą niemiecką a obecną paryską leży w tem, że niemiecka dopiero będzie, paryska jest, — niemiecka może się udać, paryska się udała. Zjazd na nią z każdym dniem się powiększa. Napływ Anglików szczególniej przybiera kolosalne rozmiary. Przyczyną tego jest nietylko blizkie sąsiedztwo, taniość przejazdu, ale i stosunki dwóch narodów, tak przyjazne, jak od najdawniejszych czasów nie były. Pełno tego dowodów na wszystkie strony Książę Walii na bankiecie oświadcza publicznie swoją miłość dla Francyi, za co łają go już w gazetach Niemcy, i komplementuje Rzeczpospolitę; Rzeczpospolita w dziennikach wywdzięcza się również Anglii w ogólności, a dynastyi w szczególe. Oba kraje wyciągają do siebie ręce i spierają się prawie o to, kto kogo lepiej kocha; „Times" zachwyca się wystawą i bogactwem Francyi; „République Française", organ pana Gambetty, oświadcza, że można skołowacieć z

zachwytu na widok wystawy angielskiej; słowem: między narodami, rządami i dziennikami odbywa się prawdziwy romans przez kanał.

Wobec tego Anglicy są prawdziwie „personae gratae" w Paryżu. Pełno też ich wszędzie po muzeach, kościołach, teatrach, hotelach, restauracyach i kawiarniach. Każą im wprawdzie płacić słono za wszystko, i flegmatyczni synowie Albionu płacą. Jakże tu nie płacić, skoro ich tak kochają! Gorzej na tem wychodzą cudzoziemcy, których kieszenie stoją raczej w odwrotnym stosunku do francuskiej pożądliwości. A pożądliwość ta na najmniejsze nawet zyski, na centymy i susy dochodzi do wysokiego stopnia.

Francuska grzeczność nie jest bynajmniej bezinteresowną. Wszystko to jest obrachowane na zysk. Gdy wchodzisz do sklepu kupić coś za dwa franki, pachnący i ufryzowany kupczyk poczyna skakać przed tobą, jak pudel, wdzięczy się, łasi, kręciłby ogonem, jak pudel, gdyby ogon posiadał; nie pozwala ci powiedzieć, czego chcesz, sam zgaduje naprzód; pokazuje rzeczy, o które nie pytałeś, przewraca do góry nogami połowę sklepu, ujmuje cię swoją grzecznością, zawstydza, zobowiązuje, przewraca ci w głowie, i dopiero, wyszedłszy ze sklepu, zmiarkujesz, żeś przyszedł po rękawiczki za dwa franki, a kupiłeś laskę, kapelusz i tam jeszcze co, za dwadzieścia. Wszędzie spot-

kasz to samo. Golibroda, który gościa za nos trzyma, przy goleniu zachwyca się pięknością puklów, w jakie układają się gościa włosy, i błaga go w imię wszystkich piękności, aby o tych puklach miał staranie, i póty blaga, póty zaklina, tak się troszczy natrętnie o te włosy, aż wreszcie wklepie ogłupiałemu butelkę jakiegoś olejku za pięć franków, który niby ma tę cudowną czuprynę zachować, na większą chwałę ludzkości, na długie lata. Człowiekowi, który przywykł do prawdziwej równości i demokracyi, wstyd czasem za tych demokratów, służących na dwóch łapkach i wyczekujących „pourboire". Czasem, przywykłemu zwłaszcza do amerykańskiej prostoty podróżnikowi, ta drobiazgowość, ten brak godności w stosunku z cudzoziemcami, ta grzeczność, blizka natręctwa, wszystko to wydaje się obyczajem zniewieściałym, przeżytym, przerafinowanym, wdzięczeniem się i kokieteryą, skierowaną ku kieszeni, a budzącą pogardliwe uczucia. Zadużo tu często form, wskutek tego, kto wyprowadza wnioski zbyt pośpiesznie, ten gotówby przypuścić, że pod tą plewą niema ziarna, ale ziarno jest, bo jest już dążność do zrównoważenia treści z formą, jest praca prawdziwa, jest trzeźwość, i chęć dojścia do świadomości własnych wad i cnót, do reform, gdzie potrzeba. To, co zostało jeszcze, i co razi oczy, jest zabytkiem dawnych, innych czasów, w których zamiast zdro-

wego powiewu, jaki wieje dziś i jaki odwieje plewę z ziarna, wiał inny, rzucający umyślnie plewę w oczy.

Zresztą mowa tu tylko o Paryżu. To, co w nim pracuje poważnie, działa i patrzy w przyszłość, to się rzuca przedewszystkiem w oczy. Cudzoziemcowi, przybywającemu z dalekich stron, rzucają się w oczy najpierwej i najłatwiej babilońskie strony miasta. Dziesięć loretek i dziesięciu kankanistów narobią więcej hałasu, niż sto uczciwych kobiet i stu uczonych, to nikogo dziwić nie powinno. Paryż jest jak morze, w głębinach spokojne, poważne. na wierzchu poruszane lada wiatrem i lada wiatrem spieniane. Kto więc jeździ po wierzchu, widzi pianę, i nic więcej, tylko pianę.

Rzym za cezarów był bardzo zepsuty; dla Paryża te czasy niedawno się skończyły i może jeszcze wiele z nich pozostało, dlatego często wygląda, jak urożowana bachantka. Zresztą pomyślmy, że przyjeżdża tu sto tysięcy cudzoziemców, aby się wykąpać w hulatyce po uszy. Bawią się więc, krzyczą, wrzeszczą i weselą.

Może kiedyś jaki poeta opisze stylem Boccacia „Noce paryskie", bo też bez przesady, mówię wam, że dziwne to noce. Otwarte sklepy i kawiarnie leją potoki światła na chodniki; w oknach sklepów atłasy, aksamity, bisiory,

brylanty; teatry grają, śpiewają; ogrody brzmią muzyką; na bulwarach tłumy świetne, modne i pyszne; damy kameliowe, prawdziwe komety błędne o jasnych warkoczach, z oczami jak gwiazdy. A potem wszystko, jeśli chcecie: słychać szelest jedwabiów, powietrze pełne zapachów, upajające, twarze śliczne i młode, omdlałe spojrzenia, rozchylone usta, szepty, gorące oddechy, bicia podnieconych pulsów, upojenie, szał. Dla uzupełnienia obrazu potrzebaby tylko, aby jeszcze wśród tych tłumów, świateł, ulic i kolumn pojawił się półpijany Nero na wozie, ciągniętym przez tygrysy, i aby te tłumy powitały go okrzykiem: „ave, caesar dive!

Wobec tego wszystkiego, wobec owych „Nocy paryskich", jakiś zabłąkany myśliciel, sługa idei, miałby prawo pochylić surową, bladą twarz na piersi i pytać się siebie: jestże to rzeczpospolita? jestże to demokracya? Ale to ani rzeczpospolita, ani demokracya. To niedokończona uczta z czasów ostatniego Nerona. Po długiej cezaryańskiej nocy koguty pieją już na brzask dzienny. Pójdźcie na krańce Paryża, tam miasto ciche i ciemne śpi spokojnie, tam śpi przyszła rzeczpospolita, aby nazajutrz ze świeżemi siłami rozpocząć pracę odrodzenia; pójdźcie na pole Marsa, a zamiast odgłosów orgii, usłyszycie dniem i nocą dźwięcze-

nie młotów, turkot wozów, świst lokomotyw: tam pracuje demokracya francuska. Równie mylnemby było sądzić Paryż z bulwarów, jak całą Francyę z Paryża.

Krótko mówiąc, jeśli jest jaka nadzieja dla Francyi i na przyszłość—jak się teraz zdaje, że jest—to leży ona naprawdę w demokracyi, w tych klasach, które do życia politycznego nie były jeszcze powołane. Inne klasy są stare, zepsute, przeżyte i sceptyczne. Nie służą ideom, ale osobom. Swoją drogą, złowróżbny to znak ten brak równowagi między klasami narodu i wobec niego zupełne odrodzenie dalekie jest, a legiony pruskie bliższe. Ale, jak wspomniałem, po cezaryańskiej nocy koguty już pieją, a co będzie, to się pokaże, gdy w słońcu i w świetle wszystkie mętne jeszcze kształty wychylą się i zarysują wyraźniej.

Darujcie mi te ustępy; nie chcę pisać rozprawy politycznej, ale jako eks-felietoniście wolno mi skakać z przedmiotu na przedmiot. Nie chcę rozprawiać o polityce choćby dlatego, że cóżby robił wasz stały korespondent polityczny z Paryża? Jego przecież prawie codzień jakiś król lub pierwszy minister bierze pod rękę i mówi: „Przyjacielu! co mi radzisz w tej a w tej kwestyi?" Wobec takich stosunków łatwiej mu o informacye. Przytem jeszcze co: opisując złe strony i zepsucie paryskie, radbym namówić czytelników, aby siedzieli w do-

mu i na wystawę nie przyjeżdżali; tymczasem przychodzi mi myśl, że gdy będę zbyt malowniczym, właśnie zachęcę ich do przyjazdu. Wolę więc powiedzieć, że Paryż, pomimo wszystkich ponęt, jest czczy i nudny, że kurs monety naszej coraz gorszy, a ceny tu ciągle się podnoszą. Podnoszą się jak morze: powoli, stopniowo, ale nieubłaganie. Pokoik mój na Rue de Montyon, podobny do pudełka od cygar, za który płaciłem 35 franków, idzie na przyszły miesiąc 60. Najął go już jakiś Arab czy Marokańczyk w czerwonym fezie, w binoklach i glansowanych rękawiczkach, jakiś złoty młodzieniec, rodzaj franta z pod Sahary, którego próżno zaklinałem na brodę proroka, aby sobie pojechał do Afryki z powrotem i nie podkupywał mnie swoimi cekinami. W restauracyach podrożało także wszystko; na drzwiach każdej ujrzysz napis, że gospodarz „ku wielkiemu swemu umartwieniu" musi podnieść cenę o pół franka. Jest nadzieja, że za tydzień, ku większemu jeszcze umartwieniu, podniesie o franka; w miarę zaś, jak goście będą przyjeżdżali, będzie martwił się coraz bardziej i podnosił ceny coraz wyżej. Cudzoziemcy zresztą sami licytują się wzajemnie i podbijają ceny do tego stopnia, że naprzykład dorożki za zwykłą cenę dostać już niepodobna. Gdy zawołasz na fiakra, woźnica mierzy badawczo twój kapelusz, twój surdut, buty i jeśli nie wydajesz mu się

lordem, lub „un prince russe", uśmiecha się pogardliwie i odpowiada, że zajęty. Omnibusem za trzy susy dostać się można wprawdzie aż do Trocadero, ale na każdy omnibus czeka czasem po sto lub więcej osób, niema więc innej rady, jak brać na stacyi numer i czekać, aż przyjdzie kolej za godzinę lub półtorej.

Rozmaite przytem formalności, jakich nie powstydziliby się Chińczycy, i mieszanie się we wszystko policyi, przywyklej jeszcze z czasów cesarstwa traktować publiczność jak małoletnią, nie przyczyniają się bynajmniej do uprzyjemnienia pobytu. Napływ ludzi i tłok dokucza i przeszkadza w muzeach, galeryach i wszystkich miejscach szlachetnych lub mniej szlachetnych zabaw. Ogród Bulier i Mabil, gdzie pieniężni barbarzyńcy uczą się wierzgać nogami w prawdziwie ucywilizowany sposób, robią świetne interesa. Dostać bilet do teatru jest zadaniem, nad którem czasem pół dnia trzeba pracować, robiąc „queue" przed kasą, pocąc się, jeśli słońce świeci, mokną, jeśli deszcz pada i przestępując z nogi na nogę. Byłem jednak na „Fourchambault", komedyi Augiera, która tyle ściągnęła pochwał, a która mi się nie podobała, i na „Hernanim". W „Hernanim" widziałem Sarę Bernhardt, tę pierwszą dziś artystkę. Jest to nie tylko dramatyczna gwiazda, którą chlubi się Francya cała, ale zarazem najekscentryczniejsza z kobiet. Maluje,

rzeźbi, gra, pisuje poezye, sypia w pokoju, obitym czarnym kirem, za łoże jej służy trumna, czeka śmierci, umiera i, czekając na śmierć, kocha się. Dziwaczka, trochę chora, zmęczona i zwichnięta, ale niepospolita dusza. Jako Donna Sol, utkwiła mi na długo w pamięci. Postać to wysmukła, powiewna, o drobnej twarzy, rozmarzonych oczach i złotych włosach. Jej Donna Sol jest to czysta dziewica, ofiarna, przebaczająca, poprostu gołąbka, która zakochała się w orle. Z tem wszystkiem talent Sary Bernhardt nie dochodzi tych wyżyn, na jakich stoją takie postacie, jak: Rachel, Ristori i Modrzejewska. Głos jej w chwilach boleści, uniesienia, przestrachu zmienia się w krzyk i traci czyste tony, wybuchy jej są wybuchami nerwów, nie porywem natchnienia. Jest tylko gołębiem, nie gołębiem i archaniolem zarazem, jest wreszcie zawsze trochę Sarą Bernhardt, nie zupełną wskrzeszoną postacią, którą przedstawia.

Z tem wszystkiem w Olimpie paryskim jest to zawsze jedno z bóstw. Portrety jej wiszą we wszystkich oknach, w galeryach i na wystawie; stary wieszcz, Wiktor Hugo, schyla przed nią białą głowę i całuje ze czcią jej ręce, gazety podnoszą jej sławę, jako sławę narodową; cudzoziemcy zaś chodzą do teatru, płacą, otwierają z podziwu usta i kupują tysiącami fotografię gwiazdy na pamiątkę pobytu w Pa-

ryżu. „Hernani", grany już od czasu wznowienia przynajmniej po raz setny, nie przestaje ściągać tłumów, pragnących podziwiać artystkę i sztukę, która w swoim czasie uczyniła przewrót w literaturze francuskiej.

Jak widzicie, o wystawie nie piszę wam wiele, ale nie może być inaczej. Wierzajcie mi, że gazety francuskie, angielskie i amerykańskie, które mam pod ręką, piszą jeszcze mniej. Przyczyną tego jest, że wystawa nie została dotąd ukończoną i, nim ją ukończą, upłynie z miesiąc. Połowa okazów stoi w pakach. Robotników w galeryach tylu się prawie kręci, ilu i gości, a czasem przez deski i przez nawpół poodbijane paki przecisnąć się niepodobna. Katalogów jeszcze niema, a gdy wejdziesz bez przewodnika, między pojedyńcze wystawy, między szafy, szafeczki nieponumerowane, nieopatrzone jeszcze w znacznej części w nazwy wystawców, a zawierające miliony przedmiotów, gubisz się w chaosie i nie wiesz od czego zacząć.

W przeszłym liście wspomniałem, zdaje się, że najbliższe ukończenia były oddziały; angielski, amerykański i rosyjski; dziś nadeszły nowe paki, i znowu słychać na wszystkie strony pukanie młotkami. Zupełnie wykończony jest tylko oddział chiński i japoński. Oba świetne. Okazy ceramiki przewyższają w nich niezaprzeczenie wszystko, co Europa wystawiła w

tym rodzaju. W Japończykach już widać pewne chylenie się do smaku europejskiego, co wychodzi może na korzyść prostoty, ale szkodzi oryginalności. Pawilon ich jednak, zwłaszcza z zewnątrz, zachowuje jeszcze pierwotny charakter japoński. Ten dom z frontem w kształcie litery T, z wystającym żółto lakierowanym dachem i z olbrzymim porcelanowym lotusem przed drzwiami, z którego spływa w cysternę źródło, przenosi widza odrazu jakby do jakiej willi w Jeddo. Ale bardziej jeszcze typowe wrażenie robi wystawa chińska. Powiew europejski nie obwiał dotąd wcale kosookich synów Kwiecistego państwa. W oddziale ich przedmiotem, najbardziej rzucającym się w oczy, jest smok. Na chorągwi domu smok, na stołach, stołkach, łóżkach, krzesłach barwionych misternie czerwoną laką—smoki; na przepysznych porcelanach smoki; smoki, zjadające słońca, smoki, pożerające księżyc, słowem — wszędzie smoki. Tylko czekać, jak pojawią się tłumy o długich warkoczach i wrzawą, okrzykami, i dźwiękiem tam-tamów będą się starały przyjść w pomoc zagrożonym światłom niebieskim. Smoki te jednak, księżyce, fantastyczne zwierzęta, ptaki, kwiaty, te kształty, powyginane w nagłe a niespodziewane łuki, ta mieszanina barw, niezlewających się w jednolite odcienie, wszystko to, razem wzięte, jest swego rodzaju mistrzostwem, ostatniem słowem i do-

skonałością. Dziwna to sztuka; zastanawiając się nad nią, można tylko powiedzieć, że z innych pierwiastkowych względów jest zrodzona, z innego źródła bijąca, na innych pojęciach oparta i zupełnie od naszej odrębna, ale czy niższa?—to kwestya. Czasem wydaje się nam ona nakształt wniosku, na błędnych wprawdzie przepisach opartego, ale wyprowadzonego aż do ostatnich konsekwencyi z nieubłaganą logicznością. Zgodziwszy się na błędność zasady, musimy się zgodzić na mistrzostwo wykonania. Czy jednak zasada jest błędną? Pojęciom estetycznym Chińczyków ich zasada czyni tak samo zadosyć, jak nam nasza. Gdzież więc kryteryum i kto ma być sędzią zwierzchniczym, bezstronnym? A przecież ci Chińczycy, poubierani w błękitny jedwab, spoglądają z głębi swych pawilonów jakby z ironią na europejskie wystawy, na prostolinijne kształty przedmiotów i myślą sobie może: „my tylko tak umiemy powyginać linię, że sam dyabeł nie dojdzie jej początku, ni końca — ci barbarzyńcy nie umieją". Na wystawie mogą Chińczycy jeszcze i z tego względu wierzyć w swą wyższość, że wszystko prawie, co wystawili, zostało już zakupione przez barbarzyńskich „Ingli", którzy mają dużo pieniędzy, ale którzy widocznie nie umieją robić tak doskonałych rzeczy u siebie.

W angielskim oddziale zwraca na siebie szczególną uwagę pawilon (pawilon d'honnour),

w którym wystawiono dary, ofiarowane księciu Walii przez wodzów indyjskich w czasie jego podróży po Indyach Wschodnich. Są to starożytne rzędy końskie, rzędy na słonie, szyszaki, puklerze, tarcze, łuki, puhary, miecze i kryssze. Widz na widok tych skarbów zostaje przeniesiony jakby w czasy walk Kurawów i Pandawów, które opiewa Mahabarata, i w których Kryszna walczył przy muzyce, ułożonej z ryków słoni i dźwięków „perłowych muszel kręconych". Cudny poemat nasuwa się sam wyobraźni i pamięci; przeszłość epicka patrzy na ciebie wielkiemi oczyma z brylantów, które mienią się błękitnie, różowo i biało, jak gwiazda wieczorna. Te płonące rubiny, dyamenty, szmaragdy, szafiry, są poprostu muzyką świateł. Doprawdy, zwykle fantazya jest niby szkłem powiększającem, przez które poeci patrzą na rzeczywistość; na widok zaś tych skarbów, mimowoli chce się powiedzieć własnej wyobraźni: „podskocz-że dobrze, żeby się rzeczywistość nie przesadziła!" Jeden francuski dziennik, podniósłszy oczy w górę, mówi patetycznie, że jeżeli te skarby są prawdą, to może trzeba wierzyć poetom, że i inne skarby: miłość, naiwność, poświęcenie bywają także rzeczywistością. O, bracie! — odpowiada mu lirycznie drugi — jeśli takie skarby istnieją, to nie są oprawne w złoto i nie są wystawione na podziw ludzki.

— Ach!... Alter Witz! jak mówią Niemcy.

Wystawy kolonialne angielskie są już prawie ukończone. Z Australii, naprzykład, trudno było wysyłać paczkę po paczce, każde następną pocztą; wysłano więc wszystko, co miano wysłać, odrazu i urządzono odrazu. Przytem oddziały kolonialne mają jeszcze tę wyższość, że mniej są podobne do bazarów, w których kupcy zakładają sklepy i sklepiki. Zwiedzający nie ginie tu w chaosie towarów. Pierwszy ogólny rzut oka daje mu już pojęcie nietylko o handlu i przemyśle, ale zarazem o faunie, florze i produktach mineralnych kraju. Szczególniej pod tym względem celuje wystawa australska. Znajdziesz tu wełnę, złoto, zwierzęta, ryby, okazy roślinne; domyślisz się odrazu jakie jest przeważne gospodarstwo kraju, co stanowi główne zajęcie mieszkańców; znajdziesz nawet figury Papuan, ich dziryty, bumerangi, łuki—słowem odbędziesz jakby krótką a pouczającą podróż po Australii. Mniej tu kupieckiej reklamy, a więcej nauki.

Toż samo da się powiedzieć o oddziale indyjskim, kanadyjskim i osad angielskich w Afryce.

Wystawy europejskie, póty zwłaszcza, póki katalogi, ułatwiające jaką taką syntezę, nie będą uporządkowane, pozostaną szeregiem sklepów, w których kupcy idą o lepszą. Zresztą, za-

czekajmy póty przynajmniej, póki wszystko nie będzie ukończone. Patrząc w oddziale machin angielskich na jakiś żelazny potwór, który zgrzyta, macha z wściekłością olbrzymiemi ramionami, kręci zębatemi kołami, ryczy i gwiżdże, mimowoli pytasz, czego to apokaliptyczne bydlę tak się rzuca? co robi? do czego służy? i bez katalogu nie znajdujesz na te pytania odpowiedzi. Do dziś wystawę można opisywać tylko, jak wygląda po wierzchu, a trzeba przyznać, że wygląda bardzo ładnie. Pawilony wszystkich narodów obok siebie: hacyendy południowo-amerykańskie, domy chińskie, japońskie, pasiasty pałacyk marokański, dalej dom Peryklesa grecki, to znów karczma rosyjska, a niedaleko Alhambra, lub klasyczna budowla włoska—wszystko to robi wrażenie czarodziejskiego miasta. Nie brak w tem mieście i ludzi wszystkich narodów i muzyki wszystkich narodów, począwszy od czardasza węgierskiego, granego przez cyganów, a skończywszy na „Yankee Doodle". Pan Każyński obiecuje, że będzie można usłyszeć i mazury, a zapewne, mimo nizkiego kursu pieniędzy, będzie komu ich słuchać. Dziś już od czasu do czasu można usłyszeć mowę polską, głównie w oddziale rosyjskim, w którym są pomieszczeni wystawcy z Królestwa.

Jak już wspomnialem, na wystawców tych zwrócę szczególną uwagę; dziś na zakończenie

listu pozwolę sobie tylko wspomnieć o jednym okazie. Słyszeliście może o dziewczynie, z gipsu odlanej w całości z żywego modelu. Nadesłał ją doktór Levitoux z Warszawy. Dziewczyna ta budzi ogólny podziw.

Dotychczas nie umiano odlewać gipsów całkowitych z żywych postaci ludzkich, i uważano to za rzecz niemożliwą. Próby bywały, ale albo model wyskoczył co prędzej, jeżeli mógł, z kąpieli gipsowej, albo narobił krzyku, że się dusi. Tymczasem doktór Levitoux przezwyciężył swobodę i lekkość we wszystkich zgięciach i całej postaci. Twarz jej uśmiecha się, znać więc, że nie cierpiała w czasie kąpieli. Całość jest nietylko nowym, pełnym znaczenia wynalazkiem, ale i dziełem, prawdziwie artystycznem. Rzeźbiarze francuscy, którym Godebski pokazywał ten posąg, zachwycają się miękkością kształtów, naturalnością układu i zarazem śmieją się... Z odlewu? Bynajmniej. Cóż się jednak stało? Oto gwoli względem przyzwoitości, okryto posąg watową kołderką. Posąg jest nagi, prawda, ale i Wenus Milo w Luwrze jest naga, na wystawie zaś znajduje się tysiące posągów nagich nietylko nagością akademiczną, ale i nowożytną. Żeby nie ta nieszczęśliwa kołderka, ktoby przyszedł, spojrzałby na posąg, jak się patrzy na posąg, powiedziałby sobie: śliczny odlew! i nikomu nie przyszłaby do głowy żadna inna myśl. Gdyby goście z War-

szawy składkowym sposobem zaopatrzyli biedne dziewczę w pończoszki i odpowiednią bieliznę, byłby to i uczynek miłosierny i nowożytnej przyzwoitości stałoby się jeszcze dokładniej zadosyć.

Ale mniejsza o to. Mówiąc o gościach z Królestwa, kto ich chce łatwo znaleźć na wystawie, niech pójdzie do oddziału austryackiego i stanie przed obrazem Matejki. Makart i Matejko ściągają zawsze największą liczbę ciekawych. Makart nadesłał ogromne płótno, przedstawiające wjazd Karola V do Antwerpii, Matejko—Unię Lubelską. Bitwa pod Grunwaldem nie nadeszła jeszcze i zapewne już nie nadejdzie, z wielką zresztą szkodą dla naszej sławy. Unia, zarówno jak i zaciąganie dzwonu Zygmunta, są to już rzeczy znane, a o Bitwie Grunwaldzkiej mówiłyby wszystkie dzienniki.

W następnym liście rozpiszę się szerzej o polskiem malarstwie i o krzywdzie, jaką naszym artystom czynią obce dzienniki, poczytując ich za Niemców, Węgrów i Bóg wie za kogo, byle nie za to, czem są.

Wogóle o wystawie dzienniki paryskie mówią tak niewiele i tak niedokładnie, że doprawdy, z warszawskich można o niej więcej wyczytać. Gdzie tu się podziały te osławione talenta dziennikarskie, gdzie czasy sławnych felietonistów! Bez przesady i bez warszawskiego szowinizmu mówię wam, że pierwszy lepszy

felieton Prusa w Kuryerze Warszawskim, pod względem bogactwa treści i artyzmu, wart jest sto razy więcej, niż tutejsze paryskie otręby, w których ani smaku ani zapachu. Ale też te otręby smakują teraz tylko u nas.

O dziennikarstwie paryskiem może mi także przyjdzie z kolei napisać, a tymczasem Good bye! aż do przyszłego tygodnia.

Gazeta Polska. № 114, 116, 117 z dnia 21, 23 i 24 maja 1878 r.

Listy z Paryża.

I.

Mylne wiadomości. Trocadero. Historya Trocadero i pana Davioud. Circus maximus. Gwałt o gmach. Plany urzeczywistnione. Główna budowla. Kolumnady. Styl. Wszyscy zadowoleni. Cel dopięty. Wodospad w pałacu. Marszałek i koronowani goście. Mowa ministra handlu. Rzeczpospolita tryumfuje. Dzienniki monarchiczne. Odpowiedź marszałka. Wystawa. Gmach główny. Pawilony. Wystawa otwarta, ale nieskończona. Uroczystość w Paryżu. Chorągwie i illuminacya. Niezadowolenie monarchistów. Pomyślne wróżby.

Mylne mieliście wiadomości co do Trocadero i co do tego, jakoby marszałek miał otwierać wystawę pod gołem niebem. Wystawa nie jest jeszcze urządzona, ale w chwili otwarcia gmachy były gotowe. W Trocadero wieże tylko, a raczej minarety nie są jeszcze ukończone, zresztą wszystko w porządku. Gmach ten krytykowany nadzwyczaj ostro, a nawet wyśmiewany przez budowniczych i dzienniki, jest pomysłu pana Davioud. Pierwiastkowo miał to być teatr ludowy, mogący pomieścić dziesięć tysięcy ludzi, coś w rodzaju circus maximus.

Plany były przedstawione miastu, miasto odesłało je do komisyi specyalistów, komisya specyalistów popatrzyła na nie, pokiwała głowami... i poradziła panu Davioud, aby pomysłami swymi uszczęśliwiał inne narody, albowiem „nemo propheta in patria sua".

Plan więc na lat kilka powrócił do teki, pan Davioud zaś mimowoli począł odgrywać rolę zapoznanego geniusza. Tymczasem nadeszła wystawa, wszczął się gwałt o gmach; gmachu potrzeba, gmachu niema, planów niema, aż tu przychodzi pan Davioud i mówi: mam wszystko gotowe. Oczywiście, jeśli masz, to dawaj! Pan Davioud dał, resztę robiły znajomości, stosunki, stosuneczki i Trocadero stanęło. Gmach ten składa się z wielkiej budowli środkowej, okrągłej, wyglądającej jak kocioł parowy, i dwóch skrzydeł bocznych w kształcie kolumnad. Całość, zatoczona półkolem, zwraca się wklęsłą stroną łuku ku polu Marsowemu, drugą zaś ku Avenue du Trocadero. Kolumnady są greckie, środkowa budowla od pola Marsowego jest mieszaniną renesansu, rococo, baroco i wszystkie koko, jakie kiedykolwiek istniały, z dodaniem figur greckich, odwróconych ku polu Marsowemu najplastyczniejszemi częściami ciała, w sposób nader pogardliwy. Trochę złoconych słoniów, nosorożców z pozadzieranemi konwulsyjnie trąbami, ogonami i nogami dopełnia całości, dowodzącej, że apoka-

lipsa nie była bez pewnego wpływu na architekturę w ogólności, a umysł pana Davioud w szczególności. Od Avenue Trocadero, czyli ze strony wypukłej, środkowa budowla ma płaski cokół, z którego wznosi się również płaska fasada, jak utrzymują „assyryjska", ktoby jednak życzył sobie nazwać ją babilońską, nie naraziłby się w żadnym razie na przykre zajście z panem Davioud, który, przeciwnie, miałby wielką przyjemność w tem, że każdy zwolennik każdego stylu zawsze znajdzie w jego budowli coś, co mu przypadnie do smaku. Koło tej fasady stoją dwie przystawy z kopułami okrągłemi, koło tych dwóch jeszcze dwie, ale za to już z kopułami szpiczastemi, nakoniec z dachu wyskakują dwa minarety, na których brak tylko muezinów, którzyby wołali o zmroku, że Allach i pan Davioud są wielcy.

Zresztą „po co sobie kłócić obie!" Wystawa jest powszechna, więc i Trocadero jest powszechne. Mogłoby być dworcem kolei żelaznej, restauracyą, kościołem, składem maszyn, teatrem, lub czem kto chce. Celowi swemu odpowiada, bo ma dach i sufit, zatem gdy deszcz pada, ludziom głowy nie mokną, zatem i marszałek nie potrzebował otwierać wystawy, stojąc pod gołem niebem, zatem marszałkowska jego głowa nie zmokła. Potoki wodne płynęły wprawdzie, ale z pod nóg marszałka. Wytłómaczę wam to zaraz. Od strony pola Marsowego

główna środkowa budowla Trocadero opatrzona jest w ogromny balkon, zdobny w draperye z purpurowego aksamitu i gronostajów. Wprost z pod balkonu, wzniesionego na kilkadziesiąt stóp wysoko, rzuca się wodospad, spadający na ogromne schody, po których spływa wdzięcznie do basenu, zajmującego środek dziedzińca przed Trocadero. Wyznać należy, że ta woda, jakby rzeka, wypływająca z pod balkonu, wprost ze ściany pałacu i tworząca wodospad wzdłuż muru, jest pomysłem wysoce sztucznym i pięknym. Wodospad więc ów wypływał z pod nóg marszałka, szumiał, szeleścił i głuszył jego słowa, co, jak utrzymują złe języki, było dla wymowy marszałkowskiej okolicznością nader korzystną. Obok marszałka ubranego w złocisty mundur, wstęgi, gwiazdy, ordery, byli na trybunie zgromadzeni znakomici goście: Franciszek z Assyżu, rodzaj suszonej gruszki arystokratycznej, mały człowieczek z wielkimi rogami, mąż Izabelli hiszpańskiej, dalej książę Walii, następca duński, Henryk holenderski, książę Aosty, książę Leuchtenberski. Tu chciałbym powiedzieć: błyszczały zbroje, powiewały pióra na szyszakach, ale, chcąc być ściśle historycznym, muszę powiedzieć: błyszczały binokle, pachniała pomada, zresztą trębacze trąbili, muzyka grała. Wtedy uroczystość rozpoczął minister handlu obszerną przemową do marszałka, w której oświadczył, że

wystawa jest aktem i dowodem odrodzenia się Francyi pod rządem republikańskim; że jest dziełem i zapewnieniem pokoju przez republikę, która miłuje spokój i pracę, mające na celu szczęście i pomyślność ludu. I republikański minister miał słuszność. Rzeczpospolita wychodzi i promieniuje bezpośrednio z narodu, rzeczpospolita jest jego wolnością, jego dobrem, więc nie potrzebuje się wdzięczyć do niego sztucznie, nie potrzebuje schlebiać jego złym instynktom, nie potrzebuje dla podtrzymania popularności rzucać się w wojnę i awantury zagraniczne, nie ma interesów dynastycznych, nie poświęci nigdy interesów kraju dla osoby jakiegoś Lulu czy Frulu, ale z dumą pokazuje światu na wystawie: oto moje dzieło, to dzieło pokoju; te maszyny, te wyroby przemysłu, handlu, te utwory sztuki, to moja i moich dzieci praca. Przeciwnicy moi, co chcieli dać wam? oto zamach stanu, wojnę domową, barykady uliczne, krzyki żołnierskie, huk armat i jęki konających — ja, rzeczpospolita, jako dobra i wielka macierz, wyciągam potężne ręce ponad dziećmi, tulącemi się do mnie, i mówię: błogosławię was, błogosławię tym, którzy pracują, błogosławię pokój czyniących. Minister handlu i z tego względu miał jeszcze racyę, że monarchiści nie przyłożyli ręki do wystawy. Do tej pory dziennikom ich sola ona w oku, felietoniści ich wytężają zeschnięte

mózgi na przyczepki i przycinki temu narodowemu dziełu, bo czują, że jest ono nowem utwierdzeniem dla rzeczypospolitej — nowym, może ostatnim ciosem dla warchołów.

Po ministrze handlu, marszałek powstał, aby mu odpowiedzieć. Trzydzieści tysięcy zaproszonych gości, stojących na wirydarzu przed Trocadero, nastawiło uszu i wytrzeszczyło oczy na tego starego żołnierza, który, gdy nie mówi, wygląda wcale szanownie. Jakoż mówił niedługo. Dziękuję panu, panie ministrze, bardzo jestem rad, szczęśliwy, bardzo się cieszę, bardzo i bardzo, a nakoniec w imieniu rzeczypospolitej oświadczam, że wystawa jest otwarta... W tem miejscu dziwnym, a może nieco złośliwym trafem muzyka zagrała aryę: „Rozyno, na Boga zaklinam cię, nie mów nic więcej!" ale i aryę i orkiestrę zagłuszyły okrzyki: „niech żyje Francya! niech żyje rzeczpospolita!" Wśród tych okrzyków marszałek powiewał czas jakiś trójkolorową chorągwią, potem wraz z ukoronowanymi gośćmi zszedł z trybuny i przez wirydarz, następnie przez rozszerzony most Jéna, udał się z Trocadero na pole Marsowe, gdzie się wznosi właściwy gmach wystawy. Wszyscy szli piechotą.. Po jednej stronie marszałka szedł książę Walii, po drugiej podrygiwał komiczny Franciszek z Assyżu ze złotą laseczką w ręku i ze złotemi szkiełkami na oczach. Przed frontami oddziałów zagranicz-

nych witali się komisarze zagraniczni, ubrani w narodowe mundury — w oddziale francuskim komisarze francuscy i rozmite deputacye ciał uczonych. O czwartej marszałek z gośćmi wrócił do domu, gdzie wszyscy zasiedli do obiadu, ale co jedli i czy mieli dobry apetyt, tego już nie wiem, bo, co prawda, nic mnie to nie obchodzi i was nie powinno obchodzić,—a zresztą nie wiem, bo nie mogę skończyć, jak się kończą bajki ludowe: „i ja tam byłem, jadłem, piłem" etc.

Ja tedy zostałem jeszcze na wystawie. Zaraz po skończonej ceremonii otworzono bramy i dla publiki zaproszonej, w mgnieniu więc oka przeszło sto tysięcy osób napełniło galerye. A teraz chcecie wiedzieć, jak wygląda wystawa? Więc tak: naprzód Trocadero, które już opisywałem, a następnie przed Trocadero przepyszny pochyły wirydarz, pełen wodotrysków, klombów, kwiatów, grot, złoconych słoniów, nosorożców i rozmaitych czarodziejstw,—następnie Sekwana, przez którą most Jéna prowadzi na pole Marsowe. Na polu Marsowem wznosi się główny gmach wystawy, zauważcie więc, że nie jest nim Trocadero. Ten główny gmach, zbudowany ze szkła i żelaza, obejmuje przestrzeń tak wielką, jak np. Saski plac. Środkiem idzie ulica szeroka, dzieląca go na dwie połowy, z których lewa pozostawiona jest wystawcom francuskim, prawa zagranicznym. Ka-

żdy dział wychodzi na ulicę środkową osobnym frontem, idąc więc nią, widzi się jakby niezmierny szereg pawilonów, stojących tuż obok siebie i połączonych bokami. Pawilony francuskie, po lewej stronie, są w stylu francuskim, a raczej fantastycznym, pawilony zaś cudzoziemskie dla charakterystyki zachowują styl narodowy. Widzicie więc, np. „cottage" angielski, dalej domek szwajcarski, dalej klasyczną budowę włoską, dalej domy japońskie, chińskie, dalej karczmę rosyjską i t. d. Wskutek tego oryentować się bardzo łatwo i dość jest być dwa lub trzy razy na wystawie, żeby wiedzieć, gdzie iść, jak się ruszać i nie gubić się w chaosie. Główna ulica, o której wspomniałem, tak jest szeroka, że na środku jej mieszczą się osobne budynki, obszerne i okazałe, przeznaczone na sztuki piękne. Francya ma osobne pawilony, zagranica także osobne. Budynki są już wykończone. Gdzieniegdzie może jeszcze brak kilku uderzeń młotkiem, ale tego się nawet nie widzi, za to wnętrza tak głównego gmachu, jak i pawilonów, nie są jeszcze ukończone i zapewne nie prędko będą. Anglia tylko, Stany Zjednoczone, Chiny i Japonia posunęły dość znacznie swoje roboty, Rosyi także nie wiele brak. Nadesłane okazy z Królestwa, dobrze poustawiane, dobrze się przedstawiają. Będę wam o nich pisał najobszerniej, ponieważ i mnie i zapewne was najwięcej to obchodzi. Ale pra-

cę tę, jako szczegółową, odkładam do następnych listów. Nie mogłem też jeszcze i widzieć wszystkiego szczegółowo, zwłaszcza że deszcz ciągle pada, skutkiem czego niepodobna chodzić środkową ulicą, na której łatwo odróżniać działy po frontach pawilonów. Chodzi się wewnętrznemi galeryami, od strony których w oddziałach, zwłaszcza że jeszcze nie ukończonych, trudno się połapać. Do rosyjskiego np. przyprowadził mnie pierwszego dnia tylko zapach skór. Ale nie wszędzie można trafiać z pomocą nosa. Wreszcie w wielu galeryach jeszcze wznoszą się całe góry pak i paczek; niektóre posągi poowijane są w papier i t. p. Wszystko to wygląda dość chaotycznie, ale jest niczem w porównaniu do chaosu, jaki panował na całej wystawie jeszcze na dwa dni przed otwarciem. Gdym wtedy patrzył na te góry wapna, piasku, żwiru, pak, desek, rusztowań, na niepokończone dachy i galerye, w głowie nie mogło mi się pomieścić, jakim sposobem gmachy mogą być na 1-go skończone, a wystawa otwartą. Jednak gmachy zostały pokończone, a wystawa otwarta, uroczystość zaś była naprawdę wspaniałą i, jak dla Francyi przynajmniej, wielkiego znaczenia politycznego. Był to, jak wspomniałem, tryumf rzeczypospolitej. To też w dzień ten całe miasto, jak jedna wielka tęcza, zaćmiło się setkami tysięcy chorągwi, wieczorem zaś zapłonęło łuną świateł. Te tłumy

różnobarwne, wesołe, szczęśliwe i śpiewające, ów gwar i wrzawa ludzka, kostiumy wszystkich narodów, światła, fajerwerki, sypiące złotemi skrami, race gasnące na wysokościach w powietrzu, ognie bengalskie, korony ogniste na wieżach, wszystko to tworzyło naprawdę tak cudny i uroczy widok, że i opisać go trudno. Spokojna Sekwana odbijała te światła, jak lustro. Tylko małe części miasta, zamieszkane przez bonapartystów lub legitymistów, pozostały ciemne i ciche. Naród weselił się, bo się poczuł odrodzonym i szczęśliwym, ale monarchistom francuskim—co im tam szczęście i odrodzenie się narodu! Przy tych czerwonych światłach widoki urzędów, korzystnych posad, wysokich miejsc, zamiast się rozjaśniać, bladły, wolały się więc usunąć w ciemność i i ciszę. I pozostaną też w ciemności i martwocie. Nawet dzienniki tych partyi czują się jakby zawstydzone. Nie śmieją uderzać już na samą rzeczpospolitą lub na wystawę, korzystają z tego, że ot tłum zaśpiewał gdzieś marsyliankę i z za płota rzucają błotem i piaskiem na własny naród, rozdymając małe, zwykłe i naturalne rzeczy do olbrzymich rozmiarów. Ale są to już ostatnie strzały armii nietylko pobitej, ale zmykającej haniebnie. Mimo jej wrzasków, wystawa stanęła i udała się, ściągnęła sąsiadów, ściągnęła setki tysięcy cudzoziemców, a między nimi nawet i Niemców, którzy

sami już poczynają się wstydzić, że figurują w całym Paryżu, we wszystkich kawiarniach i zakładach publicznych, słowem wszędzie, z wyjątkiem w katalogu wystawy.

Miasto nie traci wcale cechy uroczystej, jaką przybrało w dniu otwarcia. Chorągwie tak, jak pierwszego dnia, powiewają na wszystkich bulwarach i ulicach. Cudzoziemców napływa coraz więcej, ale ceny nie podskakują zbyt przerażająco w górę. Jeden pokój urządzony można dostać za cenę 40 franków miesięcznie. Może później będzie gorzej, gdy wystawa już się urządzi. Roboty na niej nie ustają na chwilę. W następnych listach będę wam jej postępy opisywał szczegółowo. List ten jest może nieco spóźniony, ale ponieważ otwarcie nastąpiło w środę, opis wrzucony na pocztę w czwartek i tak nie mógł was dojść przed niedzielą. Gdy się zmienicie na pismo codzienne, wówczas będzie warto się śpieszyć.

Nowiny. 1878 r. № 22.

II.

Kłopoty korespondenta. Korespondent „Chicago Times“. Komedya z pomyłek. Wystawa. Miasto środkowe. Wrażenie fantazyi. Pawilony sztuk pięknych. Nasi malarze. Rozrzuceni. Przed Matejką. Niemcy. Wyznania księcia Hohenlohe. Prawdziwe przyczyny. Bankiety. Uroczystość Voltaire'a. Dzienniki monarchiczne i republikańskie. Artykuły jenerała Türr. Klerykalizm we Francyi. Niedoszłe przymierza. Rzeczpospolita i jej rzecznicy. Za wiele gadaniny. Dalszy ciąg „Burzy“. Kaliban w pojęciu Renana. Kto jest Renan.

Obowiązek pisania sprawozdań z wystawy mógłby doprawdy służyć za przedmiot do jakiej nowelli pod tytułem: ,,Kłopoty korespondenta''. Wystawa została otwarta, codzień tysiące ludzi ją zwiedzają, więc jest niby o czem pisać, a z drugiej strony nie została skończona, nie została uporządkowana, katalogów niema, więc niema o czem pisać. Zresztą korespondent ,,Chicago Times'' dał przykład, jak czasem źle się wychodzi na zbytniej gorliwości. Ale wprzód czy wiecie, co to jest amerykański reporter? ,,Jako dewotka, gdy grzech jaki stary przypomni sobie przed samą spowiedzią, albo

podżare litewskie ogary, gdy nagle wpadną na łapę niedźwiedzią *), tak amerykański reporter, gdy ma przed sobą pole faktów, fakcików, wiadomostek, zmienia się na prawdziwego myśliwca i zacietrzewia się do tego stopnia, że o bożym świecie zapomina. Z kapeluszem nasuniętym na tył głowy, z książeczką i ołówkiem w ręku, ujrzycie amerykańskkiego reportera, zadyszanego z pośpiechu, latającego wszędzie, zaglądającego we wszystko i polującego na wszelkie objawy życia. Niema dla niego przeszkód, niema miejsc, do których wejść nie wolno. Wyrzucają go jednemi drzwiami, on wchodzi drugiemi. Lata po wystawie, robi wizyty panującym i znakomitościom. Mac-Mahon odpowiada mu, iż nie słyszał o nim i nie może go przyjąć, on odpowiada Mac-Mahonowi, że to nic nie szkodzi i że musi być przyjęty; jednego dnia jest u księcia Walii, u księcia Aosty, rozmawiając z nimi, notuje jednocześnie ich słowa, aby później zapełniać niemi szpalty swego dziennika, zatrudnia po całych dniach linie telegraficzne, słowem jest istotą wszędobylską, duchem pojawiającym się nagle a niespodziewanie, jak śmierci potęga, z którą trzeba się liczyć, bo dotrze wszędzie, dowie się o wszystkiem i wszystko opisze.

Otóż korespondent „Chicago Times" był

---

*) Słowacki.

właśnie na tropie i latał po wystawie z notatką i ołówkiem, gdy nagle w głębi jakiegoś pawilonu, jeszcze nie urządzonego, dostrzegł pewnego jegomościa, którego poczytał za pana Teisserenc de Bort. Dla reportera rozmawiać z ministrem jest to odkryć kopalnię. Reporter nie wie wprawdzie, że gdy ministra złapie i zacznie od „dzień dobry, panie ministrze!", minister wytrzeszczy na niego zdziwione oczy, ponieważ go nigdy w życiu nie widział,—ale to właśnie już jeden fakt do opisania. Następnie minister powie: „Nie mam przyjemności", a reporter: „Co pan myślisz o wystawie?" Minister: „Z kim mam honor?" Reporter: „Właśnie pragnąłem spytać pana o informacye!" i t. d. Potem co będzie, to będzie, ale opis rozmowy z ministrem pójdzie do dziennika i będzie „all right!" Korespondent więc „Timesa", ujrzawszy, jak mu się zdawało, pana Teisseranc de Bort, rzuca się naprzód, nie patrzy, co leży na drodze; policyant woła: „nie wolno" — on nie pyta — przewraca się przez pakę, wstaje, przewraca się drugi raz przez sznur, który zagradzał wejście, rozbija nos, przykłada chustkę, zbliża się do ministeryalnej osoby i zaczyna bez wahania następującą pośpieszną rozmowę:

— Ekscellencyo! szczęśliwy to dzień, w którym mogę z panem pomówić! Dzień ten pozostanie epoką w mojem życiu. Jestem ten a ten, pisuję do takiego a takiego dziennika.

Grzeczny Francuz skłania się i odpowiada: — Miło mi poznać tak dystyngowanego cudzoziemca—i boleję nad wypadkiem, który spotkał pana, a raczej pański nos.

— Mój nos? A prawda. Ale to nic. Winszuję ekscellencyi jej mowy, mianej na otwarciu wystawy. Przesłałem ją telegraficznie w całości.

— Mojej mowy?

— Tak jest. Zwrot ku rzeczypospolitej i demokracyi był przepyszny. Wystawa jest wielką uroczystością. Ameryka bierze w niej udział nie tyle przez okazy, ile przez serce. Pan w swojej mowie...

— W jakiej mowie?

— Przy otwarciu...

— Nie miałem żadnej mowy!

— Ekscellencyo...

— Nie jestem ekscellencyą...

— Panie ministrze...

— Nie jestem ministrem.

— Któż pan jesteś?

— Ja, panie? Ja jestem fabrykant pończoch, Maurice z Lyonu...

— Ach! — mruczy reporter.—Bardzo mi miło!.. Do widzenia. Mój nos istotnie mi dolega...

A teraz, czy chcecie się założyć, że pierwsza depesza bohaterskiego mego reportera będzie się zaczynała od słów: „Wczoraj minister Teisserenc de Bort zwiedzał incognito oddział

fabryczny francuski. Mówiłem z nim osobiście. Minister oświadczył mi etc."...

I istotnie jest to metoda, przy której użyciu można zawsze mieć o czem pisać, wszędzie dać sobie radę i wszędzie zdobywać materyał. Ale kto się jej nie trzyma, ten zgodzić się musi, że o wystawie, póki jaki taki porządek katalogowy nie zostanie wprowadzony i ogłoszony, pisać jest tak trudno, jakby było np. trudno opisywać wszystkie sklepy w Paryżu. Obecnie też wystawa nie jest niczem innem, jak nieskończonym szeregiem sklepów, ustawionych według narodowości. Dlatego też dzienniki, np. miejscowe francuskie, a nawet i angielskie, mówią o niej bardzo mało, kto wie, czy nie mniej, niż warszawskie. Codzień znajdują się o niej wiadomości i wiadomostki, ale brak zupełny dokładnych opisów. Nie myślcie jednak, aby na samej wystawie nie pracowano nad jej ukończeniem gorliwie. Uczyniono już tyle, że na pierwszy rzut oka niepodobna dostrzedz bezładu. To, co nadesłano, już ustawione, lub rozmieszczone starannie i z wdziękiem poza szklanemi szybami, nęci oko harmonią lub porządkiem. Nadchodzą jednak codziennie nowe paki do wszystkich sekcyi. Zewnątrz pawilony ukończone są już zupełnie od dni kilku. Patrząc z głównej środkowej ulicy, niepodobna nie zachwycać się widokiem domów zagranicznych. Wystawa przedstawia się jakby kosmopolityczne miasto,

jakby jakaś fantazya powieściowa, sięgająca o tysiące lat naprzód, w te przyszłe czasy, w których nie będzie wojen i w których słowa: cywilizacya i ludzkość będą regulowały wszystkie stosunki. Czytałem kiedyś taką fantastyczną powiastkę, opisującą, jak będzie wyglądała ludzkość za lat tysiąc. Otóż czasem zdaje mi się, że w tem wewnętrznem mieście na wystawie widzę jej illustracyę. Nie widać tu wprawdzie wszechpotężnego przyszłego wpływu cyrkla, który ma wszystko zrównać pod linię i miarę, ale widać pawilony francuskie, angielskie, tureckie, amerykańskie, greckie, chińskie, włoskie, japońskie, rosyjskie, maurytańskie, stojące tuż obok siebie, nad domami widać flagi pływające w powietrzu, a przed domami narodowości wszystkich pięciu części świata, wrogie często między sobą, gdy każda jest u siebie, a tu przyjazne, zbliżone i powiązane ze sobą wielkiem świętem cywilizacyi. Patrząc na to wszystko, patrząc na to przekonanie głębokie o wyższości zgody, o słodyczy owoców pokoju i cywilizacyi, o wielkiem znaczeniu ludzkości, patrząc na to przejęcie się swą cywilizacyjną rolą, jakie zdaje się wiać od tych tłumów, na chwilę prawie przychodzi zwątpić, czy wobec takiego rozwoju pojęć ogólnie ludzkich wojna, rzezie, hurtowne zabijanie się, pożogi miast i wiosek jeszcze są możliwe w dzisiejszych czasach.

Złudzenie to, któremu oprzeć się niepodobna, stanowi największy urok tego miasta narodów, najprzyjemniejsze i najoryginalniejsze wrażenie, jakie czyni wystawa. Chociaż czujesz nieraz, że to jest fantazya, że to tylko chwilowy i niejasny obraz owej przyszłej złotej epoki, jednakże lubujesz się nim, snujesz dalej tęczową nitkę marzeń i budzisz się jakby ze snu rozkosznego, gdy pierwsza lepsza depesza ze Wschodu, w pierwszym lepszym dzienniku, rozwieje te złudzenia, jak wiatr rozwiewa urocze obrazy fata-morgana.

Pawilony sztuk pięknych, otwarte wcześniej od innych, zapełnione są już obrazami i gośćmi. Jednakże tylko Anglicy wpadli na praktyczny pomysł podpisania pod każdym obrazem, co znaczy i kto go malował. W innych działach francuskich i zagranicznych niema podobnych objaśnień, trzeba więc czekać, jak we wszystkiem, na katalogi, a tymczasem widz błądzi okiem z obrazu na obraz, widzi malowane postacie ze wszystkich wieków: jakieś sceny historyczne greckie, rzymskie, średniowieczne i nowożytne: postacie walczące, figury z rękami powznoszonemi w niebo—mnóstwo wzruszających sytuacyi — i gniewa się, nie znajdując odpowiedzi, kogo i co to wszystko przedstawia. Ten nadmiar patosu, którego znaczenia nikt nie rozumie, śmieszy nawet. Niewiadomo, kto malował,—jakże tu dawać sprawozdanie.

Malarze polscy zajmują niezaprzeczenie je-

dno z pierwszych miejsc na wystawie. Dość wam zacytować takie nazwiska, jak Matejko, Siemiradzki, Brandt, Maksymilian Gierymski i t. d., abyście zrozumieli, że jest się czem chwalić i że w walce o lepszą z cudzoziemcami jest nadzieja wygranej. Cudzoziemcowi jednak nie tylko niepodobna zdać sobie sprawy z malarstwa polskiego, ale nawet niepodobna mu dojść do przekonania, że jakiekolwiek malarstwo polskie jako takie istnieje, a to z tej prostej przyczyny, że obrazy wspomnianych mistrzów nie stoją obok siebie — i nie przedstawiają całości samej w sobie. Matejko figuruje w oddziale austryackim, Siemiradzki w rosyjskim, Maksymilian Gierymski w pruskim, Brandt w monachijskim. Cudzoziemiec więc nie umie nietylko wyrobić sobie ogólnego pojęcia o tem malarstwie, jako o polskiem, ale poprostu obrazy zalicza do odpowiednich sztuk, a artystów do narodowości, w których oddziałach figurują. Z tego to powodu p. Ruskin np., słynny krytyk angielski, cytuje Gierymskiego i Brandta między malarzami niemieckimi; Matejkę uważa za genialnego monachijczyka, i nawet do głowy nie przychodzi mu wspominać o jakiemkolwiek polskiem malarstwie.

Smutna to rzecz. Ludzie o nas nie bardzo wiedzą, my zaś nie bardzo im się przypominamy. A jednak... Oto jesteśmy w pawilonie: widać tłumy ludzi, chodzących wolnym kro-

kiem, spoglądających po drodze na obrazy, zatrzymujących się na chwilę i idących dalej.

W środkowym jednak pawilonie, nad którego drzwiami napisano: Austrya, widzimy gromadę ludzi, stojących i rozprawiających półgłosem. Widocznie coś tu bardziej nęci i zatrzymuje. Zobaczmy co?—Unia Matejki.—Słychać przed nią rozmawiających Anglików, Francuzów, Niemców, Włochów i Hiszpanów. Co za przypuszczenia, co za objaśnienia — boki zrywać można ze śmiechu. Przed obrazem stoi okrągła kanapa. Pozują na niej jasnowłose Angielki i Polki, zachwycają się niby obrazem, a pragną, żeby zachwycano się niemi: „O that splendid! isn't?"—słychać z jednej strony.—„Ach, mamo! jakież to cudne!"—mówi sentymentalny głosik z drugiej, w tej nadziei, że może jaki zabłąkany warszawianin usłyszy głos, spojrzy pod kapelusz i... „niech czuły słuchacz w swej duszy dośpiewa!" Ach! biedne panny! Może już były na wielu wystawach i zawsze... „hors concours".

Ale nie o tem mowa. Stoją tedy gromadki ludzi przed Matejką, zbierają się przed Gierymskim, Brandtem, Siemiradzkim... Malarzom stąd chwała a społeczeństwu, które ich wydało, nic...

Ale idźmy dalej. Czy wiecie, że Niemcy wzięły częściowy udział w wystawie? Wzięły

je mianowicie w wystawie sztuk pięknych. Przy otwarciu niemieckiego pawilonu książę Hohenlohe, po wzajemnej wymianie komplementów z panem Teisserenc de Bort i po złożeniu powinszowań Francyi z powodu świetnego powodzenia wystawy, powiedział rzecz ważną, mianowicie: że Niemcy nie z jakichkolwiekbądź przyczyn politycznych, ale poprostu z ekonomicznych nie wzięły w niej udziału. Była to rejterada... bez chwały. Niemcy istotnie nie wzięły udziału w wystawie, bo upadek przemysłu, handlu, bogactwa krajowego, słowem wszystkiego, z czem się chwalić można, zamknął im wrota do świątyni pracy. Ale wstyd było im się do tego przyznać. Zasłonili się więc uczuciem patryotyzmu. „Nie poślemy nic na wystawę francuską, a gdy my nie poślemy, nikt nie pośle". Tymczasem stało się przeciwnie—wystawa przeszła oczekiwania samych nawet Francuzów. Obce narody nie tylko wzięły w niej udział, ale wzięły serdeczny i sympatyczny. Wobec tego nowego wstydu, wobec tej nowej klęski moralnej, Niemcy wybrali mniejsze złe i, uderzywszy się w piersi, w osobie księcia Hohenlohe, odrzekli: „Jeśli chcecie prawdy, to istotnie nie mieliśmy co posłać".

Dzienniki paryskie więcej, niż nieuporządkowaną dotąd wystawą, zajmują się ukoronowanymi gośćmi, którzy na nią przybyli. Po bankiecie, danym przez księcia Walii, który

przy tej sposobności wcale otwarcie zaznaczył wspólność przyszłych widoków francuskich i angielskich, nastąpił bankiet księcia Aosty w pawilonie włoskim. I znowu jedna koronowana, a przynajmniej eks-koronowana głowa wysadzała się na wyrażenie uczuć przyjaznych dla rzeczypospolitej, na wyrażenie radości, że rzeczpospolita pokonała grożące jej widma, a teraz utrwala się, rozwija, ubezpiecza... „Dziwne rzeczy dzieją się w państwie Duńskiem", jak mówi Hamlet.

Paryż rozświętował się na dobre. Pragnie bawić się sam i bawić swoich gości. Przed otwarciem, w czasie i po otwarciu wystawy, nie mówiono o niczem innem, jak o wystawie. Gdy jednakże okazało się, że otwarcie a ukończenie są to dwie rzeczy różne, rozmaite sprawy, które ten wielki fakt zagłuszył, odzyskały swe prawo bytu i rozgłosu. Mówią teraz znowu dużo o teatrach, polityce i nowych zamierzonych uroczystościach. Trzydziestego maja ma być uroczyście obchodzona stuletnia rocznica śmierci Voltaire'a. Rady municypalne w Paryżu i wszystkich prawie miastach francuskich uchwaliły już sumy na ten obchód. Paryż illuminuje się znowu i obwiesi chorągwiami. Dzienniki reakcyjne dziś już nie szczędzą ciętych słów i przycinków temu nowemu republikańskiemu świętu. Voltaire jest jednym z ojców waszego kościoła — mówią republika-

nom — powiedzcie więc sami, o demokratyczne robaczki! czy nie popełnicie nonsensu, obchodząc rocznicę jego śmierci radosnem świętem? Z czego się więc radować będziecie? Z tego, że umarł? Brawo! Ale jest i druga racya: obchodzić dziś uroczyście pamiątkę pana Voltaire'a, eks-szambelana króla pruskiego i poety, który radosnym wierszem uczcił klęskę, jaką Francuzom zadali Prusacy pod Rosbach, jest może bardzo po republikańsku, ale nie bardzo po francusku...

Dosyć to zgrabne! Ale Voltaire pozostanie chwałą Francyi, mimo swego ex-szambelaństwa pruskiego, mimo wiersza na bitwę pod Rosbach i mimo wszelkich dowcipów, jakie na jego karb spłodzili i spłodzą wszyscy redaktorowie i felietoniści monarchicznych dzienników. Mówiąc nawiasem, jakieś dziś żyjące gryzipiórko dziennikarskie, jakieś gogątko konserwatywno-legitymistyczno-figarowskie, które w całości zaufaniem w swój dowcip uderza na Voltaire'a, jest sobie poprostu paradne i sam Voltaire nie wymyśliłby nic bardziej doskonałego. Dzienniki republikańskie, mimo wszelkich przycinków, popierają projekt uroczystości, widząc w nim antiklerykalną manifestacyę, do której pragną jak największe tłumy pociągnąć.

Klerykalizm poniósł znów nową klęskę polityczną we Francyi. Słyszeliście zapewne, jakie wrażenie zrobiły listy księcia Napoleona, o-

głoszone swego czasu w „Revue des deux mondes", traktujące o sprawach politycznych i o polityce gabinetu francuskiego przed wojną pruską. Na artykuł ten odpowiadał książę de Grammont, usprawiedliwiając swoją rolę. Dziś list generała Türr rzucił znów nowe światło na tę sprawę. W całym Paryżu nie mówią w tej chwili o niczem innem, jak o tym liście. Ostatnie cezaryańskie roboty, głupota i niedołęstwo ministrów, występują jawnie na widownię. Ze wszystkiego pokazuje się, już nie na przypuszczeniach, ale na dokumentach, że Francya za cenę Rzymu mogła mieć przymierze Włoch, a przez Włochy i Austryę. Na mocy jakiego prawa broniła Rzymu? Na mocy żadnego. Na mocy jakiego Włosi chcieli go posiadać — na mocy wszelkich praw, jakie ma naród włoski do swej własności. Pretoryanie francuscy stali w Rzymie.—Cofnąć ich — było to kupić sobie Włochy, było to zyskać pół miliona żołnierza na wojnę pruską. Gabinet florencki przejęty sympatyami dla Francyi, sam napierał się z tą myślą. „Il dépend de la France de faire marcher l'Italie, et l'Italie fera marcher l'Autriche" — pisano z Włoch. Na to cesarzowa wznosiła z oburzeniem podczernione oczy ku górze, i czy wiecie co gabinet francuski odpowiedział?

Oto: „Il nous est impossible de faire la moindre chose pour Rome. Si l'Italie ne veut pas marcher, qu'elle reste!" Tak więc dla oca-

lenia władzy doczesnej papieskiej zrzeczono się pomocy dwóch potężnych armii w wojnie pruskiej. Papieża nie uratowano: Włochy doszły do swej prawowitej własności—Rzymu, ale zato stracono dwie prowincye... pogrążono kraj w przepaść, bo... cesarzowej chodziło, aby dusza jej była napewno zbawiona. Wobec tego wszystkiego, wobec tej zguby, na jaką klerykalizm wydał Francyę, projekt obchodzenia uroczystości Voltaire'a ma swój sens, chociaż Voltaire był szambelanem Fryderyka i chociaż pisał wiersze o bitwie pod Rosbach.

Zresztą republikanie zrobią dziś, co chcą, bo rzeczpospolita tryumfuje. Ciągłe dezercye z obozu bonapartystowskiego zwłaszcza przyprowadzają do rozpaczy wierne resztki napoleońskie. Rzeczpospolita tryumfuje i ustala się. Możeby się godziło nawet mniej robić manifestacyi, bo manifestacye dowodzą właśnie, że w niektórych umysłach republika nie przestała być jeszcze doktryną. Za dużo tu o niej mówią, a nie oduczyli się przemawiać językiem partyi.

W żadnym kraju nie rozprawiają tak mało o wolności, tolerancyi, rzeczypospolitej i tym podobnych rzeczach, jak w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki. A dlaczego? Z bardzo prostej przyczyny: bo tam to chleb powszedni, naturalny stan rzeczy, o którym niema co rozprawiać. We Francyi niema tego je-

szcze. Nie umiano otrząsnąć się dotychczas z przywar partyi i doktrynerstwa. Co nawet zauważyłem, że masy zasadę: „republika to naród nie partya", zrozumiały lepiej, niż ich rzecznicy i dzienniki. Rzecznicy i dzienniki wrzeszczą jeszcze czasem, jak demagogowie— masy zaś, wybierając spokojnie republikańskich deputowanych, zdają się mówić: — Dajcie pokój! nie potrzebujemy krzyczeć, skoro mamy dość sił, aby działać.

Na rzecznictwo demokratyczne spadły w ostatnich czasach dwa uderzenia dość niespodziewane: jedno z ręki Taine'a, drugie z ręki Ernesta Renana. Taine, zagłębiwszy się w dokumentach z czasów wielkiej rewolucyi i patrząc w nie raczej okiem estetyka, niż historyografa, przeląkł się krwi, okrucieństw, nadużyć i zbrodni, spełnionych w epoce burzy— całą więc epokę burzy, cały wielki przewrót dziejowy obrzucił błotem. Taine'owi jednak mniej można się dziwić. Umysł to bystry, wnikający w głębiny zwykłem okiem niedojrzane, ale umysł przedewszystkiem estetyka — wykwintna głowa grecka i pozytywna po grecku, wrażliwa na rzeczy smaku i biorąca nawet historyę bardziej ze stanowiska piękna i brzydoty, niż ze stanowiska, które w logice nazywa się: principium rationis sufficientis! Rewolucya i demokracya, widziana okiem przywykłem szukać i odkrywać we wszystkiem har-

monię, wydała się czemś potwornem, zatem: anatema na nią i na wszystko, co z niej płynie.

Pan Renan walczy nieco inną, mniej naukową bronią z demokracyą. Słyszeliście może, że wziął się do pisania dalszego ciągu „Burzy" Szekspira. Gdy to gruchnęło po Paryżu, ludzie mówili sobie: jaka szkoda, że nawet i tacy pisarze, jak Renan, miewają czasem bzikowate pomysły. Pisać dalszy ciąg „Burzy"—tego cudnego lirycznego poematu, w którym wszystkie żywioły zdają się śpiewać —pisać dalszy ciąg, nie będąc poetą — jest to zawsze wydać sobie świadectwo braku piątej klepki w mądrej skądinąd głowie. Tymczasem dalszy ciąg pojawił się i okazał, że właściwie nie chodziło o „Burzę". Z „Burzy" wzięto tylko temat do poetycznego, ale ciętego paszkwilu. U Arystofanesa demokracya występuje jako Demos, głupi, łakomy, podejrzliwy i obżarty, ale naiwny Demos, którego ten panem, kto mu więcej kiełbas tka do ust. U Renana demokracya to coś gorszego jeszcze. Pamiętacie Kalibana, tę potworną postać o łbie kudłatym, pół nieźwiedzia, pół ryby, pół człowieka z pletwami u rąk — to „martwe cielę z księżyca", tę mieszaninę złości i głupoty, tę plugawą gębę, otwierającą się tylko dla przekleństw: „Wszelka zaraza" albo: „Oby wiatr zawiał z północy, zachodu i ponabawiał was licznego

wrzodu". Ten tedy Kaliban, ten syn dyabła i czarownicy — to demokracya. Czysty, mądry Prosper, śliczna biała, jak śnieg, owa gołąbka Miranda—to uosobienie arystokracyi i jej przymiotów. Prosper, jak wiecie, rządzi Kalibanem, zsyła duchy, które według słów potwora:

„Czasem jak małpy straszą mnie grymasem,
„Kłują, mordują i kąsają czasem"...

Karze go; nawiedza jego kości „kurczem nocną porą"—i to takim kurczem, że aż zwierzęta drżą na jego męki — zsyła jeże, które, kłując ciało potwora, zmieniają je „jakby na plaster miodu", ale to wszystko istotnie jest słuszne, rozumne. Kaliban nie budzi litości. Dlaczego? Bo to potwór nie tylko gruntownie głupi, ale gruntownie zły i gruntownie bestyalny — to najobrzydliwsza, najsprośniejsza i najgorsza małpa, jaka kiedykolwiek istniała. Słuchajcie więc dobrze!.. Ta małpa to demokracja. Tak mówi Renan.

Na tem zakończę dzisiejszą moją kronikę. O obydwóch tych pracach: Taine'a i Renan'a pomówię później obszerniej. Może i poświęcę im specyalne sprawozdanie wówczas, gdy „Nowiny" staną się pismem codziennem, gdy będziecie mieli więcej miejsca,—a tymczasem życzę wam, aby się to stało jak najprędzej.

Nowiny, 1878 r. № 23.

Listy Litwosa z Paryża. Salon z r. 1878.

I.

Salon obok wystawy jest drugą międzynarodową uroczystością, ściągającą tłumy ze wszystkich stron miasta. Jest to rodzaj bezkrwawego turnieju geniuszów, coś nakształt dawnych turniejów kwiatowych, dla których miejscem jest obecnie stolica Francyi, a widzami cała Europa. W takich warunkach warto też iść o lepsze. Dla Francyi coroczny „Salon" ma również swoje ogromne znaczenie, dowodzi bowiem, że bez względu na to, gdzie leży przewaga polityczna, przewaga bagnetów i dział, Francya nie przestała i przestanie być ogniskiem twórczości myśli i idei, środkowym punktem, z którego promieniują i do którego ciążą geniusze wszystkich narodów. Żadne zwycięstwa pruskie, żadne niesnaski wewnętrzne nie zdołały jej odebrać tego znaczenia. Gdy chodzi o sprawy wojny, o miecz i ogień, uwaga ludzka zwraca się gdzieindziej, ale, gdy chodzi o nowe idee, o żywe objawy myśli, o sztuki piękne, oczy i ciekawość ludzka kierują się ku Fran-

cyi i Paryżowi. Czyby, naprzykład, do głowy przyszło komukolwiek, żeby taki „Salon" mógł się odbywać w Berlinie, lub gdzieindziej? Czyby znalazł się choć jeden człowiek, któryby nie nazwał podobnych żądań dzikimi i nieuzasadnionymi zakusami, na które ramionami tylko wzruszyć warto? Ustalono niejednokrotnie fakt, że wszystko, co się we Francyi dzieje, interesuje daleko więcej ludzkość, niż sprawy, równej nawet teoretycznie wagi, odbywające się gdzieindziej. Dlaczego tak jest, odpowiadano na to często; częściej jednak czyniono z tego zarzut i Francyi i ludzkości, posądzając pierwszą o błyszczące tylko pozory, pokrywające nicość rzeczywistą, drugą o głupotę i naśladownictwo. Tłómaczenie to jednak niegodne jest myślącego człowieka; z zasadniczego bowiem pytania wysnuwa się wiele następnych, na które zarzuty o pozorach i szychu francuskim w szczególności, a głupocie ludzi wogóle, nie są odpowiedzią. Dlaczego np. sprawa uroczystości Voltaire'a, listy biskupa Dupanloup do Wiktora Hugo, lub odpowiedź tegoż podnoszone są nietylko we Francyi, ale i wszędzie do znaczenia pierwszorzędnych faktów? Dlaczego prasa całego świata i ludzie myślący wszystkich narodów biorą w tych sprawach nietylko udział, ale kładą w nie swe osobiste namiętności? Czy dlatego, że są głupcami? Nie! muszą być inne przyczyny. Goethe jest

większym pisarzem od Voltaire'a, Hegel lub inny jaki Niemiec większym filozofem; niechże minister Falk, Paweł Lindau, lub sam nawet zmarły Heine zaczną polemikę o tych olbrzymów ze wszystkimi biskupami katolickimi Niemiec, kto o niej będzie wiedział? Kółko literatów, kółko uczonych,—a zresztą fakt przejdzie zaledwo dostrzeżony przez oczy świata, nigdy nie stanie się p o p u l a r n y m, nigdy nie rozbudzi namiętności. Znowu dlaczego? Jest więc jakiś urok w tej Francyi, jest coś takiego w jej cywilizacyi, co czyni ową cywilizacyę blizką serca każdego narodu, co czyni ją dobrem, cenionem i uroczem, a wspólnem dla wszystkich. Cóż to jest takiego? — oto inicyatywa w idei, w czynie, a przedewszystkiem ogólno-ludzka typowość każdego objawu społecznego.

Gdy zastanawiam się nad historyą np. Prus, raz wraz spotykam się z następną zasadą: Prusy pragną się powiększyć, pragną zabrać taką a taką prowincyę sąsiedniego państwa, więc czyhają na nią, a gdy się zdarzy sposobna pora, to ją łapią. We Francyi przeciwnie: przeważa jakaś idea, ogólnie ludzka, nawet w wojnach. Franciszek I-szy broni się powszechnej monarchii; Ludwik XIV walczy w imię tej samej zasady, przeciw której występował Franciszek, i rozwija do najwyższego stopnia ideę królewskości; przychodzi rewolucya i bierze w ręce sprawę swobody i reformy nietylko we Fran-

cyi; po niej cezaryanizm wyrasta z demokracyi i wnet pragnie zostać także zasadą — słowem, nigdy tu prawie nie chodzi o to, żeby coś capnąć i na tem poprzestać. Tu każdy fakt zewnętrzny ma swoją wewnętrzną ludzką duszę i nietylko pruską, jak np. w Prusach, nietylko francuską, ale ogólnie ludzką, a przytem każdy jest zapowiedzią, lub nawet często wcieleniem jakiegoś zwrotu w umysłach i dążeniach całego świata. Idea staje się tu także najpierwej czynem. Choćbym się zgodził na tę rzecz wątpliwą, że filozofowie niemieccy są głębsi, a poeci niemieccy więksi od francuskich, to wszyscy, razem wzięci, są w takim stosunku do ostatnich, w jakim teorya jest do praktyki. Voltaire nie był wielkim poetą, ani jednym z najgłębszych filozofów, ale jest czynem, jest praktyką, jest wszczepieniem w życie pewnych kierunków myśli, jest reformatorem i działaczem. Podobną cechę nosi cała działalność umysłowa francuska. Poeci Francyi, uczeni i literaci nie są to gryzi-książki, gabinetowe móle, transcendentalni mędrcy, sami się tylko między sobą rozumiejący, ale agitatorowie, ale ludzie życia, walki i czynu. Tem się tłómaczy i ogólnie ludzki charakter cywilizacyi francuskiej. Czyn jest czemś dotykalnem. Gdy chodzi o uosobienie idei, szukamy naturalnie jej ciała w historyi i typową postać znajdujemy najłatwiej we Francyi. Królewskość — typ Ludwika XIV; walka

nauki z wiarą — typ Voltaire'a; rewolucya — typy: Robespierre, Marat, Danton; cezaryanizm —typy: Napoleonidzi; republikański radykalizm—Gambetta, Wiktor Hugo; ultramontanizm —Veuillot i Dupanloup.

Proszę mi pokazać takie upostaciowania kierunków, w typowych faktach lub osobach, gdzieindziej, a przyznam, że nie rozumiem, dlaczego cały świat zajmuje się tak Francyą i Paryżem. Tymczasem widzę, że wszelkie idee, wszelkie dążenia, najrozmaitsze objawy myśli i życia, wszystko, co jest i drzemie niedomówione, rozproszone i niesamowiedne w innych społeczeństwach, znajduje swój dotykalny i typowy wyraz we Francyi. Ludzkość więc patrzy na nią z tem samem zajęciem, jak patrzymy na dramat, w którym przedstawione namiętności są takież, jakie i w nas leżą w zarodzie, ale w dramacie spotęgowane i do znaczenia ogólnych typów podniesione.

Oto tajemnica uroku i znaczenia Francyi. Tego znaczenia i tego ogólnie ludzkiego charakteru jej cywilizacyi, nie odebrały jej i nie odbiorą ani zwycięstwa pruskie, ani nieszczęścia polityczne, ani jej urok wojskowy zgasły. Jak igła magnesowa ku gwiaździe polarnej, tak zwracały się ku niej umysły dawnych pokoleń, zwracają się dzisiejszych i będą zwracać przyszłych, nie dlatego, aby ludzie mieli być owca-

mi, ale dlatego, że taka jest natura rzeczy, i że słusznie jest tak, jak jest.

Widzieć złe i szpetne strony Francyi—nic łatwiejszego; twierdzić, że im się bliżej jest, tem te strony bardziej lezą w oczy — nic słuszniejszego; ale wywodzić stąd pogląd ogólny —nic błędniejszego. Raz w Luwrze długą godzinę spędziłem przed Wenus Milo. Przeczysty biały posąg dał mi prawdziwie błogą chwilę zapomnienia i zachwytu. Tylko piękność w najwyższem swem pojęciu i formach może tak działać, że człowiek, jakby Grek starożytny, wobec takiego posągu radby mirtem otoczyć jego boskie nogi i pochylić z prawdziwą wiarą przed nim głowę. Owóż, porwany przez urok bijący od tej promiennej postaci, chciałem ją widzieć jeszcze lepiej, niż widziałem, przysunąłem się więc najbliżej, jak mogłem i... urok zniknął. Ten marmur, który zdaleka wydawał się tak niepokalany, pokrywały skazy i rysy; znać na nim było starość, długie leżenie w ziemi i niszczącą rękę czasu; na piersi bóstwa szarzały plamy pleśni i wilgoci, na boskich nogach widniała żółtość. Patrząc z blizka i za blizko, nie ogarniałem całości, widziałem tylko plamy, skazy i brzydotę, ale gdym odszedł dalej, śliczna postać, jako całość, znów przemówiła do mnie: „jam jest piękna i wieczna, ja nie skłamię, nie zawiodę nigdy, bo piękność jest zarazem we mnie prawdą i naturą". Toż samo dzieje się i z

cywilizacyą francuską. Kto patrzy, jak blizkowidz lub przez mikroskop, na to wielkie dzieło, ten traci pojęcie całości; widzi tylko plamy i skazy na marmurze i błędne wyprowadza wnioski; kto jednak umie spojrzeć z tak trafnie obranej odległości, aby mu szczegóły nie przesłoniły ogółu, ten do wszystkich przymiotów tej cywilizacyi musi dodać jeszcze jeden — jej piękność, uzmysłowioną w rozwoju sztuk pięknych, zwłaszcza plastycznych.

Salon coroczny jest bijącym w oczy i dotykalnym dowodem tego rozwoju, i stąd wypływa jego znaczenie. Prócz francuskich, biorą w Salonie udział artyści całego świata, uznając tem samem mimowolnie Paryż za stolicę i ognisko sztuki, smak zaś francuski za najwyższego sędziego. Jakoż trudno w tych rzeczach być innego zdania. Malarstwo francuskie rozwinęło się później od włoskiego i flamandzkiego; ale temu właśnie zawdzięcza ów wysoki stopień, na jakim stoi obecnie. Artyści miejscowi skorzystali z doświadczenia wieków, przejmując przymioty i unikając wad, wytwarzanych przez szkoły. Przechodzili i oni przez okres naśladownictwa, konwencyonalizmu, szkolarstwa, zbytniej akademiczności, ale w ogólnym ruchu artystycznym szli ciągle naprzód, w czem smak, wrodzony całemu narodowi francuskiemu, był im doskonałym przewodnikiem. Dzięki temu smakowi i poczuciu prawdy, malarstwo oparło

się na naturze, na której to podstawie wspiera się i dotąd. Niemiecka sztuka dała przewagę idei nad formą, duszy nad kształtem zewnętrznym; włoska, w epoce odrodzenia, ukochała przedewszystkiem pyszną plastykę; flamandzka znów obrała sobie za cel głównie powszednią prawdę stosunków ludzkich i rzeczowych, zlekka zaledwie idealizowaną sposobem przedstawienia, kolorytem, rozkładem świateł i cieni. Francuzi nowocześni połączyli te trzy kierunki, co więcej, zdołali zachować między nimi prawdziwie estetyczną równowagę. Leżało to poniekąd w ich krwi, złożonej z pierwiastków rzymskich i germańskich, skutkiem czego poczucie ich artystyczne starało się pogodzić dwa odrębne te kierunki na zasadzie łączenia piękności formy z wyrazistością idei oraz na zasadzie prawdy, odnajdywanej w naturze.

Stąd wytworzyła się rodzajowość, polegająca na pochwyceniu pewnej idei życiowej ze strony szczególnie wyrazistej i poetycznej i na oddaniu jej w sposób równie naturalny, jak piękny. Przez to chwytanie życia za strony podnioślejsze, za idee i myśli poetyczne, uniknięto bez naruszenia prawdy powszedniości flamandzkiej. Francuz pragnął malować rzeczy i osoby równie dokładnie i równie charakterystycznie, jak Flamandczyk, jednakże nie poprzestawał na tem. Układ oryginalny świateł i cieniów, oczy patrzące z pod szerokiej kani kapelusza,

odbicie promienia na metalu lub wodzie, przeprzeświecania zagięć atłasu czy aksamitu, oddanie łudzące akcesoryów nie zadowalały go całkowicie. Francuzowi chodziło o to, aby te rzeczy i osoby, malowane najdokładniej, były same w sobie nietylko charakterystyczne, ale aby wyrażały jeszcze jakąś myśl trafną, jakąś prawdę piękną, schwytaną na gorącym uczynku, jakiś fakt wdzięczny lub szczególniej mówiący, lub wreszcie stan duszy, promieniejący prawdziwą życiową poezyą. Wytwarzana stąd rodzajowość, jako niezmiernie w znaczeniu swem obszerna, mogła pomieścić w sobie wszystkie prawie kierunki malarskie, a jednakże położyć na wszystkich, nie wyłączając historycznego, pewne właściwe sobie cechy.

Gdyby chodziło o nadanie jej nazwy, nazwałbym rodzajowość tę rodzajowością wyższą i upatrywałbym w niej główną charakterystykę malarstwa francuskiego. Zdrowy ten i dzielny kierunek potrzebował być poparty tylko biegłością techniczną i temperamentem prawdziwie malarskim, aby wytworzyć malarstwo znakomite, będące ideałem w swoim rodzaju. Otóż przymiotów tych Francuzom nie tylko nie zbrakło, ale przewyższyli nimi wszystkich zagranicznych malarzów. Gallicka wrodzona zdolność do uczenia się i chwytania w lot wszystkiego, jak zwykle taki w tym wypadku nie zawiodła; to też Francuzi pod względem tech-

niki niezaprzeczenie są mistrzami. Samego procesu malowania, zręczności, umiejętności we władaniu środkami, nikt nie doprowadził do tak wysokiego stopnia, jak oni. Rzecby można, że dary te od urodzenia na świat przynoszą, bo przecież nie uczą się ich na żadnej ławie. Paryż nie wytworzył żadnej nazwanej i uznanej szkoły, żadnej akademii, w którejby uczono malować kompozycyi i techniki, wedle przepisów i prawidełek, a kosztem indywidualności. Artyście dają tu w rękę pędzel i mówią: „Patrz w naturę, patrz w jej piękność, czuj jej prawdę, patrz w serce własne i maluj. Maluj na mocy tej wewnętrznej potrzeby, na mocy której ptak śpiewa; studyuj, pracuj, ale bądź zawsze sobą, bo inaczej będziesz rzemieślnikiem, nie artystą i będziesz kłamał, zamiast być szczerym". Taki jest nastrój ogólny, zdrowy, podniosły i potężny, a nawskroś artystyczny i właśnie dzięki temu nastrojowi Paryż, w którym niema szkoły, jest najlepszą szkołą malarską, jaka istnieje na świecie i skupia artystów całego świata, którzy, w imię sztuki, z zapałem w sercu, ciągną tu, jak cygańczuki bose, często o suchym chlebie, za sławą i nieśmiertelnością.

Przejęcie się przedmiotem, zamiłowanie sztuki, nakoniec skupianie się artystów o najrozmaitszych usposobieniach, bogatych i biednych, a zbratanych zawsze jednakim celem— wszystko to wpłynęło jeszcze na wyrobienie

się prawdziwego, nawskroś artystycznego życia, przepysznej bohemii, wyłączającej pedanteryę, a podtrzymującej wysoki polot ducha i poczucie artystycznego kapłaństwa. Nie potrzebuję przytem dodawać, że owo życie, tak rozwinięte, znalazło tu dla siebie grunt odpowiedni i bujny. Wzajemne oddziaływanie na siebie publiczności i artystów trwa tu ciągle i coraz staje się w skutkach widoczniejszem. Z jednej strony poczucie smaku i wrodzone zamiłowanie sztuki tutejszej publiczności podtrzymuje i zagrzewa artystów,—z drugiej strony artyści rozdmuchują coraz potężniej ową skłonność i wytwarzają smak coraz doskonalszy. Powtarza się tu poniekąd, choć na mniejszą może skalę, to, co miało miejsce w dawniejszych czasach w Atenach, a w czasie epoki odrodzenia we Włoszech. Sztuka staje się zamiłowaniem narodowem, nie wykwintnym przysmakiem, cenionym tylko przez łakotnisiów, ale koniecznym i popularnym pokarmem ogółu. Jeżeli dziś nie jest jeszcze tak zupełnie, to przynajmniej idzie ku temu, a spokój wewnętrzny i republikańska forma rządu, zapewniająca rozwój indywidualności, są jednym więcej dla takich dążeń warunkiem pomyślnym. Dziś już jednak, np. otwarcie rocznego Salonu, jest nietylko uroczystością artystyczną, ale niejako świętem publicznem, rodzajem igrzysk, w których ogół bierze żywy, bezpośredni i prawie

namiętny udział. Oto otwarta jest wystawa powszechna, oto zabawy i przyjemności uroczego Paryża nęcą, jak syreny, tutejszych mieszkańców; a jednak na polach Elizejskich roją się tłumy ciekawych, tłumy napełniają i wnętrze, oglądają, podziwiają, i w towarzystwach, w kołach nawet prostych, usłyszysz rozmowę o Salonie; gazety poświęcają mu ogromne swe łamy—słowem, Salon jest to fakt nietylko artystyczny, ale i społeczny, wielkiej wagi, którym zajmuje się cały Paryż, a za nim, jak zwykle, Francya i Europa.

Tegorocznemu Salonowi nie wróżono powodzenia. Obawiano się dla niego konkurencyi wystawy, obejmującej, jak wiadomo, również mnóstwo pawilonów, poświęconych sztukom pięknym,—ale obawiano się bezzasadnie. Najznakomitsze obrazy, przesłane na wystawę, były już wystawione w rozmaitych galeryach od jakich dziesięciu lat, zatem dobrze znane publiczności; tymczasem Salon nęci nowością; pod względem zaś ilościowym, przedmiotów sztuk, chyba wystawa właśnie mogłaby się obawiać jego współzawodnictwa. Sprawozdawcę, choćby nie wiem jak rozmiłowanego w swej roli, dreszcz przejmuje na widok katalogu, obejmującego blizko 5000 numerów (4958) przedmiotów, między którymi samych obrazów większych znajduje się około półtrzecia tysiąca (2330); rysunków, szkiców, kartonów około

półtora tysiąca i przeszło 1000 rzeźb. Wobec takiej liczby wystawa blednie, sprawozdania zaś muszą się ograniczyć do wyróżnienia kilku tylko znakomitszych dzieł sztuki i wreszcie do spisania wrażeń ogólnych.

Z tych ostatnich wywiązałem się już poniekąd, a przynajmniej starałem się wywiązać, obecnie więc nie pozostaje mi nic innego, jak wziąć za rękę czytelnika i zwrócić jego uwagę na obrazy, najbardziej rzucające się w oczy. Używam umyślnie tego wyrażenia: „rzucające się w oczy", bo, na które padną nagrody, komu na tem igrzysku przysądzą gałązkę oliwną, trudno przewidzieć, a niebezpiecznie byłoby zgadywać. W pierwszej więc zaraz sali zatrzymujemy się przed ogromnem płótnem, podpisanem Carolus Duran. Jest to malarz może najznakomitszy we Francyi; zwą go jednak najwięcej znanym. Obraz jego jest wielkiem malowidłem pułapowem (plafond), przeznaczonem do jednej z sal muzeum w Luksemburgu. Treścią jego: apoteoza Maryi Medicis.—„Gloria Mariae Medicis", jak mówi tytuł. Dziwny zaiste wybór przedmiotu, dziwna „gloria" tej Włoszki, którą historya sadza na ławie oskarżonych o występki i zbrodnie, a na którą żaden sąd przysięgłych historyków nie może wydać innego werdyktu, jak „winna". Ale pędzel również, jak poetyczne pióro, ma swoje „licencye". Na pierwszy rzut oka jednak owa „gloria" prze-

raża prawie widza, który mimowoli pyta się, czy to czasem nie jaka straszliwa kara Boża, czy to nie zatracenie jakiejś Sodomy lub Gomory. Na obrazie wszystko się wali: wali się świątynia, walą się ludzie, których postacie, powyginane w konwulsyjne skruty, wyglądają, jakby napróżno, przez straszliwe wysilenia muskułów, pragnęły uchwycić równowagę.

Owe walenia się dostarczyły już materyału do żartów. Nazwano obraz katastrofą z ulicy Béranger, trzęsieniem ziemi, wybuchem miny prochowej, słowem, zawsze katastrofą; obraz zaś jest poprostu tylko pułapem. Rysunek postaci, przeznaczonych na ozdobę pułapu, musi być inny niż zwyczajny i inaczej wyrachowany, gdyby bowiem rysowano je tak, jak się rysuje na zwykłym obrazie, wówczas ludzie, domy, drzewa wyglądałyby z pułapu, jak leżące na bokach. Tymczasem muszą one tam stać prostopadle do ziemi, muszą podstawę mieć niżej, a głową iść w górę — i na obrazie C. Durana pójdą, gdy tylko obraz zostanie umieszczony nad głowami widzów, nie zaś na bocznej ścianie.

Wyobraziwszy sobie raz obraz nad głową, można już w nim rozpatrzyć się spokojnie. Marya de Médicis zajmuje środek kompozycyi, siedząc na wspaniałym tronie w cieniu świątyni greckiej. Sprawiedliwość i Religia, które— jak mówi „Figaro" — widocznie nie miały

w tym dniu nic lepszego do roboty, wieńczą skronie królowej. Prawda — naga, jak zawsze powinna być prawdą, —trzyma przed nią zwierciadło. Nieco niżej patrzą na królowę starcy, wojownicy, piękne kobiety, młodzieńcy, przepyszne i malownicze grupy, od których bije ta powaga, ta piękność,—młoda, bogata życiem, pełna zachwytu. Ręce podniesione ku górze, nawpół otwarte usta, deszcz kwiatów; przysiągłbyś, że te tłumy oczyma powznoszonemi do góry śpiewają w upojeniu: „chwała! chwała tobie!"

Tego upojenia jednak jest tyle, powietrze tak gorące, kwiatów taka obfitość, ruchy tak gwałtowne, że chwila jeszcze, a upojenie zmieni się w szał; chwila jeszcze, a dziewczęta rzucą się w objęcia młodzieńców, pocałunkami wpiją się w ich usta, oplotą ich ramionami; świat im się w oczach zaćmi, apoteoza przejdzie w jakieś święto Bachusa — w orgię. To wada obrazu. Co uczynią wówczas Religia i Sprawiedliwość? Przecie nie wypada im puścić się w taniec z bachantkami. Czy naga Prawda nie zawstydzi się wówczas swej nagości — i co się stanie z apoteozą? Artysta chybił tu celu, bo postaci jego, jak na apoteozę, nadto są krwiste i nadto wytężone. Energia ich może jest zaletą malarza, ale wadą obrazu.

Co do mnie, nie lubię takich przedmiotów,

jak wszelkie apoteozy. Artyście, gdy maluje rzeczy sprzeczne z siłą ciążenia, łamiące prawa natury, trudno być szczerym, trudno je czuć naprawdę i wypowiadać z serca. Ale, skoro ma być apoteoza, niechże będzie apoteozą, niech anieli unoszą nawpół cielesne postaci ludzkie ku niebu, niech grają sfery niebieskie, niech będzie zresztą co chce, byle nie to, byle nie był ostatni akt baletu, w którym pozują pięknie rozwinięte lędźwie i piersi.

A jednak zebrało się Francuzom na apoteozy, bo obok Maryi Medicis stoi zaraz druga, mało co w rozmiarach mniejsza — apoteoza Thiersa. Autorem jej jest Georges Vilbert, artysta równej sławy i kwitnący. Thiers w trumnie, przy nim niewiasta w żałobie, nad trumną anioł chwały; za trumną straszna, ze szklanemi oczyma i otwartemi usty leży martwa druga niewiasta zamordowana widocznie, bo krew skrzepnięta wytworzyła ohydną kałużę koło jej kredowej, pełnej nienawiści, twarzy. Martwa jej ręka trzyma pochodnię, która jeszcze się pali. Czerwony jej ubiór w łachmanach. Zgadujecie, że pierwsza z tych kobiet, ubrana w elegancką żałobę, jest Francya, druga, z krwią okrzepłą na sinych wargach, Komuna. Pierwsza: to dama, druga: nędzarka. Ten, który leży w trumnie, zabił nędzarkę, by uratować damę — i stąd jego chwała. Co za dziwna apoteoza! Nad trumną jakieś regiony mistyczne powietrz-

ne, a w nich rozruch między duchami; pełno postaci we mgle i promieniach. To najlepsza strona obrazu, ale ta krew na pierwszym planie, tak nędzna, a jednakże francuska, jako podstawa chwały Francuza. „Les hommes d'esprit se trompent quelquefois" — powiedział o Vilbercie jeden z krytyków; i ja podzielam to zdanie. Zresztą, są fizyognomie takie jakieś małomieszczańskie, takie „bourgeois", że żadną miarą nie nadają się do apoteozy. Wolę więc nie zatrzymywać się dłużej nad tym przedmiotem, a przejść do malarstwa religijnego, którego Betsellère i Doré są głównymi przedstawicielami.

Betsellère to jeszcze pacholę prawie, ale spodziewają się, że z tego pacholęcia wyrośnie olbrzym. W malarstwo religijne dziś mało kto wierzy —on jest malarzem religijnym. Odwaga niepospolita. Być dziś prawdziwym malarzem religijnym, trzeba być wewnątrz innym od większości świata; być innym—jest to narazić się na niebezpieczeństwo, że świat artysty nie zrozumie. A jednak Betsellère dał obraz Jezusa, uciszającego burzę na jeziorze Genezareth. Obraz to znakomity. W powietrzu burza prawdziwa, woda zmieszana z powietrzem, szarpanina wichru, fal, ciemności, rozpętania się żywiołów i chaosu. Wśród tego łódź. „Ci leżą nawpół martwi, ów załamał dłonie", jak mówi Mickiewicz. Apostołowie jedni ucieka-

ją, jeszcze inni już tylko się modlą. Twarze, wyrazy uczuć, natura—wszystko głęboko odczute i pojęte. Obraz się podoba i nie brak takich, którzy mu nagrodę, a artyście świetną przyszłość przepowiadają.

Doré dał na Salon tegoroczny aż dwa obrazy: „Ecce homo" i „Mojżesz przed Faraonem". Na pierwszy rzut oka można w nim odgadnąć rękę illustratora Biblii. Dziwna jednak rzecz: Doré w rysunkach swych ma wszystkie zalety kolorysty. Nikt nie umie tak, jak on, z efektów światła i cienia, z białego tła papieru i czarnego ołówka wydobywać kolorytu. Jego poranek ma lekkie, świeże i wilgotne tony poranku, jego pustynia tchnie gorącem, jego każdy krajobraz ma właściwą sobie barwę. Otóż ten wielki kolorysta ołówka jest małym, a raczej żadnym kolorystą, gdy ma do czynienia z farbami. Obrazy jego olejne są szare, jednostajne i zimne. Rysownik nie zna się na rzemiośle malarskiem, a przytem, przyzwyczajony rysować z głowy, nie używa modelów. „Farby i płótna — powiedział o nim dowcipny sprawozdawca — kosztowały setki franków, modele może z pięć sous". Skutkiem tego niedokładności, jakie w rysunkach o małym formacie nikną, występują na jaw w wielkich obrazach. Artysta przytem produkuje tyle i z takim pośpiechem, że „wymalowałby w sześć miesięcy Paryż ze wszystkiemi fortyfikacyami". Anglicy

zakupują hurtownie jego obrazy, ale krytyka odzywa się o nim coraz chłodniej, a nawet zgoła uszczypliwie.

Wyższa rodzajowość, o której wspomniałem na początku listu, zdaje się być jednak nie tyle kierunkiem najogólniejszym między francuskimi malarzami, ale zarazem najbardziej odpowiadającym naturze ich talentów. Nalepsze obrazy w Salonie są tego niezbitym dowodem. Od niektórych z nich trudno istotnie oczy oderwać. Oto, naprzykład, Manon Lescaut p. Dagnan Bouveret. Tłumy zbierają się przed niektóremi ogromnemi malowidłami, rozmawiają, robią uwagi, chwalą lub ganią i przechodzą: przed tym małym obrazkiem ludzie stają i milczą, lub zamyślają się głęboko, a odchodzą z westchnieniem. Jest to perła Salonu— arcydzieło księdza Prévost może istotnie natchnąć malarza. Prosta ta i żałobna kronika miłości przemawia do każdej wyższej duszy szczęśliwej i nieszczęśliwej, wzrusza każde serce szlachetne, pragnące wierzyć, że ponad tym światem płaskim, zwietrzałym, nudnym, kłamliwym jest jeszcze coś świętego, coś wyższego, coś nieśmiertelnego, dla czego żyć warto, a jest to miłość prawdziwa. Tyle też szczęścia jest na świecie, ile promyków padnie z tego słońca na duszę ludzką. Kto potrafi napisać książkę, w której dwoje ludzi kocha się poprostu a ogromnie, i mówi z serca, ten zawsze napisze

arcydzieło. Takie arcydzieło, takie dwa typy młode, śliczne i zakochane w sobie na śmierć stworzył Abbé Prévost. Miłość bije od tej książki, i prawda żywa, jak krew i serce ludzkie, bije z niej także. Tam wszystkie piękności, wszystkie efekta nie są obliczone naprawdę, ani wymyślone, tam płyną z tego źródła, z którego nic innego, jak piękność i poezya, płynąć nie może. Ani Chevalier de Grieux, ani Manon Lescaut nie wiedzą, jak są piękni: on — jako mężczyzna, jako typ najwyższy męskiego fanatyzmu i wytrwania w miłości; ona — jako uosobienie kobiety i kobiecych uczuć. W nim nic niema prócz miłości — ogień ten święty przepalił i wypalił wszystko inne, wszystkie dążenia, porywy, nałogi,—pochłonął go i ogarnął całego raz na zawsze, uczynił go fanatykiem, owym typem nazareńskim, jak podobne charaktery nazywa Heine, oddanym jednej tylko zasadzie, żyjącym w niej wyłącznie i przez nią; ona — to typ heleński, świetny, przepyszny, a swawolny i nawet płochy, pragnący miłości, umiejący kochać, ale pragnący od życia także wszystkiego, co jest rozkoszą, pięknem, różnostronnością szczęścia, zachwytem i przyjemnością.

Gdy mężczyzna kocha tak wiernie, po męsku, a kobieta tak wiernie po kobiecemu, gdy oboje są młodzi bardzo, piękni i pełni prostoty, stosunek ich do świata jest tego rodzaju, że

musi się wyciągnąć z niego jakiś rozdzierający serce dramat. Dla dwojga dzieci miłość i szczęście w niej jest najwyższem prawem i jedyną moralnością; ale społeczeństwo trzyma się innych zasad i prawideł — stąd więc kolizya. I dzieci giną najczęściej w tej kolizyi. Burza porywa je, jak dwa listki róży, i niesie na Golgotę, a następstwem tych stacyi krzyżowych— zwycięstwo przemocy nad słabością, czegoś wielkiego nad małem, burzy nad kwiatkiem. Czyż jest jedno serce ludzkie, któreby nie uderzyło dla dzieci, dla dwojga biedactw, dla dwojga gołąbków, nad któremi ciąży i mści się straszna i wszechpotężna siła całego świata? Więc ofiara się spełnia, ale jest sfera wyższej jakiejś, niż pospolita, moralności, w której sympatya dusz wybranych bierze owe dwoje dzieciątek w opiekę, wieńczy ich groby, jak Romea i Julii w Weronie, przebacza ich grzechy, i nietylko przebacza, ale grzesznemu de Grieux będzie zawsze najczystszym płomieniem przed ołtarzem miłości, a na twoich nogach, płocha i śliczna Manon, usta ludzkie powinny składać pocałunek czci i uwielbienia.

Ta sfera moralna, to niebo, w którem świętymi są Romeo, Julia, de Grieux i Manon Lescaut, zowie się sztuką. Sztuka nie wspomni o tysiącach porządnych i poczciwych filistrów, którym życie płynęło wedle przepisów prawnych i policyjnych, a wyciągnie ręce do ta-

kich gwiazdek błędnych. Romeo i Julia znaleźli swego Szekspira, de Grieux i Manon swego Prévosta — i swego Dagnana-Bouvereta. Artysta wybrał tę chwilę, w której de Grieux grzebie grób dla ukochanej Manon. Manon skazaną została, jak wiadomo, na wypędzenie do Ameryki. De Grieux pojechał za nią. Szczęście poczęło im się już uśmiechać, gdy nagle zagroziło im znowu rozłączenie. Postanowili uciec. Gdzie? — gdzie oczy poniosą, w pustynię, na bory, stepy i lasy. Przecie niepodobna, aby na świecie całym nie było spokojnego schronienia dla dwojga serc zbolałych i zakochanych. Ale Manon zmarła w drodze. Na pustyni został sam de Grieux, a przy nim martwa Manon, jego wszystko, jego skarb największy i jedyny. Dalej mówię już jego słowami własnemi, bo mnie nie stać na podobnie tragiczną prostotę: „Postanowiłem ja pogrzebać (mówi de Grieux) i oczekiwać śmierci na jej mogile. Nie było mi trudno w miejscu, w którem się znajdowałem, otworzyć ziemię; było to pole piaszczyste. Złamałem swą szpadę, aby się nią posługiwać przy kopaniu, ale mniej miałem z niej pożytku, niż z własnych rąk..."

Obraz Dagnana Bouvereta przedstawia tę chwilę: De Grieux klęczy przed dołem, nawpół już palcami wygrzebanym; ale, zmęczony, przerwał robotę. Zakrwawione ręce wsparł na kolanach, pokrytych piaskiem, i oczy utkwił w

trupa leżącej obok Manon. Ona śliczna zawsze, ale już cicha, blada,—trzeba ją będzie ułożyć w ten dół, zasypać piaskiem — zakopać Manon, powiedzieć sobie potem, że to już naprawdę, że to już nazawsze, że Manon niema. De Grieux ostatni raz patrzy na nią i nie potrzebuję wam opisywać, co widać w tych oczach, ostatni raz patrzących na umarłą, ukochaną nad wszystko istotę. Książka mogłaby nie istnieć, a każdy, na widok tego obrazu, stworzyłby takiż sam poemat we własnem sercu. To najwyższa pochwała tego obrazu. W dali pustynia piaszczysta, sucha, nielitościwa, lekki wiatr zaledwie porusza włos na czole de Grieux; nad nim niebo obojętne, pogodne, milczenie naokoło, świeżo poruszony piasek, oczy, wpatrzone ostatni raz — i... nieszczęście, jako dusza wszystkiego, jako ogólna idea obrazu, oddana z takiem uczuciem i mocą, że ludzie, stojący przed obrazem, zamiast mówić, szepcą i oddalają się z ciężkiem sercem.

O zaletach technicznych obrazu mówić nawet byłoby zbytecznem.

Gdy cesarz Józef rzekł do Mozarta po wysłuchaniu Don Juana: „Za dużo nut, mój Mozarcie!" — odpowiedział spokojnie: „Ani jednej więcej nie potrzeba, N. Panie". Toż samo mógłby odpowiedzieć Dagnan Bouveret. Tak malował, jak czuł, że jest dobrze i właśnie dlatego jest dobrze. Nawet zbytnia wykwintność ubioru de

Grieux i Manon nie jest wadą, bo charakteryzuje wiek. W rzeczywistości mogło być inaczej, ale wolna wola w tem artysty. Zresztą wspomniałem, że w sztuce malowania Francuzi są mistrzami, a już też musi być nim i Dagnan Bouveret, skoro umiał wyrazić z taką siłą i takiem uczuciem to, co wyraził.

Na tym obrazie zakończę pierwszy mój list o „Salonie". W następnym powiem o kilku jeszcze znakomitych obrazach, a przedewszystkiem o obrazach malarzy polskich, którzy wystąpili nietylko bardzo licznie, ale i bardzo wybitnie.

Gazeta Polska. № 136, 137, 139 i 140 z dnia 18, 19, 22 i 24 czerwca 1878 r.

Listy Litwosa z Paryża.

II.

Sto tysięcy franków nagrody.

Jeśli wyścigi w naszej skromnej Warszawie są uroczystością wielkiego świata, łatwo możecie zrozumieć, jaką rolę grają w Paryżu, a zwłaszcza, jaką odegrały w tym roku, w którym wystawa zgromadziła setki tysięcy cudzoziemców ze wszystkich stron świata.

Trudno więc sobie wyobrazić publiczność więcej kosmopolityczną, niż ta, która dnia 16 czerwca zalała od samego rana lasek Buloński. Była to prawdziwa wystawa antropologiczna, wobec której zbladła skromna, poświęcona antropologii, wystawa przy Trocadero. Komuby goście wyścigowi pozwolili badać swoje czaszki, ten znalazłby tu egzemplarze, o jakich nie śniło się może w najbardziej uroczym śnie żadnemu badaczowi. Antropolog odkryłby tu okrągłogłowe, długogłowe, płaskogłowe, należące do wszelkich ras, pokryte skórą wszelkich odcieni i włosami wszelkich przecięć; moralista, nie przesądzając ras i narodowości, od-

różniłby może kategorye ciasnogłowych, pustogłowych lub półgłowych; każdy, nakoniec, mógłby zapomnieć, że się znajduje w Paryżu, a pomyśleć, że jakaś siła nieznana zamieszała nagle w mrowisku ludzkiem, jak w garnku, lub że lasek Buloński i Longchamps to dolina Józefata, na której narody ziemi wyprawiły sobie, w wigilię sądu ostatecznego, majówkę.

Wszystko też było strojne, świąteczne i wesołe. Wybrałem się wcześnie, bo zaraz po dwunastej, aby przyjrzeć się nietylko koniom, ale i ludziom; wybrałem się zaś w towarzystwie reportera „L'Evénement", z którym przed paru dniami zrobiłem znajomość, a który, jako znający dobrze Paryż, tuzy paryskie i znakomitszych gości, przybyłych z powodu wystawy, mógł być doskonałym przewodnikiem.

Zresztą, jeśli nawet kogoś nie znał, to kłamał o nim z taką niezachwianą ufnością w to, że mu wierzę, że aż miło było słuchać. Ale mniejsza o to. Pogoda zdawała się sprzyjać uroczystości. Chmury piętrzyły się miejscami na widnokręgu, jednakże przestrzenie czyste przeważały; przytem na Mont-Valérien mieniła się czas jakiś tęcza, jakby na znak, że najwyższa administracya nie ma nic przeciw wyścigom; grupy zaś drzew w lasku, dalekie budynki, wieże i szczyty wzgórz przesłaniały się tym ciemno-błękitnym odcieniem, coraz ciem-

niejszym i coraz błękitniejszym, w miarę oddalenia, przezroczystości powietrza i ustalającej się pogody.

Lasek wydawał się prześlicznie. Kto go zna, niech sobie przypomni te malownicze partye drzew, te wzgórza, pokryte sośniną i wonieją-ce żywicą, aleje, ocienione liściem grabiny, cichą głębią gąszczów, pełność zielonawych świa-tłocieni spokoju jeziora, jak lustra, i nakoniec otwartą daleką perspektywę w miejscach, nie-przysłoniętych drzewami.

W dniu uroczystym tłumy, napełniające wszystkie ulice, dodawały jeszcze tej miejsco-wości ożywienia, malownicze zaś kostiumy spra-wiały wrażenie jakby wielkiej jakiejś maskara-dy pod gołem niebem. Tu, z pod białych tur-banów, widać było płomienne oczy i śniadą cerę Arabów; tam znów synowie państwa nie-niebieskiego o długich warkoczach, błękitno o-dziani, tworzyli ruchliwą i wielomówną gru-pę; tam po „sombrerach" poznawałeś Brazyli-czyków lub Meksykanów, po fezach — Tur-ków i Greków, po długich paletotach — Angli-ków; słychać było wszystkie języki, można by-ło przypatrzyć się wszelkim typom, zrodzonym nad Sekwaną, Wisłą, Rio-Grande, Amazonką, Nilem, Bramaputrą, Sprewą i Tamizą. Tłumy roi-ły się tak gęsto, że całe aleje wydawały się, jak pstre, poruszające się węże; ogromne nawet trawniki również były pokryte; głównemi zaś

drogami ciągnęły rzędy zwykłych powozów, lub pysznych charakterystycznych ekwipaży, przypominających różne narodowości, lub różne stulecia.

Wszystko to biegło bawić się, patrzeć, zakładać, wygrywać, przegrywać i krzyczeć. Wielu ciągnął interes, wielu chęć zobaczenia znakomitości paryskich i zagranicznych: głów koronowanych, ministrów, książąt i t. p. Niektó rzy przyszli widzieć pojazdy, inni kobiety, w nich siedzące, inni stroje. Wyścigi paryskie są dla Paryża, a raczej dla Paryżanek, i z tego jeszcze względu ważne, że rozstrzygają kwestyę mody na sezon letni. Setki tysięcy kobiet idą zobaczyć, jak wystąpi modny świat, jak te a te panie będą ubrane? jakie kolory zwyciężą? w jaki materyał i jakim krojem ubierze się ambasadorowa A., księżna B., hrabina C., kokota D.? jakim piórom, jakim kapeluszom, jakim kwiatom dadzą przewagę? Od ich wyroku zależą wydatki damskie i kieszenie mężowskie, to też kobiety drżą z niecierpliwości, a mężowie zanoszą pocichu modły, aby zeszłoroczna moda utrzymała się przez rok jeszcze; wszyscy zaś gapią się na pojazdy, z których królowe mody wydają nieodwołalne edykta.

W południe aleje i drogi są już tak napełnione, że niepodobna się przecisnąć. Niebo posępnieje cokolwiek, ale to nie zraża nikogo. Kupcy tylko, sprzedający chłodzące napoje,

badają niespokojnie oczyma horyzont, bo, jeśli deszcz lunie, nikt nic pić nie będzie.

Przewodnik mój zna wszystkich i rozprawia za czterech. Oto ciągnie jakiś powóz, zaprzęgnięty czterema końmi, a w nim Chińczycy. To Tiu-Tuu-Ling, wielki ambasador kwiecistego państwa, ze świtą. W następnym, pan Maeda, pełnomocnik japoński ze swymi sekretarzami, poubieranymi już po europejsku, w cylindrach, z różyczkami w dziurkach od surdutów. Chińczycy, na widok dobiegających na wyścigach koni, krzyczą jeszcze: „O-hi! Jam-jam! O-hi!"—Japończycy już po europejsku: „Hurrah!" I jedni i drudzy wyjechali bardzo wcześnie, aby pokazać, jak dalece wszystko, co jest ucywilizowane, ich obchodzi — trzymają przytem grube zakłady, co także jest dowodem rozwiniętej par excellence cywilizacyi.

Charakterystyczne lub nadzwyczaj piękne pojazdy coraz częściej ciągną jedne za drugimi. Siedzące w nich osobistości dowodzą, lub przeczą prawdzie przysłowia: „Wart Pac pałaca". Ten np. dżentelman w towarzystwie dwóch innych, podstarzały mocno, a pragnący widocznie uchodzić za młodszego, niż jest, to, ni mniej ni więcej, tylko książę de Broglie, ów przyjaciel „porządku moralnego", który dla tego porządku pragnął wymieść ulice Paryża... kartaczami. Wymiatanie jest przecie koniecznym

warunkiem porządku, na nieszczęście jednak dla pana Broglie, przy republikańskich pojęciach o porządku, on sam stał się czemś kwalifikującem się do wymiecenia. Pozostaje mu teraz przepowiadać wraz z ojcem Dupanloup'em koniec świata, i dziwić się, jakim sposobem Francuzi bez niego nie spalili jeszcze Paryża i nie pozjadali się wzajemnie, a, nakoniec, nadrabiać miną. Ale to ostatnie niezbyt mu się udaje; cera też starego intryganta pożółkła, faworyty zbielały, a z twarzy znikły ślady owej dawnej energii, pychy i zaciętości, pomieszanej z chytrą inteligencyą. Starzec ów, którego widziałem śpieszącego na wyścigi, wozi swój własny grób w sobie. Jako polityk, umarł już— i co więcej: ziemia mu cięży, i pamięć ludzka cięży. Tak przechodzi chwała świata. Wypomadował się, wyróżował, wyszczotkował: jedzie oto na Longchamps. Założył się przytem za francuskim koniem przeciw angielskiemu; niechże mu nie mówią, że nie patryota.

Za powozem Broglie toczy się zwolna „wiktorya" Rotszylda. Ciągną ją koniki, zakupione od lorda Westminster, za skromną sumę czterdziestu tysięcy franków. Pani Rotszyldowa ubrana cała szaro ze srebrem. „Tę suknię już znamy! w tej samej sukni drugi raz, i kto? Rotszyldowa!" — wołają oburzone kobiety. „To grzech nie do darowania! Czyżby nakoniec damy wielkiego świata postanowiły być skrom-

niejsze od kobiet półświata?" Nikt nie chce w to uwierzyć, mężowie jednak oddychają lżej, bo oto w następnym pojeździe księżna Medina Sidonia ma znowu jakąś mantylę hiszpańską, widzianą już tam raz gdzieś, na jakiejś uroczystości. Na szczęście piękna Judic zawstydza obie poprzedzające. Rozkoszne jej kształty, nawpół leżące w powozie, obciśnięte są w suknię, robioną krojem z czasów Dyrektoryatu. Jest to poprostu futerał, który, pokrywając, uwydatnia, ale co za krój! co za materyał! co za koronki! Oczy kobiece lgną do tylu rozkoszy, męskie lgną także na swój sposób. Na głowie hurysy piętrzy się nie wieniec, nie bukiet, ale poprostu kosz róż. Konni cziczisbeje przy powozie, otaczający piękną panią, zdają się napawać wonią tylu róż, z pod których padają na nich płomienne spojrzenia. „Comme elle est belle!"—szepcą zcicha kobiety, ale tymczasem przed oczyma ich przesuwają się coraz nowe pojazdy. Reporter zna naprawdę wszystkich, a gdy cytuje kolejno nazwiska, zdaje mi się, że czytam jakąś kronikę, wymieniającą imiona rycerzy z pierwszej wyprawy krzyżowej. Hrabia Bourgoing, margrabia d'Arcicollar, margrabia Rajmund de Ganay, Aguado, lord Falmouth, książę Fitz-James, książę Saint-Albous, Abercorne, Baïano, d'Himnisdal, d'Hautpoul, książę de Nemours, książę d'Aumale — od nazwisk biją średnie

wieki; sądzisz, że to żelazne jakieś feodały, śpieszą pod wodzą Godfryda do Palestyny,—ale złudzenie krótko trwa. Ci nowożytni Rajmundowie, Bohemmondy, Tankredy, nie wyglądają zbyt groźnie. Na głowach ich, zamiast hełmów, błyszczące cylindry, na piersiach nie pancerze, ale róże w butonierkach, binokle na oczach, czasem jakieś niewinne szlify i wstęgi, czasem parasole, pod niemi nie twarde kulbaki, ale miękkie poduszki; obok nie giermkowie, ale damy w koronkach, atłasach i jedwabiach—celem nie Palestyna, ale Longchamps, hasłem: „Insulaire", rumak pana Lagrange, odezwem: „trzy przeciw jednemu"—zasadą bytu?.. Dalibóg, nie wiem co! Rotszyld od nich bogatszy, pierwszy lepszy dziennikarz mądrzejszy, lud liczniejszy. Ale mniejsza o to! Złudzenie wieków średnich i tak rozpraszają plebejskie nazwiska i plebejskie powozy, pomieszane z patrycyuszowskimi. To znowu innego rodzaju arystokracyą. „Spojrzyj pan na tę twarz" — mówi reporter, ukazując na człowieka, wygolonego starannie, jak ksiądz, lub aktor, o długich włosach i inteligentnych, choć cokolwiek ostrych rysach. „Kto to taki?" — „To Witkoryn Sardou, a ta dama w bieli i kwiatach jaśminu to pani Sardou".—Komedyopisarz, literat, i w takim powozie? Reporter, ze swego francuskiego stanowiska, znajduje to naturalnem, mnie przychodzi na myśl, że u nas nawet wydawcy

takich pojazdów nie mają. Łatwiej umiem sobie wytłómaczyć, że w następnem, pysznem „landau" jedzie mister James Gordon Bennet, bo to nie literat, ale właściciel i wydawca Heralda, najbogatszej na świecie gazety. Król dziennikarski ma zapewne na Longchamps swego umyślnego korespondenta, a Herald, wychodzący za Oceanem, nie dalej, jak jutro, poda szczegółowy opis wyścigów, przesłany w całości podmorskim telegrafem. Publiczność jednak rozczarowywa się; sądziła bowiem, że, obok Benneta, zobaczy i Henryka Stanleya, ale sławnego reportera niema w powozie, choć wiadomo, że jest w Paryżu, i że założył się już za koniem angielskim przeciw francuskiemu.

Rozczarowanych pociesza jednak widok Sary Bernhardt. Osyaniczna dziewica ubrana biało i spoczywająca na białych poduszkach powozu, wśród koronek tiulowych mgieł i gazy, wygląda, jakby jechała na chmurze.—Biały kolor zwycięża! biały będzie modny!—szepcą kobiety. Inne twierdzą, że to tylko „genre" Sary Bernhardt. Wielka artystka rzuca tymczasem omdlałe spojrzenia, jakgdyby miała umrzeć. Ale to także „genre" tylko, nic więcej.

O pierwszej defilada powozów staje się tak gęsta, że na każdą znakomitość zaledwie raz okiem rzucić można. Pokazują mi jednak pana de Marcère, ministra spraw wewnętrznych; dalej białą brodę Wiktora Hugo; potem następują je-

szcze powozy artystokratyczne, w których tualety księżnej Czartoryskiej i pani Branickiej zwracają ogólną uwagę, zaledwie osłabioną przez moskiewską trójkę Orłowa. Za niemi ciągną ambasady rozmaitych narodów białych, ciemnych lub żółtych; to znowu jakiś minister, to jakaś dama, słynna z bogactw, piękności, albo talentu: boska Théo z Bouffes, jenerał Cissey, panna Reszke, margrabia Gallifet, za nim opasły Gambetta, słowem: możnaby powiedzieć, jak ów sowietnik w Dziadach: „jak się tu pomieszały czyny!" ale to nic dziwnego, bo wobec najwyższego majestatu i największej znakomitości wszystkie inne gasną i stają się równe, taką zaś największą znakomitością jest Insulaire, koń hrabiego Lagrange'a, prawdziwy król dnia dzisiejszego, na którego kopytach spoczywają miliony zakładów i ciężkie zadanie pobicia angielskiego rywala.

Nakoniec, o drugiej pojawia się orszak urzędowych powozów. W pierwszym z nich siedzi marszałek z szachem perskim; lud krzyczy wiwaty, król królów zaś w dowód wdzięczności kiwa uprzejmie głową i sążnistymi wąsami i migoce brylantami, pokrywającymi mu całe piersi. Marszałek wraz z szachem, po przybyciu na miejsce, zajmują pryncypalną trybunę. Obok nich mieści się królowa Izabella hiszpańska, koło której napróżno szukam pana Breslauera z Warszawy; pani marszałkowa, której

„robi kurę" książę Aosty, dalej arcyks. Wiktor austryacki, książę koburski, księżna Klementyna, minister Teisserenc de Bort, Orłów, de Wimpfen i dwie świty, jedna marszałkowska w stosowanych kapeluszach, druga wąsata, czarniawa, w baranich czapkach—świta szacha.

Pod spodem tłum głów, kapeluszy i parasolek, jak ocean. W środku majdanu rżą konie, nawołują woźnice, krzyczą policyanci, przepychają się ciekawi, a nad tem mrowiskiem ludzkiem powiewają chorągwie francuskie i angielskie, na znak, że walka między Francyą a Anglią ma się rozpocząć.

Między tłumami widać czasem konnych członków Dżokej-klubu: fizyonomie jednocześnie poważne i zaperzone; przysiągłbyś, że ci ludzie za chwilę rozstrzygnąć mają losy świata i czują całą odpowiedzialność, jaka na nich ciąży. Rozmowy ich szybkie, ale jak ważne. Oto Insulaire ziewnął, Klementyna podniosła trochę ogona! Dlaczego? Co to znaczy i co o tem myśleć? Tymczasem zakłady idą coraz goręciej; bookmakerowie wrzeszczą w niebogłosy: „trzy przeciw jednemu! cztery przeciw pięciu na Insulaira! trzydzieści przeciw Thuriowi. Przy budkach ścisk, słychać brzęk pieniędzy. Modne damy, na równi ze sportsmenami, zapisują w książeczkach zakłady, a gra nabiera coraz większej wagi, bo istotnie poczyna chodzić nie-

tylko o miłość własną narodową, ale o miliony. Raptem jednak gorączkę zakładową przerywa okrzyk:

— Vive Stanley!

— Vive Stanley! — powtarzają tłumy, otaczając jakiegoś jegomościa o ciemnej maurytańskiej cerze, ubranego w biały angielski hełm z żaglowego płótna. Vive Stanley! Na ręce go! w górę! I po chwili, na setkach rąk podniesionych widać człowieka podrzucanego, jak piłkę, który widocznie nie wie, czego od niego chcą, wierzga nogami, wali pięściami i klnie na czem świat stoi po... holendersku. Policya przychodzi wreszcie na ratunek nieznanemu Stanley'owi, ale dopiero pierwszy dzwonek na trybunie uśmierza zamieszanie.

O główną nagrodę stu tysięcy franków ma się ubiegać tylko siedem koni. Insulaire pana Lagrange, na którym wszystkie nadzieje francuskie się wspierają; Clocher, zawodnik dzielny i sławny, którego centaurowska budowa jedna mu także partyzantów; Juval, również ze stajni Lagrange'a, piękna Klementyna, w której kochają się członkowie Jokej-Klubu; dalej mniej groźni przeciwnicy: Boulouf, Géant, Stathuder i nakoniec Thurio, jedyny koń angielski, zrodzodzony i wychowany za kanałem, a będący własnością Sołtykowa.

Francuzi z góry cieszą się ze zwycięstwa nad Anglikiem, albowiem Thurio jest osobisto-

ścią wcale nieznaną. Jeździ wprawdzie na nim jeden z najsławniejszych dżokejów na świecie, Cannon, ale rumak wcale nie wiele obiecujący. Zwycięstwo będzie łatwe, a Lagrange podtrzyma francuską sławę. Jego Insulaire był wprawdzie pobity na Derby przez Seftona, ale tylko o pół głowy. Jeżeli kto może być dla Insulaire'a niebezpieczny, to chyba Clocher lub Juval, ale to także konie francuskie. Z samych zakładów jednak widać, do jakiego stopnia Insulaire jest faworytem publiczności. Dają za niego $^4/_6$; za innych $^4/_1$; Thurio tak jest mało znany, że niektórzy stawiają przeciw niemu trzydzieści na jeden. Zakładają się za nim tylko Anglicy, przez miłość własną narodową. Zakłady ogólne dochodzą jednak do milionów. Właściciel konia, który wygra, mógł być wczoraj bankrutem, dziś, jeśli los posłuży, będzie milionerem. Ale zresztą niema wątpliwości, że Insulaire wygra, wiadomo bowiem, że: „ce que femme veut, Dieu le veut", a wszystkie damy biorą w szczególną opiekę Insulaire'a, M-lle Croizette, z Comédie Française, stawia za nim 1500 franków; Théo 100 ludwików; pani Sanz 300 franków; panna Reszke 500. Jedna tylko panna Berta Legrand, przez czysty kaprys, lub może ukrytą sympatyę do jakiego Anglika, stawia za Thuriem 3000 franków. „Jeżeli wygra Thu-ri-o, powiem ci, że: „tu ris haut!"—mówi do niej Croizette.

Nadchodzi wreszcie godzina wpół do czwartej. Czas jest ciągle piękny, chociaż niebo poczyna się przesłaniać mgłą lekką i przezroczystą, jak gaza w welonie Sary Bernardt, a nad Valérien zbierają się chmury. Nagle dzwonek na trybunie uderza, a między tłumami nastaje cisza tak głęboka, jakby w teatrze w czasie jakiego dramatu. Słyszę obok siebie bijące serca widzów, którzy może postawili połowę majątku na końskie kopyta. Tymczasem tęcza kurtek dżokejskich zamigotała już na drodze. Cisza jeszcze większa! Pyszne bieguny poczynają cwałować lekko przed biegiem, niektóre wspinają się, inne, wstrzymywane całą siłą rąk jeźdźców, rwą się w zawód. Wszystkie ciemnej maści,— Insulaire, Thurio i Clocher kare. Sierść na nich, jak jedwab', pod skórą znać węzły żył i potężną plątaninę mięśni, oczy pełne błyskawic, wypukłe, jakby przelękłe,—chrapy czerwone, kopyta ledwie tykają ziemi, moc i ogień biją z każdego ruchu. Kto wygra?—„Allach wielki" —mówi, jak zapewniają dzienniki, do Mac-Mahona szach perski: „Allach jeden wie!" Tymczasem rumaki stanęły w rzędzie.

Chorągiewka na trybunie spada; konie poczynają biedz. Cisza taka, że słychać uderzenia kopyt o ziemię coraz szybsze i gwałtowniejsze. Nikt jeszcze nikogo nie wyprzedza, a kurty dżokejskie stanowią jedną barwną linię w poprzek drogi. Linia ta zamigotała nagle przede mną i

poleciała w dal, jak burza, jak grom, ale już na pierwszym skręcie zmienia się w pas tęczowy wydłużony. Morze głów chwieje się, jakby kołysane wiatrem; ogromny szmer zrywa się od czasu do czasu i cichnie. Słowa przelatują z jednego końca majdanu na drugi, jakby po nici elektrycznej. „Na przodzie Géant! Klementyna go mija! Nie! nie! Clocher Hura Clocher!" Szmer zmienia się w okrzyki. Drugi skręt. Lagrange'a konie poczynają zwyciężać, czerwone z niebieskiem kurty migotają na przodzie. Trzeci skręt: Insulaire prowadzi!!! wszyscy już za nim. „Insulaire! vive Insulaire" Za nim Juval—„vive Juval!"—wołają głosy męskie i kobiece, a okrzyki zlewają się w jedną burzę głosów i oklasków. Już tylko między trzema końmi toczy się walka. Insulaire biegnie naprzód, za nim Juval, za nim zapoznany dotąd Thurio. Ale cóż to? Thurio dogania Juvala, równa się,—równa, wyprzedza go, mija... Insulaire, naprzód!—krzyczą zachęcając tłumy, tymczasem faworyt słyszy już za sobą gorączkowy oddech i chrapanie piekielnego Anglika, więc wytęża wszystkie muskuły, radby wyskoczyć pod naciskiem ostróg sam z siebie; znowu na przodzie! nie! łeb Anglika znowu sięga jego ogona, boku. Nowy okrzyk: kurta zasuwa się za kurtę—bieguny idą razem, razem, czy i dojdą razem? Nie! Czerwone chrapy Thuria wysunęły się już naprzód; chwila jeszcze ... mkną, błysnęli: tuż, tuż try-

buna! Naprzód, Insulaire! słychać ostatni raz. Napróżno! Chorągiew francuska spada, angielska idzie w górę i rozwija się wspaniale: Thurio wygrał.

— Allach wielki! — pociesza Nasr-Eddin Mac-Mahona.

Tymczasem chmury zasunęły cały widnokrąg i poczynają mżyć deszczem. Wyścigi wprawdzie jeszcze nie skończone, ale miliony już stracone, i przytem mokro. Pobita Francya wraca do miasta. Jutro trzeba będzie za te pół głowy Thuria zapłacić—i grubo zapłacić. W powozach twarze powyciągane. Niejeden może się zrujnował raz na zawsze, niejeden może z rozpaczy pyta: skąd wziąć pieniędzy na jutro, jak uniknąć hańby bankructwa?

Tak kończą się wyścigi.—We Francyi i Anglii zmieniły się one w loteryę, rujnującą czasem ogromne fortuny, jak było np. z fortuną młodego lorda Hastings. Gdyby jednak nie ten spekulacyjny ich charakter, bogatym tym krajom przynosiłyby więcej pożytku, niż szkody. Piorunujący na tę kosztowną zabawę nie wiedzą, że do wyścigów wybiera się pod „trenowanie" jednego lub dwa konie z całego stada,— reszta zaś stada dostarcza dzielnych koni nie do zabawy, ale do wszelkich użytków. Bądź co bądź, dzięki wyścigom, tylko Anglicy dochowali się swych potężnych hunterów, swych

znakomitych koni pociągowych; całą zaś rasę poprawili do tego stopnia, że takich chmyzów, jakie łatwo znaleźć w innych krajach, u nich doczekaćby się niepodobna.

Gazeta Polska. № 143, 144, z dnia 27 i 28 czerwca 1878 r.

Kongres międzynarodowy literacki w Paryżu.

Z siedemnastu zaproszonych na kongres Polaków trzech tylko wzięło w nim udział, t. j. Szymanowski, redaktor „Kuryera Warszawskiego", Sygurd Wiśniowski i niżej podpisany autor tego listu. Innych rozmaite wstrzymywały względy, czasem osobiste, a czasem przekonaniowe, wobec których np. jakiemuś profesorowi nie wydawało się rzeczą stosowną uczestniczyć w zgromadzeniu, obradującem pod przewodnictwem tak mało popularnych w Krakowie osobistości, jak Wiktor Hugo. Jednakże Wiktor Hugo mimo owego milczącego „veto" prawomyślności krakowskiej został obranym prezydującym, i kongres rozpoczął swoje obrady. Wzięli w nich udział przedstawiciele wszystkich literatur żyjących, począwszy od mniej więcej lodowatych i śnieżnych, a skończywszy na tak egzotycznych, jak brazylijska. Pierwsze stosunkowo najciekawsze posiedzenia poświęcone były sprawozdaniom ze stanu piśmiennic-

twa i piszących w rozmaitych krajach europejskich i amerykańskich: każdy z delegowanych odczytywał sprawozdanie we właściwej komisyi, następnie zaś z tych pojedyńczych przeglądów pan Alfons Gonzales, deputowany a zarazem i znakomity pisarz hiszpański, ułożył sprawozdanie ogólne, które odczytanem zostało na walnem zgromadzeniu.

Niepodobna mi dawać wam przekładu całego sprawozdania; ograniczę się więc na przytoczeniu z niego tych tylko ustępów, które bliżej obchodzić was mogą. Przeszedłszy od literatury rosyjskiej do naszej, pan Gonzales mówił, co następuje:

„Literatura polska została również uwzględnioną w tem sprawozdaniu. Delegowany p. Szymanowski, opowiada nam w wybornej francuzczyźnie, że jak wszędzie, tak i tam „le journal a effacé le livre, que les littérateurs préfèrent en égard à leurs dépenses s'attacher à la presse"; dalej, że nie licząc prasy prowincyonalnej, w samej stolicy wychodzi około 60 pism peryodycznych w języku polskim, z których jedno podniosło liczbę swych przedpłacicieli od 13 do 15 tysięcy. Literatura polska przedstawia znaczną liczbę pisarzy wielce utalentowanych: poetów, romansopisarzy, autorów dramatycznych; ale mówiąc wogóle produkcya miernych talentów uciska pracę tych autorów, którzy

przedewszystkiem patrzą na wewnętrzną wartość swych dzieł.

Praca literacka płaci się od 5 do 20 centimów za wiersz, co, biorąc na uwagę mierny stan finansowy kraju, jest wynagrodzeniem dosyć dobrem (assez lucratif).

Poeci dramatyczni nie otrzymują tantyemy; płacą im od 800 do 1500 franków za sztukę, wypełniającą całe widowisko, ale dzięki powstawaniu coraz nowych teatrów, położenie dramaturgów idzie ku lepszemu.

Dziennikarstwo pochłania głównie pisarzy i zyski, mimo tego jednak przez zajęcie, jakiem publiczność otacza literaturę, znajdują się edycye dzieł uznanej wartości, które rozchodzą się w dziesięciu aż do dwunastu tysięcy egzemplarzy. Co więcej: w myśl uczczenia jubileuszem 50-letniej działalności Kraszewskiego, zebrano już setki tysięcy franków i wyborowe dzieła tego wielkiego pisarza rozeszły się już przeszło w 10,000 egzemplarzach, a jest możliwe, że cyfra ta jeszcze się potroi. Wogóle o literaturze polskiej można powiedzieć, że spotężniała i że kwitnie dzięki swym własnym usiłowaniom, nie uciekając się i nie pragnąc znaleźć podpory na zewnątrz siebie samej".

Prócz tego pan Alfons Gonzales wspomniał jeszcze, że w tej chwili czynią się starania w Petersburgu o uzyskanie pozwolenia na założenie towarzystwa wzajemnej pomocy literackiej,

a nakoniec jeszcze i o tem, że pan Szymanowski podał kongresowi projekt ustanowienia komitetów, których obowiązkiem byłoby przekładać i rozpowszechniać arcydzieła wszystkich literatur świata.

W szczegółowem sprawozdaniu pana Borysa Thiviler z literatury rosyjskiej uderzył ogólnego sprawozdawcę, pana Gonzalesa, wyjątkowo pomyślny stan, w jakim znajduje się literatura i piszący w Rosyi. Mówi o nim, co następuje:

„Delegowany rosyjski M. Boris Thiviler, mówił bardzo niewiele. Literaci rosyjscy żadną miarą nie mogą się skarżyć. Publiczność czytająca jest tam bardzo liczna i pełna entuzyazmu; kobiety rosyjskie czytają więcej niż Francuzki, a daleko więcej niż Hiszpanki i Włoszki. Prawdziwy talent jest tam pewny, że przebije sobie drogę, znajdzie wydawców a z czasem i fortunę. Jeżeli wreszcie są biedni literaci, to dlatego, że są wszędzie".

Ze sprawozdań o pracy literatów w Niemczech, Francyi, Anglii i t. p. można się było przekonać, że praca i wogóle warunki, w jakich żyją piszący w powyższych krajach, nie są tak pomyślne, jak to sobie zwykle wyobrażamy. Prawdziwie utalentowani literaci i dziennikarze płatni są wprawdzie znakomicie i częstokroć dochodzą do majątków, ale też talenta wybitne wszędzie są wyjątkami. Zwykli pracowni-

cy nie wiele lepiej mają się, niż u nas; różnica zaś między nami a Zachodem polega na tem, że gdy na Zachodzie zarabia ten, kto najlepiej pisze, u nas ten, kto najwięcej pisze. U nich popłaca talent, u nas liczba wierszy; zwykle bowiem zapłata za wiersz wynosi w dziennikarstwie naszem od 6 do 10 groszy, nie zaś, jak to było podane w sprawozdaniu, od 5 do 20 centimów. Wypada z tego, że reporter, umieszczający o wypadkach ulicznych pięćdziesiąt wierszy dziennie, zarabia więcej niż felietonista, dający artystycznej roboty 500 wierszy tygodniowo.

Mówiąc wogóle o warunkach, w jakich znajdują się piszący i literaci w całym świecie, znakomity sprawozdawca tak zakończył swoją pracę:

„Zbliżam się do rozwiązania nowego ciężkiego zadania. Streszczając ową podróż naokoło świata, jaką odbyliśmy na kilku stronnicach, przychodzimy do uwag zarówno ciekawych, jak zajmujących. Wszędzie zyskuje się więcej powieścią niż poezyą, więcej teatrem niż powieścią, więcej dziennikiem niż teatrem.

Wszędzie widać, że dziennikarstwo jest jedynym zawodem stałym i pewnym dla ludzi pióra, i że kto w piórze chce szukać rzemiosła, ten ma przed sobą prasę i nic więcej. Wobec tego, ilekroć widzę dziennik i książkę, mi-

mowoli chce mi się powiedzieć: „Ceci tuera cela". Po kilku zaś chwilach mówi dalej:

„Widać jeszcze, i miło nam to powiedzieć, że wogóle ludzie pióra zdobyli sobie zaszczytne miejsce w społeczeństwie; że niema już więcej ani trubadurów błędnych, ani poetów płatnych, ani żebraków, ani niewolników. Pisarze stali się tak dalece czwartą potęgą świata, że są arystokracyą jak szlachta, siłą jak wojownicy i religią jak duchowieństwo.

„I nie uroku geniuszu braknie im dziś, ale raczej czasem i gdzieniegdzie uroku pieniędzy. Nie idzie więc dziś o budowę gmachu ich sławy, ale o budowę banku z ich kasą.

„Niemasz dziś nic potężniejszego nad pióro. Pióro, które od niejakiego czasu stało się stalowem, podobne jest do miecza. Oto dlaczego czasem rani, a nawet zabija. Powinno więc służyć jako miecz do obrony sprawiedliwości, do niszczenia zła i każdy pisarz powinien przyjąć jako własną, ową starożytną dewizę, wypisywaną na cienkich klingach toledańskich: „Nie dobywaj mnie bez racyi, nie chowaj bez czci".

Na tem kończy sprawozdanie swe pan Alfons Gonzales. Warunki pieniężne, o których musiał mówić, mówiąc o stanie piszących w najrozmaitszych krajach świata, łączyły się bezpośrednio z prawem własności autorskiej, dlatego następne posiedzenia kongresu były tej ważnej kwestyi poświęcone. Z bardzo małymi

wyjątkami, prawa te nie są nigdzie zabezpieczone. Autora angielskiego, francuskiego, niemieckiego lub polskiego, wolno jest przerabiać, tłumaczyć a nawet i przedrukowywać wszędzie, gdzie się podoba. Stany Zjednoczone np. łupią najbezkarniej przedrukami literaturę angielską, a okradają za pomocą tłumaczeń i przeróbek francuską. Dochodzi to w pomienionym kraju do tego stopnia, że wydawcy lub przedsiębiorcy teatralni, biorąc powieści lub dramaty z języków obcych, nie zadają sobie nawet trudu zacytować ich autorów. Widziałem np. „Damę Kameliową" Dumasa (syna), grywaną w New-Yorku i Bostonie pod zmienionym tytułem: „Kamilla", „Dalilę" Feuilleta pod tytułem „Syrena", bez najmniejszej wzmianki, kto i gdzie sztuki te pisał. Wiadomo również dobrze, że teatr nasz żyje przeważnie repertuarem francuskim, nie pytając nikogo o pozwolenie; wiadomo, że wydawcy nasi zarzucają rynek księgarski lub zapychają szpalty dzienników powieściami francuskiemi, nic nikomu za to nie płacąc. Słowem: nigdzie autor poza granicami swego kraju nie może być pewny, czy go nie zrabują, nie przetłumaczą, lub nawet wprost nie przedrukują.

Na pozór wydaje się, że takie kraje, jak np. nasz, które bądź co bądź muszą posiłkować się płodami obcych literatur, dobrze wychodzą na tej wolności, ale w gruncie rzeczy tak nie

jest. Dobrze finansowo wychodzą tylko wydawcy, którzy płacąc po dwa grosze od wiersza za haniebne tłumaczenia, nie literatom, ale rozmaitym babom, sprzedają czytelnikom za dobre pieniądze to, co kupili za nic. Delegowany wiedeński powiedział na kongresie: „Widziałem wasze francuskie sztuki, grane w Wiedniu, tłumaczone w ten sposób, że nie były już pisane po francusku, ale nie były także po niemiecku". I dowcipny delegat miał słuszność. Tłumaczenia francuskich utworów, jakimi wydawcy zasypują w niesłychanej obfitości rynki księgarskie, kalają język narodowy, przekrzywiają i psują go, wreszcie wstrzymują rozwój literatur narodowych, ponieważ, jak łatwo zrozumieć, płody oryginalne nie mogą wytrzymywać konkurencyi z przekładami.

Społeczeństwo nic nie traci na zatamowaniu korsarstwa literackiego i dziennikarskiego; literaci narodowi wprost zyskują, bo będą płaceni lepiej i poszukiwani usilniej; zyskuje także każda poszczególna literatura. Dokonywa się wprawdzie wiele przekładów dzieł naukowych i literatur obcych i utrudnienie takich tłumaczeń byłoby szkodą, należy pamiętać jednak, że te ostatnie nigdy nie dokonywają się w celach handlowej spekulacyi, i że uczonym z uczonymi zawsze będzie łatwo się porozumiewać, bądź o najmniejszą cenę za przekład, bądź nawet o dokonanie go bez zapłaty.

Uchwałę, wzbraniającą przekładów darmo, popierali szczególniej Francuzi z mniej zresztą szlachetnych pobudek, chodziło im bowiem głównie o franki, z których, jak im się zdaje, cały świat ograbia ich bezkarnie. Chciwość owa na susy i franki objawiła się nawet niejednokrotnie w walkach nieparlamentarnych i w niedopuszczeniu opozycyi do głosu. Opozycya jednak była słaba. Delegacye zagraniczne miały swoje wspomniane wyżej powody, które nakazywały im zgadzać się z ustawą.—Turgeniew oświadczył mniej w celu oponowania, niż w celu objaśnienia wewnętrznych stosunków literackich rosyjskich, że w Rosyi wyjątkowo zastęp tłumaczów składa się nie ze zwykłych rabusiów literackich, ale raczej z ludzi młodych pracujących, po największej części studentów uniwersytetu, którzy w przekładach znajdują często sposób do życia, zatem wyjątkowo, jako ubodzy i nie mogący płacić za prawo tłumaczenia, zasługują na uwzględnienie. Odpowiedział na to delegat wiedeński, że klasa ta niezaprzeczenie „fort intéressante" będzie miała otwarte zawsze pole do prywatnego porozumienia się z autorami, którzy położenie potrafią uwzględnić. Po tem objaśnieniu delegaci zagraniczni kolejno przystępowali do wypowiedzenia swego zdania w tej materyi. Polacy, po przemówieniu Wiśniowskiego, zgodzili się bezwzględnie z uchwałą, za nimi poszły delega-

cye: rosyjska, angielska, amerykańska, rumuńska, w końcu brazylijska i prawie wszystkie inne z wyjątkiem hiszpańskiej, która próbowawała przez usta pana Elviro, bezskutecznie zresztą, wprowadzić kilka zastrzeżeń.

Jednocześnie z kwestyą własności autora roztrząsano i kwestyę własności jego spadkobierców. W pewnej części zgromadzonych objawiła się dążność do porównania własności spadkowej literackiej z wszelką inną własnością, t. j. do przyznania spadkobiercom wszelkich praw, jakiemi zagwarantowane jest posiadanie spadkowe. Według tego, dziedziczący mogliby nawet zabronić publikowania nowych edycyi dzieł odziedziczonych, niszczyć je, lub zmieniać. Pogląd ten jednak, któremu sprzeciwili się prawnicy fachowi, jakich niemało liczył w swem gronie kongres, nie zdołał uzyskać większości. „Cobyście rzekli—zapytał zgromadzonych Edmund About—gdyby biskup Dupanloup był spadkobiercą Voltaire'a, i gdyby chciał skorzystać ze swych praw w sposób, w jakiby niezawodnie skorzystał, gdyby mógł?"

Na podobne pytanie stronnicy własności bezwzględnej nie umieli na razie odpowiedzieć. I istotnie: możnaby być bardzo niepewnym o los np. Słowackiego, gdyby jego spadkobiercą był prof. Tarnowski. W tej sprawie praw spadkowych zabrał wreszcie głos sam Wiktor Hugo, prezes między-narodowego kongresu, „no-

tre illustre maitre", jak go tu nazywają literaci. Wiktor Hugo zauważył, że własność literacka nie może być uważana na równi z każdą inną. Książkę pisze wprawdzie autor, ale wartość rozpada się między autorów i publiczność.Spadkobiercy zatem, dziedzicząc po autorze, nie mają prawa zabierać tego, co jest własnością publiki, całego wreszcie narodu. Należą im się odsetki, nie zaś książka; mogą dziedziczyć zyski, ale nie myśli autora, które stały się własnością ogółu.

Słuchano go uważnie, bo ilekroć głos zabiera ten starzec z głową białą, szlachetną i z pogodnem, utkwionem spojrzeniem, tyle razy możnaby usłyszeć przelatującą muchę. Wiktor Hugo skończył jak następuje: „Je crois que votre décision sera bonne. Je suis sûr, que l'avenir appartient à la solution que je vous ai proposé".

„Si vous ne l'acceptez pas, l'avenir est patient, il a le temps, il attendra".

Jakoż istotnie propozycya starego mistrza jeżeli zostanie przyjętą, to dopiero w przyszłości, kongres bowiem, oklaskawszy jego mowę i postanowiwszy ją wydrukować, przyjął jednak rezulucyę przychylniejszą o wiele dla spraw spadkobierców, a raczej wprowadzającą w te prawa pewne zastrzeżenia, które wymienię, wyliczając wszystkie postanowienia kongresu.

Na kilka końcowych posiedzeń Wiktor Hugo nie przyszedł, wybrano więc zastępcę jego Turgeniewa. Ostatnie posiedzenie odbyło się na ulicy Cadet w sali Wielkiego Oryentu. Krzesło prezydujące zajął Turgeniew, koło niego zasiedli prezesi sekcyi narodowych.

Na tem zakończył się kongres literacki międzynarodowy w Paryżu. Na przyszły rok ma się on zebrać w Londynie, co będzie ze wszech miar rzeczą korzystną, strachliwi bowiem gryzipiórkowie francuscy nie będą mogli przybyć nań tak licznie, a więc prócz większej swobody rozpraw, będzie na nim można roztrząsać sprawy w sposób więcej międzynarodowy, a mniej wyłącznie francuski. Obecny, paryski kongres, gdyby nie ostatnie posiedzenie shańbione wtargnięciem gryzipiórków nie powstrzymywanych obecnością Wiktora Hugo, mógłby się uważać za dzieło wielkie i chwalebne, przeprowadził bowiem kilka uchwał pożytecznych i dał początek organicznym usiłowaniom, mającym na celu porozumiewanie się wzajemne literatów całego świata i pomoc wzajemną. Główne uchwały jego, wypowiedziane w formie postulatów, są następujące:

1) Prawo autora do napisanego przezeń dzieła nie jest ustępstwem ze strony ustaw, lecz jedną z form własności, którą prawodawca winien zapewnić.

2) Prawo autora, jego spadkobierców lub uwierzytelnionych jest wieczne.

3) Jednakże spadkobierca może być wyzutym ze swego prawa, jeśli przez lat 20 nie drukuje dzieła, którego jest właścicielem.

---

1) Kongres żąda, aby każde dzieło literackie naukowe, artystyczne i dramatyczne było traktowane w obcych krajach wedle praw, przysługujących literatom miejscowym.

2) Dla zapewnienia tej opieki wystarczy, by autor spełnił formalności obowiązujące miejscowych autorów.

3) Co do tłumaczeń i przeróbek, kongres literacki międzynarodowy zapewnił autorom wyłączne prawo upoważniania tłumaczy i przerabiających.

Kongres mniema, że:

1) Poprawa losu moralnego i materyalnego literatów wiąże się ściśle z rozwojem ogólnym społeczeństw, polega zaś na utworzeniu kas zaliczkowych i emerytalnych, przysługujących autorom.

2) Kongres życzy sobie, by kwestya kredytu literackiego weszła w program najbliższego kongresu międzynarodowego literackiego.

3) Kongres uważa, że projekt utworzenia

związku międzynarodowego literackiego, którego zadaniem byłoby urządzenie stałych stosunków między literatami różnych narodów, wytworzenie komitetów, mających ułatwiać stosunki i założenie pisma, mającego obejmować przekłady klejnotów wszelkich literatur, zasługuje na szczegółowe zbadanie i obrady.

4) Kwestye literackie winny być traktowane odrębnie od kwestyi handlowych.

Nakoniec wniosek odrzucony obejmował trzy punkta, brzmiące jak następuje:

1) Kongres literacki oświadcza się za swobodą myśli w znaczeniu najrozciąglejszem.

2) Kongres mniema, że autor, wprowadzając i rozpowszechniając utwory swoje, działa na swoją osobistą odpowiedzialność.

3) Kongres oświadcza, że wykroczenia prasowe winny być sądzone wedle prawa ogólnego.

Oczywiście wszystkie te wnioski, przez kongres uchwalone i przyjęte, nie mają znaczenia praw obowiązujących. Kongres nie składa się z prawodawców, mających moc zmieniania uchwał z rozporządzenia zastrzeżone karami, nie może również rozmaitym rządom postanowień nowych narzucać. Natomiast może i obowiązuje swych członków, aby za pośrednictwem prasy wywierali wpływ tak na opinię publiczną, jak na ciała prawodawcze i dyplomacyę w kierunku z uchwałami kongresu zgo-

dnym. Jest to droga legalna a pewna, kto bowiem zna wpływ prasy, ten łatwo zrozumie, że gdy raz uwaga umysłów zostanie przez nią na prawa własności autorskiej zwrócona, wpływ ten nie omieszka odbić się i w prawodawstwie.

Rozumie się, że bieglejsi od literatów fachowi ustawodawcy mogą wnioski kongresu do pewnego stopnia ograniczyć, zmienić lub ująć w inne prawnicze określenia, nie pozostawiające pola do wikłaniny i nieporozumień. Kongres jednak, występując w obronie własności literackiej, dał zapewne początek całemu cyklowi nowych ustaw, których wprowadzenia jak najmocniej życzyć sobie należy.

Ale również należy życzyć sobie jak najmocniej, żeby przyszły kongres składał się wyłącznie z ludzi kochających idee więcej niż pieniądze i nie cofających się wobec lichych i marnych względów, życzyć sobie należy, żeby w skład jego weszły umysły męskie, uczciwe i śmiałe, zdolne nawet do szlachetnych egzaltacyi i do bezwzględnego polotu ku celom, które raz uznane zostały za wyższe i ogólnoludzkie.

Nowiny. 1878 r. № 11.

Z wystawy antropologicznej w Paryżu.

I.

Po lewej stronie od Trocadero i poza obrębem jego olbrzymiego dziedzińca wznosi się wielka szopa drewniana prostej budowy, ozdobiona tylko dwoma sfinksami przy wejściu. Ludzi tu zawsze mało: jeden policyant, przy nim na ławce spahis w białym turbanie, kilkunastu mężczyzn i jedna lub dwie kobiety—oto cała publiczność, którą najczęściej tu zastać można. W samej szopie milczenie przerywane bywa tylko odgłosem kroków w pustej sali, która na pierwszy rzut oka wygląda jak kostnica, albowiem z poza szklanych szyb szaf poustawianych pod ścianami. setki czaszek ludzkich poglądają na widza pustemi oczodołami. Jest to wystawa antropologiczna, o której gazety wiele piszą, a ludzie mało wiedzą; każdemu jednak, kto przybywa z naszych stron, radzę porzucić na chwilę świetne sale Trocadero i wyzłocone bramy pola Marsowego, a

przyjść tu, gdzie nauka wybrała sobie skromne i samotne siedlisko.

Na lewo, zaraz przy wejściu, znajduje się sekcya Towarzystwa antropologicznego, które przy urządzaniu jej posiłkowało się, prócz własnych okazów, okazami nadesłanymi z całego kraju. Częścią, najbardziej bijącą w oczy, są tu ubiory ludowe, umieszczone na wzniesieniu, tak, aby je dokładnie obejrzeć można. Znajdują się między niemi świtki krakowskie, siermięgi rusińskie; z Galicyi: gunie góralskie i huculskie, oraz sukmany mazurskie, a raczej zupełne ubiory, począwszy od czapek czerwonych z pawiemi piórami, wysokich bermyc baranich, siwych i szarych, kapturów obszywanych lisiem futrem; czapek wykrojonych z hubki, a skończywszy na butach i góralskich kapciach. Obok strojów męskich są i niewieście, przy których nie pominięto wszelkiego rodzaju ozdób, jakoto paciorków i pasków, noszonych przez nasze wieśniaczki. Niektóre z tych rzeczy są domowej roboty, np. płótna, burki, rańtuchy, kilimki, wyrabiane wprost w chatach na własny wyłącznie użytek; inne pochodzą z wieśniaczych rękodzielni, zajmujących częstokroć całe osady. Można powziąć z nich dokładne wyobrażenie o przemyśle miejscowym, o zręczności robotnika i o stopniu rozwoju, do jakiego przemysł wiejski dojść może. Wszystkie te wyroby uderzają oryginalnością, rozmaitością cha-

rakterów, silnie rozwiniętem poczuciem estetycznem, a częstokroć i bogactwem. Nadesłała je głównie Galicya. Królestwo i inne okoliczne prowincye mniejszy na wystawie tej wzięły udział. Równie obszerny jak Galicya mogło wziąć Poznańskie, ale nie wzięło prawie żadnego.

Wogóle jednak wystawa ubiorów wygląda bardzo świetnie, ustawiona jest doskonale i dlatego każdemu najpierwej wpada w oczy. Dopełnienie jej stanowi prócz tego jedna z szaf, zawierająca ubiory przeważnie z Królestwa nadesłane. Szkoda nawet, że niektóre okazy z niej nie zostały umieszczone sposobem manekinowym na wzniesieniu, albowiem np. stroje kujawskie, odznaczające się doskonałością sukien i płócien, smakiem i bogactwem, lepszeby dały wyobrażenie od galicyjskich o zamożności ludu. W tejże szafie znajdują się także małe machiny w kształcie lalek, przedstawiające Żydów naszych.

Wszystko to jednak tyczy się etnografii, nie antropologii. Również do okazów etnograficznych zaliczyć wypada album panny Rakowskiej, przedstawiające typy i ubiory ludowe. Inne rysunki, rozłożone na oknach, mniej może są doskonałe niż charakterystyczne. Między obrazami znajduje się „Jan Kochanowski nad trumną Urszuli" Matejki. Obecność tego dzieła sztuki na wystawie etnograficznej objaśnia się tem, że Kochanowski ma przedstawiać typ i

strój szlachcica z XVI wieku. Toż samo zadanie spełniają rysunki Matejki strojów historycznych z rozmaitych stuleci i nakoniec album rodu Potockich, zawierające fotografowane kopie portretów naczelników tej rodziny, aż od XVIII wieku.

Najpiękniejszym jednak okazem tej części wystawy jest ceramika Godebskiego, przedstawiająca w płaskorzeźbie typy i ubiory wszystkich narodów świata. Zwróciła ona na siebie głównie uwagę prasy francuskiej. Na tle złotem widać tu blizko sto postaci tak charakterystycznych, że na pierwszy rzut oka można odróżnić ich pochodzenie. Grupa ta zajmuje środek obrazu, od którego to środka w prawą stronę idą narody zachodnie, w lewą wschodnie, rozciągające się ku górom Uralskim i dalej w Azyi.

Prócz wartości etnograficznej, jest to prawdziwe dzieło sztuki, któremu zachowanie typowych charakterystycznych rysów twarzy w postaciach stosunkowo małych i misterność wykończenia nadaje wysoką wartość. To też prasa francuska nazywa bez wahania ową ceramikę najwspanialszym obrazem w części etnograficznej naszej wystawy. Sprawozdawcy podnoszą poetyczność układu i świeżość kolorytu. Ten ostatni szczególniej ich zachwyca, ponieważ zachowanie go przy wypalaniu w piecach obrazów przedstawia niezmierne trudności, któ-

re Francuzi tylko, jako mistrze w sztuce ceramicznej i miłośnicy jej, dokładnie zrozumieć i ocenić umieją.

Na bliższą również uwagę zasługują mapy pp. Franciszka Duchińskiego i Alfreda Ciszkiewicza, sekretarza szkoły architektury w Paryżu. Mapa etnograficzna Ciszkiewicza daje dokładny opis plemion zamieszkujących nasze strony i może służyć za wskazówkę przy rozstrzyganiu kwestyi spornych naukowych. Uzdolnienie i sumienność jej autora zasługują na wszelkie uznanie.

Najważniejszych okazów antropologicznych dostarczyło muzeum toruńskie. Zajmują one szereg szaf stojących przy ścianie po lewej stronie od wejścia. Są to przeważnie wykopaliska niezmiernie starożytne. Część ich sięga okresu kamieni niewierconych, jako to: młoty krzemienne bez otworu do osadzenia trzonka, ostrza włóczni, strzał, dłóta i t. p. Inne przedstawiają kamienie już osadzone na rękojeściach, czego dowodem są otwory w obuchach. Kształty ich przytem są doskonalsze, a wyrób o wiele dokładniejszy. Poznajdowano te wszystkie przedmioty bądź to w miejscach dawnych horodyszcz i tyńców, bądź na cmentarzyskach, bądź nakoniec w dolmanach i tumulusach, które nieznane w większej części ziem słowiańskich, trafiają się jednak czasem w Czechach, na Morawie i w W. K. Poznań-

skiem. Większość jednakże okazów stanowią wykopaliska pomorskie, które też i znajdują się w ziemiach opłukiwanych Baltykiem najwięcej, świadcząc, że ziemie te miały w swych czasach ludność najgęstszą i kulturę najwyżej posuniętą, na co nie brak i dowodów historycznych.

Z okazów bronzowych nadesłano pierścienie, naszyjniki, bransolety, paciorki i naramienniki, odznaczające się misternością wyrobu. Starożytnicy znajdują takie rzeczy w urnach, w pojedyńczych mogiłach, lub w owych szczególnych grobowcach, ułożonych potrójnie jeden na drugim w ten sposób, iż w najgłębszym znajduje się kościec otoczony narzędziami kamiennemi, w środkowym bronzowemi, w wierzchnim zaś żelaznemi. Ułożenie takie grobów nie tyle zdaje się być dziełem przypadku, ile zwyczajem grzebania ciał w miejscach, raz na zawsze na to poświęconych.

Przy niektórych kościotrupach znajdowano także bronzowe sierpy; były to zapewne sierpy ofiarne, które wkładano może do mogił kapłanów. Wszędzie przytem, przy szczątkach ludzkich odkopują garnuszki, misy, dzbany, oraz małe czerpaczki, ukazujące na zwyczaj stawiania jadła przy zmarłym, który to zwyczaj utrzymał się dotychczas w niektórych ziemiach słowiańskich, lub zamieszkanych przez ludność słowiańską nieznaną.

Nakoniec liczny zbiór urn, nadesłanych bądź przez muzeum toruńskie, bądź z Rapperswillu, stanowi niemniej cenną część naszej wystawy. Niektóre z tych urn, tak zwane obliczowe, zwracają na się szczególniejszą uwagę archeologów. Nie mogę twierdzić, czy wyrabianie urn obliczowych było wyłącznym zwyczajem w ziemiach słowiańskich, w innych jednakże zbiorach nie widziałem podobnych. Okoliczność ich polega na zarysowaniu na wypukłej stronie naczynia oczu i na wydłużeniu nosa. Czasem te zarysy twarzy bywają bardzo wyraźne, co następuje zwłaszcza wówczas, gdy oczy są kolorowo emaliowane, czasem zaledwie dostrzegalne, a nawet tak zatarte, że istotnie trzeba pewnej dobrej woli archeologicznej, ażeby je odróżnić. Niektóre popielnice, zamiast twarzy, przedstawiają inne części ciała męskiego lub kobiecego; większość z nich zaś pokryta jest napisami runicznymi.

Znajdowane całkowite kośćce a przytem urny z popiołami wskazują na podwójny zwyczaj grzebania lub palenia ciał, co dało powód do rozmaitych naukowych przypuszczeń. Twierdzenie, że zwyczaj palenia lub grzebania ciał nie był jednoczesnym, ale mógł następować po sobie w rozmaitych okresach, zostało zbite naprzód tem, że tak przy kościotrupach, jak i w popiołach znajdowano jednakowe narzędzia i ozdoby, a powtóre jeszcze i tem, że częstokroć

popielnice bywały odkopywane obok kośćców w jednych i tych samych grobach. Ta wspólność grobów stanowi takiż dowód przeciw mniemaniu Lelewela, który w grzebaniu lub paleniu chciał widzieć odrębny obrządek dwóch sekt religijnych. Niemieccy archeologowie objaśniali ową dwoistość istnieniem dwóch oddzielnych ludów; a i to przypuszczenie, wobec częstej wspólności grobów i tożsamości znajdowanych narzędzi, okazuje się pozbawionem wszelkiej zasady. Najprawdopodobniejszem jest, że panował i taki i taki zwyczaj, lub że niektóre tylko klasy (może np. klasa kapłanów) miały przywilej wyłączny grzebania się lub palenia.

Wracając do wystawy, wykopaliska stanowią część jej najciekawszą. Mniejszej już wagi są przedmioty historyczne, jakoto: pasy słuckie i karabele, które właściwsze mogłyby znaleźć miejsce w wystawie historycznej, w Trocadero. Obecność niektórych okazów, jak np. strzelby Stanisława Poniatowskiego, zgoła nie umiem sobie wytłumaczyć, bo jakkolwiek robota okazu tego jest istotnie przepyszna (prawdopodobnie zagraniczna), nie stoi on w żadnym związku ani z etnografią, ani z antropologią, a służy chyba do ozdoby. Miejsce jednak jedynie mu odpowiednie byłoby w zbiorach Czartoryskich.

Największym i krzyczącym niedostatkiem w dziale naszym jest brak kośćców i czaszek.

Towarzystwo antropologiczne czyniło wprawdzie liczne starania, aby dostać jak największą ich liczbę, ale starania te z wielką szkodą dla nauki okazały się płonne. Jednakże jakże łatwo było np. lekarzom naszym lub też dziekanom wydziałów medycznych. nadesłać żądaną liczbę okazów. Wprawdzie jeszcze łatwiej było nie nadesłać, obrano więc tę ostatnią drogę. Skutkiem tego czaszki prawdziwe musiały być zastąpione rysunkami lub też fotografiami, na których badania naukowe są niemożliwe.

Ostatecznie wystawa nasza, jakkolwiek obok hiszpańskiej głównie zwróciła na się uwagę ministra Teisserenc de Bort, więcej jednak jest etnograficzną, niż antropologiczną, w przeciwieństwie do zagranicznych, mianowicie do angielskiej i wspomnianej hiszpańskiej, które posiadają setki czaszek, częstokroć zasuszonych ze skórą i kościami.

Panowie Santos i de Quintona, przewodniczący w sekcyi hiszpańskiej, nadesłali istotnie niezmiernie zajmujące okazy kośćców i czaszek, pochodzących nietylko z półwyspu Iberyjskiego, ale z Peru, Boliwii, Meksyku i innych ziem środkowo lub południowo amerykańskich, podwładnych niegdyś Hiszpanii. Obok czaszek indyjskich, plemion myśliwskich, jeszcze żyjących, albo niedawno wygasłych, są tu kośćce i głowy poznajdywane w grobowcach ludów wysoce ucywilizowanych, jakoto ludu

Nahuatl'ów zamieszkałego niegdyś w Meksyku, ludów Yuków z Peru. Między mumiami peruwiańskiemi można widzieć niektóre w postawie siedzącej z łokciami wspartymi na kolanach, zachowane tak wybornie, że pomimo braku oczu, na twarzach dotychczas pozostał wyraz. Wiele głów ma jeszcze włosy, co jest okolicznością nader pomyślną, wiadomo bowiem, jak ważną ogrywają w nauce rolę ich kształt, przecięcia a nawet i barwa. Włosy te są czarne, grube, proste, na przecięciu okrągłe, co wraz z pomiarami czaszek, dającemi przewagę wskaźnikowi szerokości, stwierdza nanowo powszechnie prawie przyjętą teoryę, że wszystkie pierwotne ludy Ameryki należą do plemienia mongolskiego. Wzory dawnych budowli i piramid peruwiańskich uzupełniają tę ze wszelkich miar interesującą sekcyę.

Anglicy mniej przysłali okazów etnograficznych, niżby może mogli, za to liczba czaszek w ich oddziale przewyższa wszystkie inne. Są między niemi angielskie, szkockie, irlandzkie, walijskie, wschodnio-indyjskie, wszystkich plemion, począwszy od typowo aryjskich, aż do czaszek ludu drawidów, dalej: murzyńskie z Afryki pobrzeżnej, hotentockie i buszmańskie z południowej; malajskie z Borneo, pozdejmowane z owych girland czaszek, jakiemi dayakowie i inne narody z wysp Sundzkich zdobią swoje mieszkania, papuańskie z Nowej Gwi-

nei, polinezyjskie z wysp oceanu Spokojnego; australskie, tasmańskie i znów malajskie, ludu Maori z Nowej Zelandyi. Władztwo nad niezliczonemi ziemiami, położonemi pod wszelką szerokością i na wszystkich morzach, po których badanie nowe przynieść może antropologii plony. Między temi czaszkami zwracają na siebie nieliczne, ale doskonałe okazy owych białych kruków antropologicznych, czaszek krzyżowych, których krzyż powstaje z przecięcia się niezarośniętego szwu czołowego z wieńcowym. Niektórzy uczeni chcieli w owem niezarośnięciu szwu czołowego widzieć najszlachetniejszą cechę, oznaczającą niezwykłą potęgę rozwoju mózgu, a chcieli przynajmniej dopóty, dopóki nie okazało się, że krzyżowość trafia się u idyotów. Cechą jednak najwybitniej rzucającą się w oczy, na widok owego szeregu głów z pod rozmaitej szerokości, jest różnica kąta twarzowego u wielorakich plemion ludzkich. Podczas gdy w szlachetnych typach anglo-saskich i wschodnio-indyjskich wyższych kast kąt twarzy zbliża się mocno do 90 stopni, to przeciwnie, u australskich, tasmańskich i niektórych murzyńskich skośnoszczękowość (prognatyzm) staje się poprostu przerażająca. Na widok tego spłaszczonego czoła, uciekającego w tył, a wysuniętych naprzód zębów w kształcie pyska psiego lub małpiego, prawie się nie chce wierzyć, aby to były czaszki ludz-

kie. Wogóle wymiar kąta twarzowego, nie mający znaczenia, o ile chodzi o ocenienie zdolności osób pojedyńczych, albo należących do tegoż samego szczepu, może być ważną wskazówką w ocenianiu różnic plemiennych. W niektórych szafach na wystawie angielskiej czaszki ułożone są umyślnie wedle tej cechy, tak, że spojrzawszy z boku, widzi się szczęki coraz silniej wystające. W rasie białej, obejmującej szczepy aryjski i semicki, prognatyzm zdarza się tylko wypadkowo częściej w malajskiej, a u murzynów afrykańskich, z jednym wyjątkiem Jolotów, u Papuan, Polinezyjczyków i Australczyków występuje już jako cecha stała, od której uchylanie się jest rzeczą wyjątkową.

Nowiny, 1878 r. № 42.

II.

W antropologii za wskazówkę wyróżniającą służą także i wymiary głowy. Kto za biletem korespondenta przyjdzie na wystawę w godzinach, w których dla publiczności jest zamkniętą, ten często może zastać tam uczonych z cyrklem w ręku, pochylonych nad czaszkami i mierzących gorliwie ich długość i szerokość. Jak się wymiary ustalają i gdzie należy opierać końce cyrkla przy mierzeniu, uważam za zbyteczne objaśniać, tembardziej, że bez szczegółowej znajomości anatomii czytelnik nie umiałby zdać sobie dokładnie z tego sprawy. Z mojej strony, bez wszelkiej pretensyi do specyalności, nadmienię tylko z tego, com czytał lub czegom się dowiedział, że i sami uczeni nie bardzo się zgadzają na miejsca wymiarów i że panuje jeszcze pod tym względem wielka dowolność. Podstawę do owych wymiarów dał Retzius, najogólniej zaś przyjęte metody są Bernarda Davisa i Welckera. Otóż wedle tych pomiarów, podzielona została cała ludzkość na długogłową, średniogłową i krótkogłową (okrą-

głogłową) w ten sposób, że jeżeli czaszki, których szerokość chwieje się między 74 a 78, przyjęte zostały za średnie, to wszystkie dające cyfrę mniejszą szerokości, zatem więcej z boków ścieśnione, za długie, zaś dające cyfrę większą, za krótkie mają być uważane.

Przyjąwszy tę podstawę, zauważono np., że rasa mongolska należy do krótkogłowych (okrągłogłowych), ponieważ wskaźnik przeciętny szerokości czaszek wynosi 80 i więcej; malajska jest długogłowa, między czaszkami bowiem maorskiemi znaleziono wskaźnik 73. Europejczycy mają wogóle głowy średnie, daleko więcej ściśnięte z boków i wydłużone od mongołów (75—79). Wymiary czaszek murzyńskich zbliżają się do europejskich i t. p. Wszystko to miało służyć za wskazówkę w odróżnianiu plemion, oraz w rozstrzygnięciu tej kwestyi, czy rasy ludzkie są odrębnymi gatunkami, czy też stanowią tylko odmiany jednego gatunku. Jednakże wskaźnik szerokości i długości chwieje się sobie w najlepsze w jednem nawet i tem samem plemieniu. Długogłowości lub krótkogłowości nie można równie przyjąć za podstawę w ocenianiu uzdolnienia ani ras ani narodów. Byli wprawdzie niemieccy uczeni, którzy czaszki średniogłowe, chylące się ku długim, chcieli uważać za najlepsze, może dlatego, że Niemcy do średniogłowych się liczą, ale pokazało się, że w ten sposób trzebaby było u-

szlachcić Hotentotów i Buszmanów, których szerokość średnia czaszki nie przenosi niemieckiej. Z ludów europejskich najbardziej zbliżeni do długogłowych są Niemcy (75—9). Słowianie odznaczają się głowami nieco szerszemi a krótkiemi, mianowicie: Polacy 79 z ułamkiem, Małorusini 79 z ułamkiem, Rosyanie 80, Kroaci aż 82 i t. p. Francuzi dają wskaźnik 79. Włosi, najzdolniejszy zapewne naród na świecie, należą przeważnie do szerokogłowych, co jest okolicznością nader szczęśliwą, inaczej bowiem Niemcy mogliby uznać stanowczo swój wskaźnik 75 za niedościgniony dla innych szczepów ideał i dowód wyjątkowego uzdolnienia.

Objemność jednak czaszek wypada na korzyść Niemców, czyli, mówiąc innemi słowy: w czaszkę przeciętnego Niemca więcej można kaszy jaglanej nasypać, niż w czaszkę przeciętnego Słowianina lub Francuza. Zato w obszernej czaszce niemieckiej mieści się mózg mniej ważący niż słowiański, z czego Peschel, z którego te cyfry czerpię, wyprowadza zaraz dość naiwny wniosek, że widocznie objemność czaszki jest dla nauki o ludach ważniejszą od wagi mózgowia. W tymże Peschlu znajduję ciekawszą wzmiankę o ważeniu mózgów rozmaitych uczonych ludzi. Najcięższą była zawartość głowy Cudiera, ważyła bowiem aż 1861 grm.; Byrona mózg wynosił 1807 grm.; jednym z najlżej-

szych okazał się, nie przymawiając nikomu, mózg filologa Hermana, którego tylko mineralog Hausmann pod tym względem przewyższył. Ale zresztą podobne obliczenia różnic, stosowane do pojedyńczych osób, nie prowadzą prawdopodobnie do żadnego rezultatu.

Ktoby teraz chciał spytać, co z tych wszystkich marzeń i ważeń, stosowanych już nie do osób, ale nawet do całych plemion, wypadło? trzeba mu odpowiedzieć szczerze, że jeszcze bardzo niewiele, ale może kiedyś więcej wypadnie. Im większą będzie nagromadzona liczba wszelkiego rodzaju danych, tem jakiemuś przyszłemu myślicielowi łatwiej będzie wyprowadzić z nich ściśle naukowe ogólne wnioski. Za to tylko można zaręczyć, że gdyby nie gromadzono w pocie czoła zasobów naukowych, nicby nigdy nie wypadło z pewnością. Etnologia, antropologia i enografia są to nauki młode, niedawno stworzone; zrodziły się one z rozważania rozmaitych cech umysłowych i fizycznych ludzkości, że zaś nie wypowiedziały dotąd ostatecznego słowa, to nikogo dziwić nie powinno. W każdym razie rozmysł i głębokie zastanowienie się prowadzi do lepszych wyników niż bezmyślność. Nie można zaś powiedzieć, aby powyższe nauki do żadnych wyników nie doszły. Wziąwszy pod uwagę choćby jeden taki fakt, jak objemność czaszek, dochodzimy do wyniku, że jakkolwiek nie może

służyć ona do orzeczenia, że Francuzi np. są zdolniejsi lub mniej zdolni od Holendrów, to jednak może służyć, gdy chodzi o odróżnienie Europejczyków, Azyatów, Afrykańczyków i Australczyków, z cyfr bowiem łatwo się przekonać, że objemność czaszki u ludów niżej stojących stopniowo się zmniejsza, tak, że gdy u Europejczyków 92 cale kubiczne ang. wynosi, u Australczyków tylko 81.

Jest już coś. Zresztą na to są urządzone muzea, wystawy antropologiczne, aby ludzie mogli się jednem spojrzeniem ogarnąć i przypatrzyć się sobie w rozmaitych stanach morficznych, a uczeni rozważyć, w jakim stosunku stany owe stoją do wszystkich okoliczności zewnętrznych. Wykazanie łańcucha przyczynowości jest tu, jak i we wszystkich naukach, najważniejszym celem, do którego umysł ludzki coraz potężniej dąży. Przez tę dążność, przez to wspinanie się od skutków widomych do coraz ogólniejszych przyczyn ukrytych, spełnia się ustawicznie i wytrwale owo wykradanie bogom ognia niebieskiego, które Grecy w micie o Prometeuszu uosobili. Ale dziś chodzi o płomień i światło wiedzy. Nie bez pewnego uczucia też dumy możemy powiedzieć, że jednak ten łańcuch, którym nowożytnego Prometeusza niewiadomość do ziemi przykuwa, przedłuża się coraz bardziej. Każde pokolenie przydaje do niego nowe ogniwo, i gdy myśl zawiśnie

czasem nad owymi zastępami uczonych, szukających ziarn nauki w pustyniach, w lasach, na stepach, wśród podzwrotnikowych znojów i wiecznych mrozów, wśród dzikich pokoleń i tysiącznych niebezpieczeństw, niepodobna przyznać, że to prawdziwie wielka armia i w wyjątkowo błogi sposób zdobywcza. Widząc ją, można doprawdy odzyskać ową wiarę w ludzkość, którą przy rozważaniu wielu innych objawów tak łatwo utracić.

Wracając do wystawy, ma ona przedewszystkiem tę dobrą stronę, że zbliża do siebie uczonych różnych narodów i ułatwia wymianę mniemań, obznajmia wszystkich z ostatecznymi wynikami nauki, z najświeższemi odkryciami, strzeże od przedsiębrania prac gdzieindziej już dokonanych, a nareszcie podnieca i ożywia zajęcie się nauką. Wszelkie kwestye wychodzące poza obręb naukowych badań, jako to polityczne i religijne, są jej zupełnie obce, dlatego niepotrzebnie upatrywano w tem pewną „tendencyę", że w dziale francuskim, obok okazów ludzkich, zostały umieszczone embryony, szkielety, a wreszcie i skóry wypchane małp, mianowicie: orangutangów, szympansów i gorylów. Nauka ścisła nie ma żadnych „tendencyi", prócz jednej tendencyi wykrycia prawdy, a gdy poczyna służyć jakimś ubocznym, prozelitycznym celom, staje się lafiryndą. Pod-

nosi ona i rozprzestrzenia chwałę narodu, który ją uprawia i posuwa—i to jest jednym ze świetnych jej przywilejów, ale nie celów. Celem jest tylko zbadanie łańcucha przyczynowości; dlatego też nie powinna się cofać i nie cofa się przed rozstrzygnięciem jakiejkolwiek kwestyi. Wolno jej zatem dla anatomicznych porównywań i badań, dla właściwszych sobie zapytań, zestawiać kośćce ludzkie z jakimi jej się podoba. Ani H. Martin, ani Quatrefages, ani doktór Broca nie mają z pewnością z góry powziętego zamiaru propagowania tej myśli, niby wiary społecznej, że człowiek pochodzi od małpy i że zatem wolno mu jest wyprawiać skoki właściwe pawianom—ale byliby dziećmi, a nie uczonymi, gdyby na teoryę Darwina o pochodzeniu gatunków patrzeli ze stanowiska np. wiejskich proboszczów francuskich. Zresztą, jak wiadomo, i Darwin nie doradził nikomu, aby wlazłszy na drzewo, przewracał koziołki, albo też gryzł żołędzie i mrugał przytem w małpi sposób oczami, jak również nie twierdził, że człowiek pochodzi od orangutanga, szympansa lub goryla. Zrobił tylko przypuszczenie, że przodkowie człowieka oderwali się jako odrębny szczep od zaginionych gatunków małp wązkonosych, jeszcze w pierwszym okresie formacyi geologicznej trzeciorzędowej, a nauka w przyszłości owo przypuszczenie sprawdzi lub obali.

W tymże dziale francuskim znajdują się niezmiernie ciekawe okazy włosów, należących do wszystkich plemion ludzkich. Barwa włosa, a więcej jeszcze jego grubość, kształt przecięcia, sposób zarastania, wełnistość lub sztywność dostarczyły ważnych wskazówek przy rozstrzyganiu pytań, do jakiej rasy zaliczyć pewne pojedyńcze pokolenia lub narody. Gołem okiem można odróżnić tylko barwę i większy lub mniejszy stopień skręcania włosa, inne zaś różnice nie przedstawiają się widomie, a tymczasem są ogromne. Na tablicach, zamieszczonych w dziale francuskim, przedstawiających w sposób powiększony wyniki badań drobnowidzowych nad włosami, każdy może zobaczyć, że przecięcia włosów dają rozmaite kształty od zupełnie prawie kolistego, aż do jajkowatego (eliptycznego) z mocnem bardzo przypłaszczeniem. Jedne włosy podobne są do cieniuchnych walców, drugie do tasiemek o trochę tylko wypukłych powierzchniach. Grubość ich u rozmaitych plemion także jest wielce niejednakowa, od niej zaś zależy stan skręcania, łatwo bowiem zrozumieć, że im włos cieńszy, tem łatwiej się zwija. Najcieńsze zatem włosy mają ludzie, opatrzeni wełnistą czupryną, mianowicie Papuanie i Australczycy, a zwłaszcza pierwsi, u których przytem włos jest tak płaski, że gdy jego średnicę oznaczymy przez 100, mniejsza będzie wynosić tylko 34. Najgrubszym i naj-

prostszym włosem, podobnym do włosienia w końskiej grzywie, odznacza się rasa mongolska, a stąd i stosunek dwóch średnic wynosi u niej 100:95. Europejski włos znacznie więcej jest przypłaszczony i cieńszy od mongolskiego, dlatego też często zwija się lekko w piękne skręty, a choć czasem wydaje się prosty, nigdy jednakże nie posiada sztywności np. włosów Indyan amerykańskich. Wogóle można powiedzieć, że badania nad włosami dostarczyły pewniejszych wskazówek, niż pomiary czaszek. Ponieważ u pewnych ras pewne cechy włosienia powtarzają się stale, posiadając zatem czupryny kilkunastu osobników, należących do danego narodu, można mniej więcej dość trafnie oznaczyć, do jakiej rasy należy zaliczyć ów naród. Sam miałem sposobność sprawdzić, jak dalece włosy Indyan północno-amerykańskich podobne są do włosów Chińczyków, których widziałem w Kalifornii. Wiadomo też, że większość uczonych zalicza wszystkich mieszkańców Ameryki do plemienia mongolskiego. Stosunkowo badania owe nad włosami okazują się najmniej dokładne w zastosowaniu do szczepu semickiego, u którego krętość czupryny bardzo często się zdarza, a dalej do Buszmanów i Hotentotów, których uwłosienie wiele jest do papuańskiego podobne.

Piękny zbiór zapłodków (embryonów), czaszek i kośćców stanowi również jedną z nie-

poślednich zalet antropologicznej wystawy francuskiej. Nie brak w niej także wykopalisk z rozmaitych okresów, począwszy od jaskiniowego. Wszystko to zajęło osobny pawilon, położony po lewej stronie budynku. Okazy etnograficzne zostały umieszczone w szafach tuż koło polskich, w sali głównej; nie dorównywają jednak polskim ani pod względem ilości, ani pod względem jakości.

Drugi pawilon, po przeciwnej stronie budynku, zajęły wystawy austryacka i rosyjska. W austryacką weszła część zbiorów etnograficznych Dzieduszyckiego, nie mogąca znaleźć pomieszczenia w sali głównej. Znajdują się w niej wyroby domowe płócien i kilimków, stroje, rozmaite narzędzia, wyrabiane i używane przez lud, a nakoniec znakomite albumy ze zbiorami fotograficznymi lub akwarelowymi typów galicyjskich. Cała zresztą sekcya austryacka uwzględnia przeważnie etnografię. W rosyjskich zwracają na siebie uwagę manekiny, przedstawiające Cygana, grającego na bandurce, Samojeda we właściwym ubiorze futrzanym etc. Na bocznej ścianie wisi szereg głów, wyrobionych zapewne z masy papierowej; są to twarze Mordwińców, Czumaków i innych plemion, zaliczanych przez pewnych etnologów do osobnej grupy narodów turecko-ałtajskich, które jednak ze względu na skośne osadzenie oczu zbliżają się do typu mongolskiego.

W szafach za szkłem widać preparata anatomiczne, istotnie bardzo starowne, nadesłane, o ile pamiętam, z Moskwy, i zbiory czaszek. Najciekawszym jednak okazem z całej tej sekcyi jest całkowity grobowiec, obejmujący kościotrup z ozdobami bronzowemi na piszczelach rąk i szyi.

Na tem zamykam przegląd rozmaitych sekcyi, w którym zapewne wiele rzeczy zostało pominiętych, ale zarówno brak katalogów jak i brak miejsca w piśmie waszem, nie pozwala na obszerniejsze sprawozdanie. Na zakończenie niechaj mi będzie wolno wrócić jeszcze raz do sekcyi, urządzonej staraniem Tow. antropologicznego pol. w Paryżu. Powtarzam, że ze względu na szczupłe środki, jakimi Tow. rozporządza, wspomniana sekcya przedstawia się jako owoc wytrwałej pracy i nie zrażających się trudnościami usiłowań; bezwzględnie zaś na porównaniu z innemi sekcyami nietylko nie traci, ale, jak wspomniałem, przy otwarciu jedna z pierwszych ściągnęła na siebie uwagę ministra Teisserenc de Bort, a następnie i pochwały całej prasy tutejszej. Ten udział na równi z innemi w pracy na polu naukowem, to zaznaczenie swej naukowej żywotności jest dzielną wskazówką i czynem prawdziwie obywatelskim, daleko wymowniejszym niż wszelkie deklamacye, które dymią, nie dając światła i ciepła. Dlatego też komisyi, złożonej z panów

Franciszka D., dr. Landowskiego, Zaborowskiego i Goldsteina, doprowadzenie tego dzieła do skutku uważać się winno za prawdziwą zasługę i zjednać im tak w całej prasie naszej jak i między czytelnikami jak najszczersze uznanie.

Nowiny. 1878 r. № 44.

Z Paryża.

W chwili największej gorączki wystawowej, kiedy cała Francya żyła tylko wystawą, a opinia podnosiła ją do wysokości pierwszorzędnego wypadku politycznego, niejeden z cudzoziemców zadawał sobie pytanie: jak też będzie wyglądał Paryż, skoro to międzynarodowe święto minie, a zaczną się powszednie dni pracy. Zdawało się, że będzie wyglądał, jak jaka sala balowa po całorocznej uczcie, gdy promienie świtu, wdzierające się przez szyby, poczną wydobywać z półcieniów i półgasnących blasków lamp bladawe zarysy stołów w nieładzie, niedojedzonych resztek jedzenia, niedopitych kieliszków wina i potarganych wieńców, powiędłych kwiatów. Zdawało się, że tenże sam biały ranek powszedniego dnia odkryje pod bielidłem i różem twarze blade, senne, a na nich przesyt i zmęczenie; słowem, że po tłustym wtorku nastąpi środa popielcowa, a z nią smutne: „pamiętaj" i smutne rozmyślania nad tem, że wszystko mija i wszystko marność...

Oczekiwania zawiodły. Wystawa była uro-

czystością, nie orgią. Dzisiejszy bóg-postęp nie upija się jak Bachus, a jego święta są raczej refleksyą i rachunkiem sumienia, który, jeśli pomyślnie wypadnie, rodzi zamiast przesytu i zmęczenia ufność większą i nową, uzasadnioną ochotę do pracy. Przytem pokazało się, że w tym bitym przez Niemców, a dobijanym przez wojnę domową Paryżu tyle jest życia, że to nie goście, nie cudzoziemcy je przynieśli, ale raczej ono porwało ich w swoje potężne kolisko, owionęło swym żywotnym duchem i kazało się kręcić w jednym wielkim korowodzie. Dziś goście rozjechali się; na wystawie słychać tylko stukanie młotków, zabijających ostatnie paki z towarami, a życie w tem świetnem mieście takim samym promieniem się zatacza, i chyba bardzo bystre oko dostrzeże, że trochę mniej ruchu, chyba bardzo bystre ucho dosłyszy, że trochę mniej wrzawy, trochę więcej powagi i medytacyi, jako przystoi; zresztą puls grodu może wolniejszy, lecz niemniej silny.

Wystawa była wielkim głosem Francyi, który zawołał: „jestem! żyję!" a głos ten powrócił ze wszystkich stron świata echem: „żyje!" a czasem życzliwszem jeszcze: „niech żyje!" Po chwilach entuzyazmu i tych odgłosów wyrzucanych sercem przyszła kolej na rozum, który, jakby wtrącane zawsze trzy grosze, postawił swoje wieczne: dlaczego? jakie były przyczyny tego odrodzenia, czy to czasem nie

Republika, czy nie wyjście z dynastycznych awantur, czy nie otwarcie dróg i swobodnych ujść narodowym zdolnościom, czy nie wstąpienie na szeroki gościniec pracy organicznej wydały tak błogie skutki? Więc oto pole do rozmyślań, wywodów, zaprzeczeń i potwierdzeń otwarte, i te to rozprawy stanowią pokarm chwili obecnej, one podtrzymują ruch myśli i stanowią ogniwo, wiążące wystawowe wczoraj z dniem dzisiejszym.

Pełno też owych rachunków, zwłaszcza po dziennikach republikańskich, które oczywiście z pomyślnych wyników robią wodę na młyny Rzeczypospolitej, a zarazem dostarczają panem ciekawości publicznej, niezaspakajanej, jak było dotąd, walkami wewnętrznemi stronnictw, zmianami w gabinecie, w rządzie i wahaniem się szali między obecną formą państwową a monarchią. Dziś te czasy minęły. Rzeczpospolita z każdym dniem staje się faktem, coraz bardziej spełnionym, coraz mniej potrzebuje zużywać sił na walkę o byt, a natomiast coraz oszczędniej może je skupiać na spokojne przeprowadzanie reform duchowi nowemu odpowiednich. Z biegiem czasu ona stała się ciszą, monarchia burzą, Gambetta konserwatystą, Broglie spiskowcem, głosy lewicy opinią narodu, wycieczki monarchistów krakaniem kruków na wieżach nowego kościoła i bezładnem wichrzeniem się stada, nie wiedzącego, gdzie lecieć!

Kraczą też te kruki jezuickie, orleańskie i bonapartystowskie, czasem bardzo jeszcze głośno, ale coraz mniej sztucznie. Niezgodnym samym ze sobą cel główny usuwa się coraz bardziej z oczu. Niedawno jeszcze zadanie ich było, bądź co bądź, dodatnie i pozytywne, bo pracowali dla monarchii, dziś stracili nadzieję, więc cel ich już tylko ujemny: szkodzenie Rzeczypospolitej. Jest to raczej zemsta, niż polityka. Przegrawszy wielką wojnę, rzucili się do podjazdowej. Nie uderzają już prawie w zasadę, lecz przyczepiają się do faktów pojedyńczych, do małych rzeczy, do pojedyńczych kroków, i przesadzając ich znaczenie, biją w bęben tem głośniejszy, że wewnątrz próżny.

Lada co staje się dla nich dobrym powodem. Weźmy pierwszy lepszy przykład, ot loteryę narodową. Fundusze, z niej zebrane, były użyte w części na zapłacenie robotnikom, przybyłym z prowincyi, kosztów drogi i pobytu w Paryżu, w czasie wystawy. Uważano za słuszne i pożyteczne, aby jak najwięcej ludzi, oddanych rękodzielnictwu, mogło przyjechać i własnemi oczyma przypatrzyć się ostatnim rezultatom pracy i przemysłu. Cel, jak widzimy, wcale nie piekielny. Druga część funduszu została przeznaczona na założenie muzeum sztuki ornamentacyjnej, trzecia na zakupienie losów, co było rzeczą również dogodną, nastręczało bowiem wystawcom możność sprzedania pew-

nych okazów, zatem wrócenia sobie kosztów przesyłki. Wszystko razem mogło być zręczne lub niezręczne, pożyteczne lub niepożyteczne, jak kto chce widzieć; dla monarchistów jednak miało swoją nie do przebaczenia złą i czarną stronę: oto było dziełem republikanów. Dzienniki więc, jak „L'Univers", „Le Pays" i „Figaro", podniosły krzyk w niebogłosy. Opierano się na prawie, zabraniającem loteryi, widziano w niej okropny w skutkach krok niemoralności republikańskiej, grożono wyuzdaniem się namiętności, przewidywano, że naród, zaślepiony żądzą łatwych zysków, porzuci pracę, a będzie tylko trzymał na loteryi, przepowiadano chaos, rozprzężenie się stosunków społecznych, upadek Francyi, o mało że nie powstawanie umarłych z grobów i ewentualny koniec świata—słowem, szekspirowskie: „Wiele hałasu o nic" rozegrało się ze zmianą miejsca, osób i czasu na wielką skalę. Prawo istotnie zabrania loteryi, jak w Ameryce, w Anglii i w wielu innych krajach; a jednak w tej samej Anglii, w czasie głodów irlandzkich, urządzano loteryę, w tej samej Ameryce, zakłady takie, jak: biblioteki, muzea, powstają częstokroć z funduszów, zbieranych przez loterye, i pomimo tego narody te istnieją dotąd.

Trudno nawet zrozumieć taki rozbrat ze zdrowym rozsądkiem, taką utratę wszelkiej miary w sądzie o rzeczach, jakiej dowody da-

ły wspomniane partye, przepowiadając z powodu jednej loteryi fantowej zgubę narodu. Ale nienawiść, tak jak i miłość, jest ślepa. Gdyby chodziło o samą loteryę, rzecz byłaby śmieszną, ale loterya grała tu najmniejszą rolę. Rozdymano tę sprawę jakby balon umyślnie do jak największych rozmiarów, by przyczepić się do czegokolwiek, by osłabić wiarę i zaufanie w narodzie, by go straszyć i zwrócić z drogi, na którą wszedł spokojnie. Wobec tego fakt jest smutnym, bo dowodzi, do jakiego stopnia dojść może stronnicza zaciekłość rozbitych partyi, smutny, bo dowodzi, że przy sposobności szczątki takie byłyby zdolne zwrócić się nawet do nieprzyjaciół zewnętrznych i w danym razie zgubić Francyę, byle zgubić i Rzeczpospolitę. Historya podaje podobne przykłady.

Na szczęście jednak, ponieważ układ zewnętrznych politycznych stosunków nie przedstawia dziś żadnych dla Francyi niebezpieczeństw, zaciekłość podobna jest do skorpiona, który się własnym jadem zabija, a jej odgłosy są próżnym hałasem, zwracającym się wyłącznie przeciw wrzeszczącym, i nieszkodliwym nietylko Rzeczypospolitej, ale nawet i loteryi.

Oni sobie, loterya sobie. Idzie spokojnie. Wszystkie sklepy na bulwarach i bocznych ulicach nie mogą nastarczyć biletów kupującym. Płacono je po franku, obecnie, jakby jakie papiery giełdowe, podskoczyły w górę o trzecią

część ceny; sprzedają je na całym świecie, spekulują na nich w Londynie, New-Yorku, a zapewne i u nas w Warszawie. Ludzie bawią się tym epilogiem wystawowym, a co najzabawniejsza: rozmaite żaby, widząc, że konia kują, wystawiają także bezkopytne łapki.

Taką żabią łapkę wyciągnął obecnie ku Paryżowi Hamburg. On także chciałby mieć swoją loteryę. „Wrona! nawet i ona!" mówi bajka. Republikanie (tak!) hamburscy wzywają tedy republikanów francuskich, aby im pomogli. Widziałem nadesłany tu szumny projekt. Po wstępie, pełnym uniesień nad Paryżem, nad tą „stolicą stolic i światów", po takim wstępie, mówię, pełnym pochlebstw, a dziwnie przypominającym kręcenie ogonkiem pieska, który spodziewa się dostać kawałek cukru, prospekt tak się kończy: „My, Hamburżanie, republikanie niemieccy, szanujemy aż strach pokojowe usiłowania republikańskiego francuskiego rządu, i bylibyśmy szczęśliwi, gdyby znikły nazawsze rozterki, jakie dotychczas przeszkadzały dwom ludom iść razem na drodze postępu i zapewnić przez to pokój wieczny.

„Również bylibyśmy zachwyceni, widząc lud francuski, biorący tak żywy udział w loteryi fantowej, którą rząd uorganizował w celu ułatwienia całemu światu korzystania z cudów wystawy".

To przejście od owej wszechświatowo-repu-

blikańskiej inwokacyi do loteryi fantowej samo wprowadziłoby Francuzów w dobry humor, na jaki tydzień przynajmniej; domyślicie się więc łatwo, jak musiał podziałać na nich pierwszy warunek przyszłej międzynarodowej ery pokoju, brzmiący jak następuje:

„Zatem czujemy się szczęśliwi, mogąc do nieść ludowi francuskiemu, że my także urządzamy naszą niemiecką loteryę, i mamy nadzieję, że będziecie kupowali masę biletów".

To znaczy: „kupcie tak za jakie piętnaście milionów, bo to nam się ogromnie przyda, a za to będziemy republikanami, Niemcami, Francuzami, Turkami nawet, jeśli chcecie!" Odpowiadać na to w duchu „Timeo Danaos", jak to uczyniły niektóre dzienniki, jest zbyt poważnie. Rzecz śmiechu tylko warta. „Ach! puśćcie na loteryę Alzacyę i Lotaryngię, a weźmiemy wszystkie bilety, ile ich będzie—odpowiedziała „Revue politique et littéraire" — to jedyna loterya, mająca pewność powodzenia, i jedyna godna waszej jeszcze niewyśnionej republiki".

Wypadek ten zabarwił jednak pewną wesołością poważny nastrój zimowego sezonu w Paryżu. Mówię: poważny, bo obok tego Paryża, który się bawi, świeci, jak wąż stubarwny, szumi, hałasuje i łaknie rozkoszy, jest drugi, który się uczy i myśli. Zamierający w czasie upałów letnich ruch umysłowy ożywia się za

nadejściem chłodów i jesiennej niepogody. Akademie rozpoczynają swoje posiedzenia i prace, wystawy księgarskie zdobią się coraz nowemi książkami, kolegia ściągają rozproszonych słuchaczy. Pracowite mrówki naukowe znoszą ze wszystkich stron źdźbła wiedzy i składają je do wspólnego mrowiska; zawiązują się naukowe spory i rozprawy, i w ten sposób życiem wewnętrznem, życiem ducha i idei, dopełnia się zewnętrzne, goniące tylko za użyciem, za bogactwem, za zabawą i zbytkiem—słowem, wyłącznie za chlebem i igrzyskiem.

W owym to zimowym okresie panowania muz uwaga publiczna nastraja się także poważniej i zajmuje się nietylko dniową polityką, nietylko hossą i bessą giełdową albo anegdotami o publicznych ludziach, ale interesuje się również żywo tem, co się dzieje w łonie towarzystw naukowych, co nowego odkryto, powiedziano, gdzie jaki profesor wykłada i jak swój przedmiot traktuje. Jest to może charakterystyczna cecha Francyi i Paryża, że tu uczeni nie stanowili nigdy, nakształt średniowiecznych Różokrzyżowców, bractw zamkniętych. Mszę przy ołtarzu nauki odprawiają wprawdzie tylko kapłani, ale słucha owej mszy cała publiczność. Z ostatecznych przyczyn i zasad ogół nie umie sobie zapewne zdać sprawy, tak jak większość ludzi, chodzących po Avenue de l'Opéra, nie rozumie, dlaczego lampy elektryczne

palą się i rzucają blask tak jasny. Nie przeszkadza to jednak, że wszyscy korzystają z ich światła. Takie popularyzowanie nauki, takie dopuszczanie z pomocą Sorbony, Collège de France i innych zakładów szerszej publiczności do udziału w ruchu naukowym, a nawet i sądu o nim, sprawia, że nauka i płynące z niej nowe idee nie są tu niczem pergaminowem, zżółkłem, zwiędłem, jakąś wyłączną arendą uczonych profesorów, ale czemś żywem, wchodzącem natychmiast w krew i cały organizm ogółu.

Temu to może przypisać należy, że lud ten, nie składający się przecież z jednostek bezwarunkowo najbystrzejszych i najwięcej umysłowo uzdolnionych, wiedzie jednak poniekąd rej cywilizacyjny i daje początkowanie wszelkim nowym ideom. Nie twierdzę, że powód to wyłączny, ale zapewne jeden z wielu. Nowe idee wytwarzane bywają przez uczonych lub przez społeczne warunki, ale odczuwa je i daje im popęd lud; lud zaś może je tem łatwiej i potężniej odczuwać, im szerszą drogą go dochodzą.

Obecnie jednym z faktów, najwięcej zwracających na siebie uwagę myślącego ogółu, jest otwarcie w Collège de France wykładów literatury francuskiej nowożytnej. Rozpoczął je profesor Paweł Albert wobec ogromnego natłoku rozciekawionej do wysokiego stopnia publiczności. Z biegiem wykładów profesorowi przyj-

dzie zapewne mówić i o czasach najnowszych, i o ludziach, żyjących jeszcze, o dzisiejszych kierunkach, dzisiejszych walkach i drogach, po których kroczy obecnie twórczość francuska. Stąd ten żywy interes i gorączkowa ciekawość publiczności, która przychodzi tam po sprawdzanie własnych przekonań, po utwierdzenie się w sądach i estetycznych instynktach. Czy istnieje, a jeśli istnieje, to zdrowyż li kierunek obecny? dokąd idziemy? gdzie i jaka jest synteza dzisiejszych objawów twórczości, tak rozmaitych i rozstrzelonych, że zwykłe oko widzi na nich raczej chaos i rozprzężenie? Co usłyszymy i co nam powiedzą? czy pozwolą czcić dotychczasowe bóstwa, czy może zapadnie wyrok, jaki kiedyś Klodwig usłyszał: „Sigambrze, pal, coś czcił, a czcij, coś palił"? Oto pytania, które sobie każdy zadaje, a na które czeka odpowiedzi od nowopowołanego profesora.

Katedra literatury w Collège de France była po wszystkie czasy bardzo ważną, była bowiem niejako pośrednikiem między obozem ściśle literackim z jednej, publicznością z drugiej strony, a więc rodzajem sternika sądu ogółu. Rolę tę wypadało jej szczególnie grać koło roku 1820, w czasie walki klasyków z romantykami, podczas której cały Paryż rozdzielił się na dwa obozy.

Nigdzie może nie prowadzono walki tak zaciętej i na tak szeroką skalę o sprawę, nikogo

bezpośrednio nie tyczącą. Koleje walki i stanowisko względem niej katedr kreśli P. Albert w pierwszym swoim wykładzie. Między dwoma tymi wojującymi kościołami wahała się masa, raz chętna nowościom, to znów przerażona zuchwalstwem apostołów, a mająca jednak przechyleniem swojem zapewnić zwycięstwo. Oczy tysiąców zwracały się wówczas na katedrę, i tysiączne głowy zdawały się pytać: „gdzie iść, mistrzu?" Ówczesny mistrz Andrieux nie dawał wprost odpowiedzi, pomimo iż w gruncie rzeczy duszą i ciałem należał do „peruk". Sam poeta, w walce zatem interesowany, z natury słodki, łagodny, ceniący formę spokojną i w karby ujętą, bał się tej nowej romantycznej burzy, więc romantykiem być nie chciał i nie mógł. Też same jednak przymioty nie usposabiały go i do walki. Prowadził wprawdzie wojnę z nową szkołą, ale sobie taką małą wojenkę z aluzyi, ostrożnych epigramatów, które zachwycały niektórych, klasycznie wykwintnych słuchaczów, ale nie zaspokajały ogółu. Publiczność spodziewała się czegoś innego. Wołano wówczas o sąd, o wyrok potężny, jak grom, stanowczy, jak papieska encyklika. W takich czasach przewrotu, gdy idzie o przeciągnięcie mas, o śmierć lub życie, gdy każdy, kto się do solidarności poczuwa, macha piórem, jak cepem, takie stanowisko ostrożne, takie wojowanie ołowianą szabelką docinków, nie

wystarcza. Trzeba wówczas przycisnąć przeciwnika do muru i wsadzić mu kulę w ucho, inaczej, on to zrobi. Andrieux nie był do tego stworzony, skończyło się więc, że publiczność czuła tylko zawód, a przeciwnik, biorąc szturmem pozycyę po pozycyi, odpowiadał uczonemu i jego obozowi krwawemi słowy:

„Vieilard va-t'en donner mesures au fossoyeur...
„Vieillard stupide!...

(Hernani).

Wreszcie przeciwnik zdobył i katedrę w osobie M. Ampère, który był już zdecydowanym romantykiem. Przypadło to na najgorętsze czasy walki, zawiści i nietolerancyi, posuniętej do najwyższego stopnia. W Niemczech, Anglii, we Włoszech i w Polsce mury były już rozbite, przeszkody zdruzgotane; nowe arcydzieła, jakby nowe słońca, ukazywały się codzień; nowy świat jakiś przewiewał umysły z jednego końca Europy na drugi, Francya jedna tylko nie chciała jeszcze wiedzieć nic o sąsiadach, nie znała ich prac, wygwizdywała Szekspira; ciągnięta za włosy i uszy, nie chciała jednak wyjść ze swego XVII wieku, wypierając się własnych dawniejszych tradycyi i otaczając jakby murem chińskim odosobnienia. Ampère uderzył w ten mur. Tradycye średniowieczne, z których rodził się romantyzm, wiązały Francyę z Niemcami, Włochami i Hiszpanią,—Ampère jest więc tam wszędzie, bada no-

wy kierunek na wszystkich zapoznawanych dotąd polach, szuka słowa zagadki wszędzie, choćby mu w Skandynawii i Meksyku szukać przyszło, i wreszcie pierwszy kładzie naukową pieczęć pod nowem wyznaniem poetycznej wiary, pierwszy mówi z katedry tym wszystkim, którzy aż dotąd nieśmiało tylko wierzyli: możecie wierzyć otwarcie, albowiem rozum i nauka są po waszej stronie.

Po Loménie, znakomitym krytyku, i po krótkotrwałych wykładach p. Feugère, wyjątkowo poświęconych wiekowi XVII, Paul Albert jest czwartym z kolei profesorem, który o romantyzmie mówić będzie. Dziwnym zbiegiem okoliczności, jakkolwiek walka z klasykami, jak wszędzie, tak i we Francyi, została raz na zawsze ukończoną i o zawrocie do czasów pseudo-klasycznych mowy nawet być nie może, przecie sprawa racyi samego romantyzmu mniej została rozstrzygniętą, zatem więcej do dziś interesującą.

U nas romantyzm, oprócz średniowiecznych tradycyi, wchłonąwszy w siebie utwory wyobraźni ludowej, wsparł się na bardzo szerokiej podstawie, a przytem, przez swój zwrot potężny ku całemu ogółowi, zmienił do wysokiego stopnia swój charakter, uprawnił się niejako, związał z życiem, stał się istotną i prawdziwą poezyą ogółu.

Niema wątpliwości, że miał i u nas wiele

złych stron. Bez wątpienia, rozluźnił do wysokiego stopnia formę artystyczną i wprowadził pewną swawolę językową, zadowalającą się przewagą mnóstwa słów nad treścią. Również kazał się często zapalać na zimno do rozmaitych gminnych, do niebywałych istot i bohaterów, do bogów, dawnych bożków litewskich lub pomorskich, w czem nie było żadnej szczerości, bo inna sprawa, jeśli poeta takie rzeczy od ludu w imię ludu maluje, a inna, gdy udaje, że sam w nie wierzy, i czytelnikom każe wierzyć. Wprowadzało to pewną modę, pozbawioną wszelkiego rozsądku i prawdy. Z drugiej strony, w najwspanialszym nawet swym zwrocie, w tym właśnie, który go związał z życiem i prawdą uczuć całego ogółu, nowy kierunek, gdy jako Gustavus Obiit, a jako Conradus natus est, popadł w mistycyzm, nastroił chorobliwie uczucia i wyobraźnię, uchrystusował i ubóstwił wszystko; zdjął z ogółu wszelką odpowiedzialność, zatem zamknął oczy na potrzebę rachowania się i odradzania z win. To wszystko było także winą, ale ze stanowiska społecznego, na którem zatrzymywać się dłużej nie chcę. Swoją drogą zwrot był dokonany: z Gustawa zrodził się Konrad, a przezeń jedna więcej zdrowa, życiowa i prawdziwa zasada została zapewniona. Nic podobnego w znaczeniu ogólnem nie stało się we Francyi. Warunki tu były inne. Romantyzm francuski nie mógł być

czemś tak z wnętrzności narodu francuskiego płynącym i nigdy nie stał się bezpośrednio patryotycznym. Z drugiej strony nie oparł się także na podstawie ludowej z tej prostej przyczyny, że podstawy tej brakło w samym ludzie. Fantazya ludów słowiańskich to prawdziwie przezroczysta powierzchnia jeziora, w której odbija się wszystko; ziemia, pola, lasy, stepy, słońce i gwiazdy. Co więcej, odbicie to nie jest tylko biernem. Z połączeń owych różnych pierwiastków przyrody, z owego popędu dopatrywania w nich żyjącej duszy, z pewnej, wrodzonej tym ludom skłonności do mistycyzmu, powstają tysiące nowych postaci; wil, dziwożon, rusałek, świtezianek, upiorów. Wobec nich, porównanie fantazyi do toni jeziora już nie wystarcza. Jest ona raczej zwierciadłem czarnoksięskiem, w którem odbija się nietylko krajobraz, ale jego dusza, odgadnięta i w tysiącu kształtów upostaciowana, w którem zmartwychwstaje przeszłość, a nawet przyszłość zarysowywa się w mglistych obrazach.

Weźmy klechdy i bajki polskie, dumy ruskie, epiczne pieśni arabskie lub niedawno wynalezione bulgarskie! Czyż nie przesuną one przed naszemi oczyma kraju, historyi, hufców, zbrojnych rycerzy ze skrzydłami, kozaków, pławiących się w trawach po pachy, junaków serbskich, Turków, Tatarów, jakichś postaci królewskich, napół w przeszłości i bajce roz-

płyniętych, a przez wyższe siły wspomaganych? Są to poprostu całe światy wskrzeszone, odgadnięte lub wyśnione. A kto i kiedy te pieśni tworzył? Gdzie są ich autorowie? Doprawdy, mimowoli nasuwa się porównanie, że, jako na piaskach drogowych w czasie ciszy i letniego upału zaczyna się czasem ni stąd ni zowąd kręcić i powstawać ku górze zwichrzony słup pyłu, tak i nad równiną głów ludzkich na Słowiańszczyźnie zrywa się nagle i wystrzela ku niebu pieśń gminna, ta „arka przymierza między dawnemi i nowemi laty".

Bez wszelkiej, z góry powziętej chełpliwości powiedzieć można, że mało szczepów odznacza się taką szczególną i twórczą zdolnością poetyczną, a przedewszystkiem nie odznacza się nią lud francuski. Jedni tylko Bretończycy coś tworzą, ale to i język, i tradycya, i nastrój duchowy bardzo odrębny. Prowancya, owa „Ruś francuska", jak ją niektórzy nazywają, ma swoją wspaniałą pierwotną literaturę, którąby mogła posłużyć jako dowód przeciwny, gdyby nie to, że, po uważniejszym rzucie oka, łatwo przekonać się można, że literatura ta nigdy nie była gminną. Z wyjątkiem pieśni o Rolandzie, na której mozajkę lud może kamyki składał, wszystkie inne utwory są dziełami literackiemi, czego sama ich forma i sztuczne układanie rymów w asonacye dowodzi. Śpiewali pieśni te trubadurowie, chodząc od zam-

ku do zamku, za przedmiot cnót biorąc piękne kasztelanowe, za przedmiot pieśni—uczucia. Życia gminnego, jego doli, jego prostoty i wierzeń niema w nich zupełnie. Pytałem o charakter tej literatury ludzi, wyłącznie się jej poświęcających, i przekonałem się, że żaden z nich nie przyznawał jej charakteru ludowego. O reszcie Francyi mniej jeszcze można powiedzieć. U nas fantazya i poezya ludowa zasila książkową, tu odwrotnie: książkowa ludową. Na dowód mógłbym przytoczyć pieśni, które sam słyszałem w Normandyi, a których znakomita większość literackiego jest pochodzenia. W święta i uroczystości dziewczyny, tworzące korowód, śpiewają tam utwory Ronsarda, nie rozumiejąc częstokroć ich znaczenia.

Romantyzmowi francuskiemu brakło więc tej drugiej podstawy żywotnej, jaką zdobył sobie u nas. Pieśni obrzędowe, łączące bezpośrednio poezyę z życiem, wyobrażenia poetyczne gminne nie podsyciły go tu pierwiastkami prawdy realnej. U nas nadużywano niewątpliwie całego tego aparatu gminnego, mimo tego jednak nie przestał on być ogniwem, wiążącem lud z poezyą, zatem życiową cechą tej ostatniej. We Francyi nowy kierunek nie zwrócił się wcale do ludu. Cóż mu więc pozostało? Oto średniowieczna tradycya, jej zamki, klasztory, rycerze jej, wybujały indywidualizm, uosobiony w postaciach, istotnie romantycznych aż

do zdziczenia, a następnie tworzenie wedle tych wzorów nowszych już postaci, równie zdziczałych,równie wyjątkowo przeciwstawiających się społeczeństwu, niby dla niego za wielkich, a w gruncie rzeczy chorych na potworny rozrost własnego „ja", wspaniałych, gdy się je bierze z dobrą wiarą, śmiesznych, gdy wionie na nie wiatr sceptycyzmu.

Jeśli teraz zgodzimy się, że poezya szczera i prawdziwa ma przyłożyć ucho do piersi narodowej, podsłuchać bicia serca ludu, podchwycić jego uczucia, porywy i tęsknotę ku temu, co na tym świecie lichym, płaskim, powszednim jest lepszem, jeślić zadaniem jej jest dosięgnąć to, co nie jest dośpiewane, i z rozproszonych w całym narodzie pajęczych nici marzeń i myśli utkać wielką a śliczną tkaninę poezyi, to trudno zaprzeczyć, że romantyzm francuski nie spełnił tego zadania. Był on niewątpliwie postępem, bo wywalczył swobodę dla ducha, rozkuł poezyę z kajdan przepisów i wreszcie wprowadził do niej treść nową, o tyle wyższą od dawnej, że ta średniowieczna tradycya była, bądź co bądź, francuską, nie zaś grecką albo rzymską. Ale, z drugiej strony, rewolucya wykopała przepaść między tymi czasami a dzisiejszym wiekiem. Zmieniły się pojęcia, wyobrażenia, zmienił się duch narodu do tego stopnia, że te postacie mnichów i rycerzy, pobudki ich uczuć, powody postępków stały

się poprostu niezrozumiałymi. Rycerz średniowieczny, ze swoją naiwną wiarą w świętych i czarowników, ze swoim ślepym zapałem do życia, ze swojemi pojęciami o honorze, zemście, miłości i nienawiści i t. p., jest dziś postacią równie obcą, jak każdy klasyczny bohater.

Hernani jest anachronizmem. Dziś trzeba się do takich istot sztucznie nastrajać. Próba zatem tłumaczenia dzisiejszych uczuć i popędów poetycznych za pomocą tradycyi średniowiecznej nie udała się zupełnie. Jednocześnie wybujały egotyzm tak zwanych dusz dzikich, jak również zapoznanych i zbolałych, niewiadomo dlaczego, bohaterów, których romantyzm tysiącami na tle nowego już życia napłodził, nie mógł ostać się wobec ogólnego sceptycyzmu. Wszystko to, razem wzięte, sprawiło, że romantyzm francuski nie uczynił zadosyć poetycznym potrzebom wieku i narodu. Był i pozostał tylko kierunkiem, i dalej nie jakąś pieśnią, z dwóch niewyczerpanych źródlisk: serca i prawdy płynącą, ale przedmiotową sztuką, mającą swe przepisy i ograniczenia. Za wskazówkę, że tak jest, może posłużyć i to, że gdy nasz romantyzm, na szerszych, jak wspomniałem, podstawach oparty i bardziej przenarodowiony, chwytał przeważnie za formę liryczną, jako najbardziej popularną, francuski brał szturmem głównie teatr. Po zaciętej walce zwy-

ciężył, ale nie zapanował i obecnie coraz silniejszą budzi reakcyę.

Jest nią naturalizm, czyli zwrot do zwyczajnego codziennego życia, do realnych charakterów i do rzeczywistych stosunków. Zauważono, że życie, takie jak jest, podpatrzone tylko nieco głębiej, dość ma w sobie zagadnień i swoich: „być albo nie być!" aby nad niemi warto się było zastanawiać. Sądzono, że sztuka, jeśli zwróci się w tę stronę, nie utraci ani jednego ze swoich efektownych środków działania, a uzyszcze nowy, nieodparty: prawdę. Powstała więc nowa szkoła, która w literaturze jest poniekąd tem, czem była flamandzka w malarstwie. Fantazya poszła w niej już nietylko pod straż prawdopodobieństwa i prawdy, ale, poprostu, rzeczywistości. Autorom chodziło i chodzi o to, aby przedewszystkiem malować wiernie, by łapać życie na gorącym niejako uczynku, a zadanie to wydało się tak pierwszorzędnem, że wobec niego pomysł, to jest zestawienie faktów i osób, czyli tak zwana bajka, wraz ze swoim sensem moralnym, musiała ustąpić pierwszego pola wykonaniu. Nie stawiano wprawdzie tego, jako warunku, ale w rzeczywistości w rozwoju dalszym tak wypadło. Zwrot ten uwydatnił się szczególnie w powieściopisarstwie, w którem też, począwszy od Balzaka i Stendala, a skończywszy na Zoli i Daudecie, potężnych liczy przedstawicieli. Czy jednak

klucz do Sezamu został przez to wynaleziony, a nowy, wspaniały widnokrąg dla literatury odkryty? Trudno powiedzieć: tak! również jak trudno byłoby twierdzić, że poza powszedniem życiem niema już prawdy. Dla powieści naturalizm był w zasadzie znakomitym, niezbędnym i może jedynym krokiem naprzód. Ale sama treść, nadająca się do jednej formy, nie nadaje się do drugiej. Co jest odpowiedniem dla powieści, może nie być odpowiedniem dla poezyi. Jakoż niepodobna zaprzeczyć, że istnieje pewien rozbrat między treścią realnego życia a formą poezyi, pewien dyssonans, dający się objaśnić tem, że sama forma poezyi, wiersz, rytm, rym, jest już czemś wyżej nastrojonem, niezwykłem i w stosunku do codziennego życia egzaltowanem. Ludzie w zwykłych życiowych warunkach nie mówią rytmicznie, chcieć więc mieć ich rzeczywistymi, a zarazem mówiącymi wierszem, jest takąż samą sprzecznością formy z treścią, jaką widzimy w operze, gdy np. spiskowcy, zamiast szeptać, śpiewają. Dla poezyi więc nowy zwrot musiał być w najlepszym razie wskazówką, zasiłkiem, nigdy odrodzeniem i wstąpieniem na nową drogę. „Ty, łabędziu, lataj pod niebem!" mówił kiedyś do Pindara i o Pindarze Horacy. Jest przytem w masach ludzkich pewna suma dążeń i pragnień oderwania się-od rzeczywistego życia, zapomnienia o niem. Doprawdy, pesymiści bardzo

zbrzydzili ten świat, a rzeczywistość dopomaga codzień ich filozofii. Ta straszna rozterka między pragnieniem na gwałt szczęścia a konieczną niedolą, między wysileniami życia a nieuchronną śmiercią, rodzi ogólny nastrój, w którymby człowiek, zmęczony aż nadto życiem, rad, niechby na chwilę, o niem zapomnieć i choć w poezyi znaleźć jakieś pierwiastki wieczne, a błogie i kojące. Tym to wołaniom dusz umęczonych, tym dążeniom i potrzebom bardzo przecie naturalnym, bo wrodzonym, naturalizm literacki nie czyni zadość. Co więcej, nie wiem dlaczego tak jest, ale tak jest: raz stanąwszy na gruncie rzeczywistości, stacza się łatwo, jakby po równi pochyłej, aż tam, gdzie rzeczywistość staje się płaskością, zaczyna wstydzić się każdego uniesienia i każdego porywu. Młodość, jej egzaltowane słowo, jej rumieniec zapału, bijący na twarz, jej skry w oku, wydają mu się przesadą. Doprowadzony do krańców, a doprowadzony bywa wszędzie przez jakąś fatalną konieczność, staje się bardziej powszednim, niż życie samo. Zatraca się wówczas stopniowo trafny rzut oka na to, co jest prawdą piękną, a co obrzydliwą, i ogólny poziom literatury spada coraz niżej.

Tak stało się we Francyi. Romantyzm jej był zbyt jednostronnym, a naturalizm, o który dziś „Figaro" wydrapuje oczy panu Zoli, przebrał miarę estetyczną, zacieśnił dobrowol-

nie swoje granice i obniżył własne znaczenie. Weźmy powieść dzisiejszą francuską. Co za brak w niej rzeczywiście wyższych idei, podnioślejszych myśli, szerszych pragnień—słowem, wszystkiego, z czego się składa poważne i rozwinięte życie. Wojna, miecz, ogień sroży się nad krajem, a w powieści przyjaciel żonę mężowi bałamuci. Wieczny temat! wiecznie toż samo nędzne tuzinkowe życie! wiecznie ciż sami bohaterowie, z których każdy taki sobie pierwszy lepszy frant, dziesięć razy mniej wart nawet od swego autora, i wiarołomna żona i rogaty mąż. O ile wyborna i pewna siebie faktura, o tyle uderzające ubóstwo myśli. Miłość to odwieczne prawo, to siła życiowa, to dobroczynny geniusz naszego globu, zgoda! Przez nią chaos stał się porządkiem, przez nią kwitną kwiaty, zielenią się drzewa, utrzymują gatunki, rozwija ludzkość, promienieją sztuki piękne, rozegrywa się życie, ani słowa. To najsilniejsze i najstarsze z praw natury może złamać wszystkie inne, może nie uważać na żadne: „ja biorę ciebie". Nic nie pomogą wszystkie sztuczne więzy i przeszkody. Można przeciw tej sile mówić, ale oprzeć się jej niepodobna— ona usprawiedliwia i okupuje wszystko, ale to tylko wielka i dogrobowa, niezłamana miłość. Tak ją uważać i uświęcać sztuka i literatura ma prawo. Ale w literaturze francuskiej jej niema. Istnieje tylko romans. Bohaterowi powie-

ściowemu do głowy nawet nie przychodzi powiedzieć uwiedzionej kobiecie: jeśli mnie kochasz, to bądź moją nazawsze, zerwij z mężem, ze światem, ze wszystkiem i pójdź za mną! Jeśli się komu zdarzy szczęście rozkochać kobietę, a nieszczęście, że ta kobieta jest cudzą żoną, uczciwiej zapewne robi i prawdziwiej kocha, gdy, zajrzawszy mężowi w białka oczu, powiada mu: kocham pańską żonę, zatem nie mogę być pańskim przyjacielem! Miłość idzie wtedy na cenę życia, zatem jest uczuciem prawdziwie drogiem, silnem, jak burza, zatem usprawiedliwiającem. Mniejsza, jak się dramat skończy, ale dramat dramatem. Że jednak w życiu tak się nie dzieje, że wygodniej jest kochać się w sekrecie, potem się sobie sprzykrzyć i pójść „każde w swoją drogę" bez hałaśliwych zajść z mężem, że to się częściej zdarza, a przeciwne postępowanie byłoby egzaltacyą, więc powieść francuska realna przyjmuje tylko romans, pisuje i wysławia tylko romans.

Jakże niesłychanie mało jest wyjątków od tego ogólnego prawidła, jakże mało kto wychodzi z tego lichego i płaskiego kółka stosunków towarzyskich i konwencyonalnych, w których rozegrywa się głównie wiarołomstwo. Do nikogo z równą słusznością, jak do większości autorów francuskich, nie możnaby przystosować słów:

„Jego myślą, jego mową
„Nie odetchnie pierś szeroka;
„Nie pomyśli jego głową,
„Skier nie weźmie z jego oka".

Mówią o owem wiarołomstwie i jego marnem tle, że jest to umyślne kładzenie palca na ranę społeczną. Nieprawda! Jest to lubowanie się w kwestyi. Cóż u licha! czy niema już o czem lepszem do mówienia? W społeczeństwie więcej jest ran ważniejszych, o których się nie wspomina, a o tej mówi każda powieść, bo ten jałowy grunt dostarcza pola do opisów, do uderzających realizmem opowiadań, do łapania trafnego charakterów i temperamentów. Odrodzone dziś do pewnego stopnia stronnictwo republikańskie lepsze jest pod tym względem od swej literatury, bo w niem są przecież prócz uwiedzionych lub uwieść się mających mężatek, jeszcze i inne kobiety, a przedewszystkiem jeszcze i inne idee. Jest oto zaraz głuche przekonanie, że poezya i powieść muszą się zmienić: pierwsza stać się pieśnią narodu, druga wyleźć raz przecie z pod małżeńskiego łóżka; jest jakieś instynktowne poczucie potrzeby, aby cała literatura piękna, zatem cała literatura twórcza, weszła na inne drogi, wzięła rozbrat ze zdziczałym egotyzmem, z romansem, a wsiąknęła w siebie nowe myśli i nowe idee, wielkie a godne odradzającego się narodu. Tyle prze-

cie nowych pojęć politycznych i filozoficznych krąży w powietrzu. Pojmuje je rozum i stąd rodzi się nauka, ale odczuwa serce i z tych uczuć może wykwitnąć odrodzona literatura. Jak się to stanie i kiedy, trudno powiedzieć. Czują jednak ludzie, że to, co jest, nie wystarcza. Jedni sądzą, że tę reformę zbawienia przeprowadzi właśnie powrócony na szlachetne drogi naturalizm, i w Zoli, który więcej od innych zwrócił się do społecznych zagadnień, widzą, jeśli nie odkupiciela, to przynajmniej poprzednika, prostującego drogi pańskie. Inni nic nie wiedzą; wszyscy czekają czegoś, a tymczasem biegną, gdzie można słowo nowe usłyszeć, oblegają katedrę filozoficzną p. Caro i literacką Alberta, zajmują się sprawami literackiemi, spierają się sami, wołają o światło!

Wśród tego zamętu nieskrystalizowanych pojęć, wśród tych zapytań: gdzie iść? i tego gwaru gonitwy za nieoznaczonym jeszcze ideałem, białowłosy ojciec romantyzmu, osiwiały bard z Guernessey, kładzie od czasu do czasu krzepnące palce na harfę. Słuchają go! Palce stare i harfa może za stara, ale on jeden przynajmniej nie bał się nigdy wielkich idei.

* * *

Oto rys jeden dzisiejszego życia umysłowego Francyi. List ten, poczęty, jako kroni-

ka paryska, miał być kroniką, a zmienił się jakby w pobieżny list literacki. Sporą wiązkę zdarzeń, spraw i bieżących wypadków przyjdzie mi odłożyć na później. Tymczasem nadeszły święta: teatry dają nowe sztuki, wystawy księgarskie upstrzyły się nowemi książkami; kilka z nich leży na moim stole; byłoby o czem pisać, ale że dzień dzisiejszy i list dzisiejszy zapewne nie ostatni, zatem: do następnych dni i listów!

Gazeta Polska. № 14, 15, 16, i 17 z dnia 20, 21, 22 i 23 stycznia 1879 r.

List w kwestyi emigracyi Polaków do Ameryki.

Głody, powodzie i namowy agentów powodują coraz liczniejsze emigracye.... do Ameryki,—losy zaś emigrantów polskich tam przybyłych przechodzą wszystko, co sobie najgorszego można wyobrazić. Chłopi nasi stają się ofiarami od chwili, gdy siądą na statek przewozowy. Wieści, które nas o tem dochodzą, są prawdziwą a przerażającą ilustracyą do noweli „Za chlebem", którą drukuję obecnie. Sygurd Wiśniowski donosi „Gazecie lwowskiej" o przybyciu do New-Yorku w dniu 24 kwietnia niemieckiego statku Ohio, na którym znajdowało się 1342 osób, a w tej liczbie 250 dzieci.

Emigranci przybyli wycieńczeni chorobami i wynędzniali, po przybyciu zaś wnieśli natychmiast skargę na kapitana. Ze słów skargi pokazało się, że skutkiem złego obchodzenia się tegoż kapitana z pasażerami umarło 13 dzieci.

Komitet emigracyjny niemiecki skargę poparł —wyniknął więc proces. Po bliższem zbadaniu sprawy wyszło na jaw, że pięciuset pasażerów było pochodzenia polskiego z Poznań-

skiego i Galicyi. Kapitan tłumaczył się nawet, że chorowały i umierały tylko dzieci polskie, „gdyż wogóle owi emigranci byli chorowitymi i niechlujnymi, a matki nie chciały dawać dzieciom przepisanych lekarstw, lecz wolały klepać nad niemi pacierze i odczarowywać chorobę".

Polacy składali pod przysięgą zeznania, że majtkowie pastwili się nad nimi, że kazano im sypiać na zalanej wodą podłodze, że morzono ich głodem lub dawano żywność niezdatną na pokarm. Proces sprawił ogromne wrażenie i oburzył opinię amerykańską. Komitet emigracyjny niemiecki jednak, dowiedziawszy się, iż tu chodzi o Polaków, przestał zaraz skargę popierać, a ponieważ skarżący się, jako ludzie biedni, muszą rozproszyć się w poszukiwaniu za zarobkiem, być więc może, że dla braku świadków proces upadnie... i „rzeź Herodowa", jak ją zowią Amerykanie, ujdzie bezkarnie.

Nie koniec na tem. W kilka dni później przybył do Baltimore inny statek, także niemiecki, na którym uduszono ośmioro dzieci polskich. Rzeczy te nie chcą się prawie w głowie mieścić. Wielu może wydawało się, że odczyty moje „Za chlebem" były utworem fantazyi, tymczasem według słów naocznego świadka Wiśniowskiego nędza i cierpienia polskich wychodźców nie dają się opisać. Przyczyniają oni niemało kłopotu rządowi, który przychodzi im z pomocą, ale nie może przychodzić z pomocą

dostateczną. Wpadają oni jakby w koło błędne, zarobek bowiem mogą tylko znaleźć dalej na zachodzie (np., jak pisze Wiśniowski, na zachodniej granicy Pensylwanii w tamtejszych lasach i kopalniach węgla), a nie mają pieniędzy, by się udać albo tam, albo na dalszy jeszcze zachód, albo nakoniec do osad polskich, rozrzuconych po stepach bliższych wielkich jezior. Rząd wysyła ich tam częściowo i trochę na oślep, bo bliżej tem się zająć nie ma kto. Wielu także chłopów żebrze po ulicach miast nadatlantyckich, większość ginie z głodu, chłodu i chorób. A jednak prąd emigracyjny z Galicyi, Poznańskiego, a częściowo z miast i wsi Królestwa, bliższych granicy pruskiej, trwa ciągle i niepodobna go wstrzymać. W Poznańskiem, o ile sądzić można, na nic nie przydały się usiłowania proboszczów, odczyty, broszury, agitacye ludzi dobrej woli: prąd ciągle trwa. Wśród tych, co się przesiedlają, muszą się znaleźć tacy, choć bardzo nieliczni, którym powodzenie uśmiechnie się zaraz na początku. Otóż tacy są mimowolnie może najdzielniejszymi propagatorami emigracyi.

Piszą oni listy do domów i ponieważ im się powodzi, przedstawiają wszystko w różowem świetle, a co więcej, przysyłają pieniądze, jako niezbite dowody, że tam lepiej, niż tu. Do pisania takich listów nakłaniają i także czasem podstępnie agenci.

Trudno uwierzyć, ale jeden taki list lub

jedna dwudziestodolarowa sztuka złota silniejsze są od wszelkich kazań, odmawiań, broszur i odczytów. Taki list lub przesyłka pieniężna porusza całe wsie i miasteczka, a w ten sposób prąd emigracyjny, zamiast gasnąć, roznieca się.

Wypada z tego, że stoimy wobec następującego niezbitego faktu: oto prąd emigracyjny istnieje i nie jesteśmy w stanie go pohamować.

Pewna ilość ludzi musi rocznie opuścić kraj.

Z tą smutną i pełną złych następstw myślą trzeba się pogodzić.

Można co najwięcej kosztem wielkich wysileń zmniejszyć liczbę wychodźców, ale i to jest niepewne.

Cóż tedy robić?

Pozostaje jedno. Zmienić kierunek prądu i uczynić go mniej niebezpiecznym.

Ze wschodnich gubernii Królestwa istnieje także rodzaj, niewielkiej wprawdzie emigracyi w stronę przeciwną.

Oto chłopi z Lubelskiego np. wychodzą na Wołyń.

Widziano niedawno na stacyi w Puławach kilkadziesiąt ludzi, udających się w stronę Równego.

Jechali wprawdzie nieopatrznie, bo na mocy gołych obietnic jakiegoś agenta, że dostaną grunta i drzewo na chałupy.

Ale choćby ich spotkał zawód, łatwiej im

podać rękę z pomocą, bo co Wołyń, to nie Stany Zjednoczone.

Z drugiej strony wiadomo, że na Wołyń wychodzą dość licznie Czesi i Niemcy, i że osadom ich nieźle się stosunkowo powodzi. Znaczne przestrzenie ziemi mogą tam być nabyte, albowiem parcelacya wcale tam nie jest słowem nieznanem. Przeciwnie: wielu jej pożąda, i dla wielu rozparcelowanie jej jest jedynym środkiem wyjścia z kłopotów finansowych.

Z drugiej strony robotnik jest tam, o ile wiemy, i potrzebny i pożądany.

Otóż rzucam następującą myśl: Jeśli emigracya jest rzeczą bezwarunkowo konieczną i nieuniknioną, czyby nie było lepiej, dla wychodźców bezpieczniej, a z wielu względów pożyteczniej skierować ją w tamtą stronę.

Jak należałoby to zrobić i jakich środków użyć, dziś rozprawiać o tem byłoby przedwcześnie. Dodaję tylko nawiasem, że dla tamtych stron byłaby w tem ta korzyść niezaprzeczona, że zyskałyby robotnika, którego im brak. Przedewszystkiem jednak kładę nacisk na to, że w razie niepowodzeń i klęsk łatwiej jest przyjść z pomocą o mil kilkadziesiąt niż o tysiące.

Zresztą myśl rzuconą od ręki poddaję wszelkiej dyskusyi.

Gazeta Polska. 1880 r. № 111.

WYKAZ ARTYKUŁÓW

DO TOMU 80 DZIEŁ SIENKIEWICZA.

		Str.
1878.	Osady polskie w Stanach Zjednoczonych. . .	5
—	Szkice amerykańskie. I	37
	„ „ II	52
	„ „ III	90
—	Przeróbka Ody Horacyusza	119
—	Listy Litwosa z Wystawy Paryskiej	120
—	Listy Litwosa z Wystawy Paryskiej	140
—	Listy z Paryża I.	162
	„ „ II	173
—	Listy Litwosa z Paryża. Salon z r. 1878. . .	190
—	Listy Litwosa z Paryża. Sto tysięcy franków nagrody.	214
—	Kongres międzynarodowy literacki w Paryżu .	231
—	Z wystawy antropologicznej w Paryżu . . .	246
1879.	Z Paryża	270
1880.	List w kwestyi emigracyi Polaków do Ameryki	298

120

523261
Sienkiewicz, Henryk
Pisma.
v.80

LP
S5724

University of Toronto
Library

DO NOT
REMOVE
THE
CARD
FROM
THIS
POCKET

Acme Library Card Pocket
LOWE-MARTIN CO. LIMITED